KONIEC ASA PRZESTWORZY
Fatalny błąd zuchwałego Czerwonego Barona

NAJWIĘKSZY Z 300
Król Leonidas przeciw perskim „nieśmiertelnym"

DIABELSKI EASTERN
Awanturnicza opowieść z XVII w. według Komudy

NR 5(123)/2023 MAJ 2023

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO DO RZECZY

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296.031

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Zbrodnie bezpieki

POLOWANIE NA KSIĘŻY

Codzienne pasmo z najnowszymi informacjami z Polski i ze świata.
Komentarze, dyskusje i rozmowy na tematy społeczno-polityczne.
Najlepsi eksperci, politycy, dociekliwi dziennikarze prowadzący
oraz serwisy informacyjne o 12:00, 13:00 i 14:00.

REPUBLIKA

DZIEŃ
Z REPUBLIKĄ

codziennie
od **12:00**
do **15:00**

zapraszają
Ilona Januszewska
Emilia Wierzbicki
Piotr Nisztor
Aleksander Wierzejski
Marcin Bąk

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 434f19b026

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
p.o. redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 8 kwietnia 1933 r.

Jadwiga Piłsudska, córka Marszałka, podczas sadzenia drzewek w tygodniu ochrony przyrody

FOT. NAC

Od redaktora / Piotr Włoczyk

Znienawidzone ofiary SB

Byli duszeni, truci i katowani. Księżmi zajmowali się najlepsi „eksperci" PRL-owskiej bezpieki, których partia wyznaczyła do walki z wrogiem numer jeden – Kościołem katolickim. Komunistyczna Polska miała całe zastępy funkcjonariuszy, których życie zawodowe kręciło się wokół walki z duchownymi. Jak pokazuje przykład Grzegorza Piotrowskiego, mordercy ks. Jerzego Popiełuszki, esbecy odpowiedzialni za zwalczanie księży nierzadko też wkładali w to całe swoje „serce", traktując wojnę z „klechami" jak misję swojego życia.

Ostatnio temat walki z Kościołem wrócił w zaskakujących okolicznościach. IPN uznał bowiem, że słynny ks. Franciszek Blachnicki, człowiek, który rozwinął w Polsce niezwykle popularny ruch oazowy, został zamordowany.

Śledczy IPN stwierdzili, po ponad 35 latach od śmierci kapłana, że ks. Blachnicki został otruty. Wciąż badane są okoliczności tej sprawy, ale jedno nie ulega wątpliwości: PRL-owska bezpieka od lat miała ks. Blachnickiego na celowniku i wyeliminowanie tego charyzmatycznego kapłana, który tyle zrobił, by pobudzić wiarę Polaków, było w żywotnym interesie rządzących Polską komunistów.

Zamordowany w 1987 r. ks. Blachnicki nie był jednak ostatnim kapłanem, który zapłacił najwyższą cenę za sprzeciw wobec agresywnej polityki laicyzacyjnej prowadzonej przez komunistów. Księża katoliccy byli mordowani w Polsce jeszcze w 1989 r., gdy jasne już było, że władza komunistyczna upada. Przykłady ks. Stefana Niedzielaka, ks. Stanisława Suchowolca i ks. Sylwestra Zycha pokazują, że komuna do samego końca nie odpuszczała walki z Kościołem. Stary system obracał się w ruinę, Moskwa traciła siły, polscy towarzysze partyjni przepoczwarzali się w kapitalistów, ale bezpieka wciąż polowała na znienawidzonych przez siebie księży. SB ostatniego kapłana zabiła już po wyborach 4 czerwca, które dosyć powszechnie uznawane są w Polsce za początek demokracji. Niewyjaśnienie tych zbrodni przez III RP to prawdziwy „grzech pierworodny" nowej Polski. ©℗

eprasa.pl 434f19b026

/ TEMAT NUMERU

.6 RADOSŁAW WOJTAS
Esbecka trucizna za ewangelizowanie

.10 TOMASZ STAŃCZYK
Księża na komunistycznej Golgocie

.13 PIOTR DMITROWICZ
Ostatnie ofiary SB

.16 TOMASZ WIŚCICKI
Kremlowski ślad

.20 RAFAŁ ŁATKA
Bezpieka na polowaniu

/ CZASY I LUDZIE

.26 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Fatalny błąd Czerwonego Barona

.29 MIKOŁAJ IWANOW
Operacja fińska

.32 PIOTR SEMKA
Tajemnica śmierci słowackiego herosa

.35 STEVE KERSHAW
Największy z 300

.39 SŁAWOMIR KOPER
Włast – król rewii II RP

.42 MAREK GAŁĘZOWSKI
Honor ułańskiego sztandaru

.46 LESZEK LUBICKI
Jan Kazimierz na kolanach

.49 JACEK KOMUDA
Diabelski eastern

.52 PIOTR KOŚCIŃSKI
Wilno w ogniu

.54 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Węgrzy przeciw Sowietom

/ CO CZYTAĆ

.58 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Tadeusza Śliwiaka droga do domu

.64 RECENZJE

/ FELIETONY

.66 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Kultura przegrywów

.67 PIOTR SEMKA
Wolność, kocham i rozumiem

eprasa.pl 434f19b026

/ KRESY

.68 TOMASZ STAŃCZYK
Ojczyzna Kościuszki, Orzeszkowej i Traugutta

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 ANNA SZCZEPAŃSKA
Zagłada Konstantynopola

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Nowalijki

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Psychoza hitleryzmu

/ KOMIKS

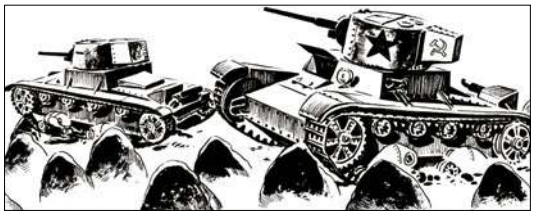

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Lodowe piekło Stalina

REKLAMA

eprasa.pl 434f19b026

Ksiądz Franciszek Blachnicki podczas spotkania Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów, Carlsberg, lata 1982–1986 FOT. ARCHIWUM GŁÓWNE RUCHU ŚWIATŁO-ŻYCIE

Wywiad / Z dr. Robertem Derewendą, historykiem z KUL, dyrektorem Oddziału IPN w Lublinie

rozmawia Radosław Wojtas

Esbecka trucizna za ewangelizowanie

eprasa.pl 434f19b026

– Zabójstwo to zostało zaplanowane i przeprowadzone w taki sposób, aby nikt nigdy nie poznał prawdy, którą dziś udało się odkryć – mówi historyk

RADOSŁAW WOJTAS: „Nie ulega żadnym wątpliwościom dziś, w wyniku prowadzonego bardzo skrupulatnie śledztwa, że ks. Franciszek Blachnicki został zamordowany, został otruty" – powiedział w marcu minister Zbigniew Ziobro na konferencji prasowej poświęconej wynikom śledztwa IPN. Rzeczywiście nie ma już żadnych wątpliwości, że ks. Blachnicki był ofiarą systemu komunistycznego?

DR ROBERT DEREWENDA: Instytut Pamięci Narodowej wykonał bardzo żmudną pracę, dzięki której udało się dowieść ponad wszelką wątpliwość, że ks. Franciszek Blachnicki został zamordowany. Śledztwo daje co do tego absolutną pewność, mimo że od śmierci minęło już 36 lat i przez całe dziesięciolecia obowiązywała powszechnie informacja, że ks. Blachnicki zmarł w sposób naturalny. Zabójstwo to zostało zaplanowane i przeprowadzone w taki sposób, aby nikt nigdy nie poznał prawdy, którą dziś udało się odkryć. Proszę zwrócić uwagę, że do zabójstwa ks. Blachnickiego doszło dwa lata po śmierci ks. Jerzego Popiełuszki. Wszystko wskazuje na to, że służby, które dokonały czy mogły dokonać zabójstwa ks. Franciszka Blachnickiego, wykonały to zadanie w taki sposób, aby nie powtórzyła się sytuacja z zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki, kiedy informacja o zbrodni wyszła na jaw.

Ksiądz Franciszek Blachnicki był na celowniku służb przez wiele lat. Został otruty 27 lutego 1987 r. Dlaczego akurat wtedy?

Myślę, że ta data nie była przypadkowa. W tym czasie w Polsce obradowała Krajowa Kongregacja Odpowiedzialnych Ruchu Światło-Życie. Na Jasnej Górze spotkali się Odpowiedzialni Ruchu Światło-Życie z całej Polski i informacja o śmierci ks. Blachnickiego dotarła właśnie do tych osób. W ten sposób służby mogły w jakiejś mierze kontrolować wiadomości, które zostaną rozpowszechnione wśród członków Ruchu Światło-Życie w Polsce. Tych kilkaset zgromadzonych na Jasnej Górze osób przeniosło tę informację do swoich środowisk w diecezjach. Była to oczywiście wiadomość o tym, że ks. Blachnicki zmarł. Nie było tam żadnej wzmianki o tym, że ta śmierć mogła zostać sprowokowana.

Śmierci ks. Franciszka Blachnickiego towarzyszyły jeszcze inne nieprawdy. Rozsiewano wiadomości o tym, że był schorowany, że zaciągnął bardzo poważne zobowiązania finansowe wobec banków niemieckich i nie miał z czego ich spłacić, a nad ośrodkiem, który ks. Blachnicki prowadził w Carlsbergu, ciążyły bardzo poważne długi. Jako historyk, który od lat zajmuje się badaniem historii Ruchu Światło-Życie i działalności ks. Blachnickiego, trafiłem na pewne nagranie zarejestrowane w ośrodku Marianum w Carlsbergu w kwietniu 1987 r., czyli dwa miesiące po śmierci ks. Blachnickiego. Jego bezpośredni współpracownicy mówią na tym nagraniu, a jest to narada robocza, że są rozpowszechniane nieprawdziwe informacje, jakoby ośrodek w Carlsbergu był zadłużony.

Nieprawdziwe?

Tak. Dla mnie było to zaskoczenie, szok. Powszechnie uważano, że ośrodek w Carlsbergu rzeczywiście był bardzo poważnie zadłużony. A oto bezpośredni współpracownicy ks. Blachnickiego mówią o tym, że to są nieprawdziwe informacje. To źródło dało mi bardzo wiele do myślenia i sprowokowało dalsze działania. Ostatecznie jesienią 2021 r. dotarłem do dokumentów w Carlsbergu, które rzuciły nowe światło na ostatnie miesiące działalności ks. Franciszka Blachnickiego. Dokumenty, na które nikt przede mną się nie powoływał. Wynikało z nich, że w ostatnich miesiącach życia ks. Blachnicki na przełomie lat 1985 i 1986 powołał do życia Ekumeniczne Wydawnictwo Ewangelizacyjne. Zostało ono zarejestrowane na dwie osoby: na brata ks. Franciszka Blachnickiego, który z nim mieszkał w Carlsbergu, i na Jolantę Gontarczyk, która była agentem służb PRL-owskich zarejestrowanym pod pseudonimem Panna. Konto bankowe tego wydawnictwa obsługiwały dwie osoby. Wiemy to dobrze, bo zachowała się karta z wzorami podpisów. Jeden z nich należał do ks. Blachnickiego, drugi do Jolanty Gontarczyk. Ksiądz Blachnicki powołał to wydawnictwo dlatego, że rzeczywiście miał problemy finansowe i szukał wsparcia finansowego w czasie swojej pracy w Carlsbergu. Z pomocą przyszli mu zaprzyjaźnieni protestanci z ruchu protestanckiego Agape. Zlecali ks. Blachnickiemu druk protestanckich materiałów ewangelizacyjnych. Stąd pomysł, aby zarejestrować wydawnictwo ekumeniczne, odrębne w stosunku do wydawnictwa, które ksiądz powołał wcześniej. Od jesieni 1985 r. zlecenia od protestantów wpływały regularnie. Obliczyłem, że w ciągu 13 miesięcy działalności wydawnictwa ekumenicznego na jego konto mogło wpłynąć nawet 1,3 mln marek. A tymczasem w Carlsbergu brakowało pieniędzy na podstawowe materiały, nawet na żywność. Więc to wszystko nie pasuje do siebie – z jednej strony brakuje pieniędzy na podstawowe potrzeby, a z drugiej są poważne wpływy od protestantów.

Do tego wszystkiego jesienią 1986 r. ks. Blachnicki otrzymał od protestantów propozycję rozwiązania jego problemów finansowych. Zaproponowano mu kontrakt na druk materiałów ewangelizacyjnych na sumę 2 mln dol. Kontrakt miał być realizowany przez najbliższe trzy lata i miał się rozpocząć wiosną 1987 r.

Franciszek Blachnicki – więzień obozu Auschwitz FOT. WIKIPEDIA/PAŃSTWOWE MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU W OŚWIĘCIUMU

eprasa.pl 434f19b026

Ksiądz Franciszek Blachnicki i kardynał Karol Wojtyła podczas spotkania z młodzieżą oazową, Krościenko nad Dunajcem, 14 sierpnia 1971 r.

FOT. KS. JÓZEF GRYGOTOWICZ, ARCHIWUM GŁÓWNE RUCHU ŚWIATŁO I ŻYCIE

Ksiądz Blachnicki został zamordowany właściwie w przededniu wejścia tego kontraktu w życie – 27 lutego 1987 r.

Bezpośrednim powodem mogły być zatem finanse?

Oczywiście nie mam dowodów wskazujących na to, aby ta kwestia miała wpływ na wybór daty śmierci ks. Blachnickiego. Wiele jednak wskazuje na to, że data ta nie była przypadkowa. Zarówno czas kongregacji w Polsce, na której można było przekazać informację o śmierci ks. Blachnickiego, jak i bardzo ważny kontrakt, który miał wejść w życie lada dzień i mógł rozwiązać problemy finansowe, a także mógł dać możliwość szerszej działalności, mogły mieć wpływ na datę mordu ks. Blachnickiego. Służby wywiadu państw komunistycznych wiedziały o działalności ks. Blachnickiego w Polsce, wiedziały, że udało mu się utworzyć ruch oazowy, który był czymś niespotykanym w całym bloku komunistycznym. Tylko podczas wakacji 1986 r. zgromadziło się w ten sposób ponad 50 tys. osób.

Chciałbym wrócić do rozbieżności finansowej, o której pan wspomniał. A więc z jednej strony kłopotów finansowych ośrodka w Carlsbergu, a z drugiej – poważnych wpływów do wydawnictwa ekumenicznego. Z czego te rozbieżności wynikały?

Oczywiście wiele wskazuje na to, że te środki były po prostu defraudowane. Nie dotarłem do wyciągów z konta, zachowało się jednak wiele informacji wskazujących na to, że pieniądze wpływały. Świadczą o tym zapiski, wystawione rachunki, podsumowania finansowe. Niewątpliwie Gontarczykowie – zarówno Jolanta Gontarczyk, jak i jej mąż, którzy odpowiadali za kluczowe działania w Carlsbergu – działali przeciwko ks. Blachnickiemu. Pani Gontarczykowa została prezesem Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów, organizacji, którą ks. Blachnicki założył właśnie tam, w Carlsbergu, a która stawiała sobie za cel wyzwolenie Europy Środkowo-Wschodniej spod panowania systemu komunistycznego. Dla komunistów była to niezwykle groźna inicjatywa, ponieważ ks. Blachnicki organizował różnego rodzaju marsze, spotkania, sympozja, utworzono również grupy robocze składające się z przedstawicieli emigracji nie tylko z krajów komunistycznych, lecz także narodów, które się znalazły w Sowietach, np. organizowano spotkania w grupach roboczych polsko-ukraińskich. Ksiądz Blachnicki był przekonany o nieuchronnym upadku Związku Sowieckiego i już przygotowywał się do tzw. okresu postsovieticum. Przygotowywał podwaliny pod okres postsowiecki.

Jeśli chodzi o datę śmierci ks. Blachnickiego, to występuje jeszcze inna koincydencja zdarzeń. Tuż przed 27 lutego 1987 r. ks. Blachnicki miał rozmawiać z Gontarczykami o ich agenturalnej działalności.

Ksiądz Blachnicki miał otrzymać informacje, że Gontarczykowie są niebezpiecznymi agentami od Solidarności Walczącej za pośrednictwem Andrzeja Wirgi. Prosił o bardziej przekonujące dowody. Bardzo ważną rozmowę miał odbyć z Gontarczykami dzień przed śmiercią. Ksiądz Blachnicki powiedział później swoim najbliższym współpracownicom, które blisko działały z nim od lat 50., że „Gontarczykowie wykończyli Maksymilianum". Inna osoba mówiła, że ks. Blachnicki miał stwierdzić, iż Gontarczykowie „wykończyli wydawnictwo". Pytaniem otwartym jest, czy miał na myśli wydawnictwo katolickie czy ekumeniczne. Być może ks. Blachnicki odkrył, że Gontarczykowie defraudują pieniądze. Rozmowę, którą ks. Franciszek Blachnicki odbył w drukarni kolejnego dnia z Andrzejem Gontarczykiem, współpracownice księdza zapamiętały jako awanturę. Po przyjściu z drukarni ks. Blachnicki zjadł obiad i położył się na zwyczajową popołudniową sjestę. Podczas tej drzemki współpracownice księdza, Gizela Skop i Zuzanna Podlewska, usłyszały bardzo niepokojący kaszel dochodzący z pokoju księdza. Kiedy tam wbiegły, ks. Franciszek Blachnicki był w zasadzie umierający.

Było już za późno na pomoc. Stwierdzono zgon z przyczyn naturalnych, z powodu zatoru płuc. Nie przeprowadzono jednak sekcji zwłok, mimo że trucizna pozostawiła pewne ślady, czyli wydzielinę wypływającą z ust księdza.

Uspokajającą rolę w tym względzie odgrywał lekarz ks. Franciszka Blachnickiego Reiner Fritsch, który był przy śmierci. To on stwierdził zgon. Współpracowniczki księdza pytały o wydzielinę wypływającą po śmierci ks. Blachnickiego z jego ust, ale miały usłyszeć od lekarza, że jest to naturalne, że to się zdarza. I sekcji rzeczywiście nie przeprowadzono.

Kiedy SB zainteresowała się ks. Blachnickim? Jakie działania przeciwko niemu podejmowano?

Ksiądz Blachnicki był inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa właściwie od lat 50., od czasu Krucjaty Wstrzemięźliwości. Szczególne działania przeciw niemu podjęto później. W połowie lat 70. obok działań administracyjnych mających na celu powstrzymanie dynamiki działań ks. Blachnickiego podjęto bardzo wyrafinowane działania dezinformacyjne i dezintegrujące. Zaczęto preparować nieprawdziwe dokumenty, listy, rozpowszechniano wiele nieprawdziwych informacji. Służba Bezpieczeństwa zauważała jednak, że nie jest w stanie

eprasa.pl 434f19b026

powstrzymać działalności ks. Blachnickiego. Można wręcz powiedzieć, że to była zabawa w kotka i myszkę.

Na czym polegała ta gra?

W roku 1977 rozpoczęto zmasowany atak na ruch oazowy, czyli np. likwidowano punkty oazowe. Wyglądało to w sposób wręcz śmieszny i absurdalny. Różnego rodzaju służby (np. kuratorium, milicja) wykrywały „nielegalne obozy", jak określano oazy, i wydawano nakaz ich rozwiązania. Ksiądz Blachnicki prosił, aby moderatorzy odsyłali do władz informację, że nie jest to żaden nielegalny obóz, tylko rekolekcje, a rekolekcje może rozwiązać wyłącznie biskup. Rekolekcje trwały 15 dni, więc kiedy pisano odwołanie do władz, to była to już najczęściej druga połowa oazy. Piętnaście dni mijało, żadna z grup nie musiała się rozjechać. Komuniści raportowali, że rozwiązano wiele grup oazowych. Nie dodawali jednak, że żadna z grup nie przerwała rekolekcji.

Propaganda na niewiele się zdała.

Działania SB nie zatrzymały dynamiki rozwoju ruchu oazowego, a ks. Blachnicki podejmował nowe inicjatywy. SB musiała mieć świadomość, że po prostu nie jest w stanie powstrzymać działalności ks. Blachnickiego. Dlatego tak bardzo musiała być zaniepokojona jego działalnością na emigracji. Chrześcijańska Służba Wyzwolenia Narodów uderzała już nie tylko w komunizm w Polsce, lecz także w system komunistyczny całego bloku wschodniego. Stawiając sobie za cel wyzwolenie Europy Środkowo-Wschodniej spod wpływu Związku Sowieckiego, Chrześcijańska Służba Wyzwolenia Narodów musiała zaniepokoić również samych Sowietów. Co więcej, ks. Blachnicki posługiwał się bardzo groźną bronią. Mianowicie wzywał do wewnętrznej wolności i ta metoda była bardzo skuteczna. Zachowanie tej wolności oznaczało zachowanie odwagi wobec systemu komunistycznego i niepoddawanie się terrorowi komunistycznemu. Ten kapłan dostrzegał, że zachód Europy obawiał się zmian w Europie Środkowo-Wschodniej. Panowało powszechne przekonanie, że ewentualne wyzwolenie krajów komunistycznych spod panowania Związku Sowieckiego będzie związane z trzecią wojną światową, podczas której użyta zostanie broń nuklearna. Ksiądz Blachnicki próbował wskazać inną drogę. Drogę obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Ksiądz Blachnicki zmienił polski Kościół. Stawiany jest obok takich postaci jak Jan Paweł II, kard. Stefan Wyszyński czy Jerzy Popiełuszko.

Przyciągał całe rzesze młodych ludzi, mimo że stawiał przed nimi poważne wymagania. W latach 70. i 80. stworzył swego rodzaju modę na oazy. Oazy te „przeorały" polską ziemię, ponieważ dzięki nim młodzi ludzie mieli zupełnie inne doświadczenie Kościoła. Po takich rekolekcjach Kościół był nie tylko zhierarchizowaną instytucją, lecz także wspólnotą. Oazowicze uczyli się modlić w zupełnie inny sposób, czytali Pismo Święte, wreszcie – stawiali sobie bardzo wysokie wymagania, jak choćby najbardziej kojarzona z tym ruchem abstynencja. Ksiądz Blachnicki opowiadał, że jesienią 1981 r., kiedy wybuchły strajki studenckie w Lublinie, to na jakiej uczelni by był, wszędzie widział oazowiczów. Był dumny z tego, że w sposób naturalny oazowicze angażują się w ruch Solidarności. Że to, czego uczyli się w oazie, przekuwają na zaangażowanie społeczne.

Ksiądz Blachnicki trafiał do ludzi młodych i dobrze wykształconych. Czyli do takich, którzy w założeniu komunistów mieli odchodzić od Kościoła?

Komuniści zakładali, że Kościół ma w jakiś naturalny sposób wymrzeć, że wraz ze zmianą pokoleniową w Kościele będzie coraz mniej osób. Według komunistów Kościół nie miał atrakcyjnej propozycji dla osób wykształconych. Ruch Światło-Życie zadał temu kłam. Nie tylko przyciągał ludzi młodych, lecz także, choćby poprzez oazy rodzin, przyciągał rodziny, mężczyzn, ludzi z dużych ośrodków miejskich. Ruch oazowy przeciwstawił się pewnym przewidywanym przez komunistów tendencjom, które obserwowali oni na zachodzie Europy.

Jego nowatorskie metody wywoływały różne reakcje również w samym Kościele. Nie brakowało krytyków jego wizji wspólnot chrześcijańskich...

Zgoda, ale to także było podsycane przez Służbę Bezpieczeństwa. Ksiądz Blachnicki sprawował swoją funkcję z nadania prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego, to od niego w 1967 r. otrzymał funkcję krajowego duszpasterza służby liturgicznej i z tego duszpasterstwa następnie wyrósł ruch oazowy. Kardynał Wyszyński nigdy nie cofnął tego dekretu w stosunku do ks. Blachnickiego, a próbowano oczywiście skłócić ks. Blachnickiego z kard. Wyszyńskim. Rozsiewano nieprawdziwe informacje, jakoby ksiądz kardynał nie tylko nie darzył zaufaniem ks. Blachnickiego, lecz także był przeciwko działalności ks. Blachnickiego. Nic bardziej błędnego. Gdyby tak było, ks. Blachnicki nie mógłby dalej prowadzić ruchu oazowego.

Wiele mówiliśmy o momencie śmierci ks. Blachnickiego. Jeżeli komuniści chcieli go powstrzymać, to zdecydowanie im się to nie udało. Było za późno, ziarno już zostało zasiane.

Komuniści na pewno śmiertelnie obawiali się ks. Franciszka Blachnickiego. Zarówno w czasach systemu komunistycznego, jak i w czasie tzw. pierestrojki. Nawet jeśli zakładali możliwość jakichś zmian w Europie Środkowo-Wschodniej, to na pewno dla takich osób jak ks. Blachnicki, tak radykalnie traktujących kwestie wolności, nie było miejsca. Takich ludzi zabijano do samego końca systemu komunistycznego. Ksiądz Blachnicki był poza dostępem komunistów, ponieważ on się ich nie bał i czynił wszystko tak, jakby był całkowicie swobodny. I to najbardziej zagrażało komunistom. Ksiądz Blachnicki nie pytał, czy wolno, tylko czy należy...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Robert Derewenda
ukończył w 2007 r. doktoranckie studia na KUL, uzyskując stopień doktora nauk humanistycznych z zakresu historii na podstawie rozprawy pt. „Historia Ruchu Światło-Życie w latach 1950–1985". Jest pracownikiem Katedry Źródłoznawstwa, Archiwistyki i Dydaktyki Historii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim oraz pełni funkcję dyrektora Oddziału IPN w Lublinie.

eprasa.pl 434f19b026

Tomasz Stańczyk

Skrytobójstwa, morderstwa sądowe, tortury. Tak postępowano z księżmi katolickimi, wiernymi Bogu i ojczyźnie, w najczarniejszym okresie Polski Ludowej

Prymas Stefan Wyszyński i abp Antoni Baraniak, który nie złamał się mimo tortur i nie dał się wykorzystać przeciw Wyszyńskiemu

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

1944–1956 / Męczennicy za wiarę i Polskę

Księża na komunistycznej Golgocie

Zainstalowani w kraju pod osłoną sowieckich bagnetów polscy komuniści wiedzieli, że droga do pełnego zniewolenia społeczeństwa prowadzi w wielkiej mierze poprzez stłamszenie Kościoła katolickiego, zastraszanie i represjonowanie księży, uważanych niejako z definicji za element „reakcyjny" i „kontrrewolucyjny".

Zanim przyszedł czas na planową rozprawę z Kościołem katolickim, zarządzoną przez kierownictwo Polskiej Partii Robotniczej, sprawy w swoje ręce wzięły lokalne placówki UB i milicji, dokonując skrytobójstw duchownych.

Skrytobójcze mordy

Ksiądz Michał Pilipiec sprawował opiekę duszpasterską w Błażowej koło Rzeszowa. Podczas wojny należał do ZWZ-AK, był kapelanem obwodu AK Rzeszów. W grudniu 1944 r. przyjechali po niego ubecy z Rzeszowa, oskarżano go o ukrywanie drukarni i napad na posterunek MO. Do przedstawienia mu zarzutów przez prokuratora nie doszło. Ksiądz Pilipiec oświadczył prześladowcom, że będzie walczył z bezbożnym komunizmem o godność Boga i Kościoła. Był torturowany w katowniach ubeckich w Rzeszowie, a następnie wywieziono go z kilkoma innymi więźniami do lasu. Tam ich zabito, a ciała podpalono. Pochowali je okoliczni mieszkańcy w anonimowej mogile – nie chcieli się narażać komunistom oficjalnym kościelnym pochówkiem na cmentarzu. Jeden ze skazańców zdołał jednak uciec z miejsca kaźni i w latach 70. dzięki jego wskazówkom odnaleziono szczątki zamordowanych. Ksiądz Pilipiec był najprawdopodobniej pierwszym z księży zamordowanych przez polskich komunistów.

Administratorem parafii w Polkach w powiecie chrzanowskim był ks. Michał Rapacz. Jak stwierdzał jego następca ks. Leon Bzawski: „Ten tutejszy zakątek, jak żaden inny w diecezji krakowskiej, jest mocno zaczerwieniony, a ta czerwoność dochodzi do szaleństwa i nabiera cech iście szatańskich" („Leksykon du-

eprasa.pl 434f19b026

chowieństwa represjonowanego w PRL w latach 1945–1989. Pomordowani – więzieni – wygnani").

Ksiądz Rapacz pomagał ukrywającym się przez UB, negatywnie odnosił się do rządów komunistycznych, czym zwrócił na siebie złowrogą uwagę członków PPR w Trzebini. Choć został ostrzeżony, że grozi mu z ich strony śmierć, to nie opuścił wiernych i parafii.

W maju 1946 r. komunistyczne komando porwało księdza i zamordowało w lasku, uderzając go w głowę tępym narzędziem i dobijając strzałem z pistoletu w czoło. Ksiądz Bzawski stwierdzał w liście do abp. Adama Sapiehy: „Ks. Michał padł jako ofiara bandy bezbożnej spod znaku dzisiejszego tajnego aktywu PPR". Od 1992 r. trwa proces beatyfikacyjny ks. Michała Rapacza.

Proboszcz parafii w Brzeźnicy Bychawskiej, ks. Jan Szczepański, również zdecydowanie krytycznie odnosił się do komunistów i dawał temu wyraz, nawoływał do niewstępowania do PPR, mówił o prześladowaniach Kościoła i religii. W sierpniu 1948 r. został porwany, ciało znaleziono po kilku dniach w rzece. Lekarska obdukcją wykazała, że „ciało nosiło ślady tortur, ręce były związane, twarz opuchnięta, liczne siniaki na plecach, język i genitalia wycięte, a ponadto bok głowy przestrzelony. Strzał w głowę nie był jednak bezpośrednią przyczyną śmierci – w płucach znajdowała się woda – co świadczyło, że przyczyną zgonu było utopienie" („Leksykon..."). Ksiądz Szczepański został zabity przez dwóch mieszkańców okolicznej wsi z inspiracji PUBP w Lubartowie. Nazywany jest „Popiełuszką czasów bierutowskich". W 2019 r. został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Zanim został księdzem, Roch Łaski był ochotnikiem w wojnie z bolszewicką Rosją w 1920 r., brał udział jako kapelan w kampanii wrześniowej. Po aresztowaniu w 1941 r. został osadzony – jak setki księży – w obozie koncentracyjnym w Dachau. Po uwolnieniu był kapelanem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Wrócił do kraju w mundurze PSZ i został administratorem parafii w Witowie (diecezja łódzka). Nic nie wiadomo o jakichkolwiek kontaktach księdza z antykomunistycznym podziemiem, mimo to ściągnął na siebie uwagę

Ksiądz Michał Pilipiec FOT. IPN

ubeków z powodu swojego wielkiego zaangażowania duszpasterskiego. Był przez nich zatrzymywany i bity, ostatni raz wywleczono go z kościoła w Wielki Piątek 1949 r. Oprawcy powiedzieli: „Ksiądz mógł Dachau przeżyć, ale UB ma lepsze metody i tu ksiądz nie przeżyje". Obrażenia, których doznał duchowny, spowodowały po miesiącu jego śmierć.

Księża wśród żołnierzy

Według ks. Józefa Dębińskiego, autora artykułu „Kościół w Polsce represjonowany przez komunistów", do 1956 r. komuniści zabili 37 księży diecezjalnych i 57 zakonnych.

Ze szczególną zajadłością nowe czerwone władze tępiły księży, którzy byli członkami antykomunistycznego podziemia, kapelanami oddziałów, bądź tych duchownych, którzy udzielali pomocy i schronienia partyzantom, represjonowano także za spowiadanie Żołnierzy Wyklętych, odprawienie mszy w ich intencji, poświęcenie ryngrafów. Komuniści wiedzieli bowiem, jak ważne dla walczących z nimi jest moralne, religijne wsparcie ze strony księży. Duchowni byli aresztowani, sądzeni i trafiali do więzienia także dlatego, że nie donosili na żołnierzy podziemia antykomunistycznego, nie informowali Urzędu Bezpieczeństwa o oddziałach na terenie ich parafii. Wielu duchownych, członków podziemia lub tylko wspierających je oskarżano o to, że mając związek z oddziałami antykomunistycznymi, dążyli przemocą do obalenia „ludowo-demokratycznego", czyli komunistycznego, ustroju państwa polskiego.

Karmelita trzewiczkowy Kazimierz Łuszczyński podczas okupacji niemieckiej został członkiem lubelskiego oddziału NSZ i pozostał w konspiracji, gdy władzę objęli komuniści. Zajmował się sprawami administracyjno-gospodarczymi i archiwum, przekazywał też rozkazy. Został aresztowany latem 1945 r. Dołączono go do oskarżonych w pokazowym procesie żołnierzy Pogotowia Akcji Specjalnej NZW, w Wojskowym Sądzie Okręgowym w Warszawie, m.in. o zabójstwo ukraińskich mieszkańców wsi Wierzchowiny. Jednak karmelita nie miał z tym nic wspólnego, podobnie jak wszyscy inni – z wyjątkiem jednego – oskarżeni. Sześciu z nich, w tym zakonnik Łuszczyński, zostali skazani na śmierć i straceni w 1946 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Jezuita ks. Władysław Jan Gurgacz przeżył w latach 1947–1948 dwa zamachy na swoje życie, chciano go zamordować za odważne kazania, w których wykazywał zasadniczą sprzeczność między religią chrześcijańską a komunizmem. Zapewne ratując się przed aresztowaniem, przyłączył się do partyzanckiego oddziału Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej, w którym był kapelanem. Wraz z jego członkami został aresztowany w 1949 r. Oskarżano go m.in. o to, że codziennym odprawianiem mszy świętej dla żołnierzy oddziału podniecał ich fanatyzm.

Przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Krakowie mówił: „Ci młodzi ludzie, których sądzicie, to nie bandyci, jak ich oszczerczo nazywacie, ale obrońcy ojczyzny. Chciałem Polski wolnej i o nią walczyłem". Został skazany na śmierć, odmówił podpisana podania o łaskę do Bieruta. Został rozstrzelany w 1949 r. w więzieniu przy Montelupich w Krakowie. W 2007 r. prezydent Lech Kaczyński odznaczył pośmiertnie ks. Gurgacza Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Jedenaście lat później ekipa IPN odnalazła szczątki księdza na cmentarzu Rakowickim.

Najpewniej Bierut i tak nie skorzystałby z prawa łaski, tak jak się to stało w przypadku ks. Rudolfa Marszałka, chrystusowca. Zaraz po wojnie dwukrotnie przebywał w Niemczech, by zorganizo-

eprasa.pl 434f19b026

wać przerzut z Polski żołnierzy NSZ. Po powrocie do kraju dołączył do oddziału Henryka Flamego „Bartka" i był w nim kapelanem. Po aresztowaniu w końcu 1946 r. oskarżono go o montowanie siatki szpiegowskiej, ucieczkę za granicę, przechowywanie broni. Wyrok śmierci został wykonany w marcu 1948 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

Wśród aresztowanych ludzi związanych z misją rtm. Witolda Pileckiego znalazł się ks. Antoni Czajkowski, duchowny z archidiecezji warszawskiej. Po rozmowie z Pileckim ksiądz podjął się zadania dostarczenia do oddziału Kazimierza Kamieńskiego „Huzara", jednego z najbardziej znanych dowódców antykomunistycznego podziemia, instrukcji zalecających demobilizację oddziałów zbrojnych, a także utrzymywał kontakt między rotmistrzem i ludźmi „Huzara". Ksiądz był przeciwnikiem walki zbrojnej z komunistami i zwolennikiem ujawniania się partyzantów. Został aresztowany w grupie ludzi związanych z Witoldem Pileckim w czerwcu 1947 r., zarzucano mu m.in. to, że wykonywał instrukcje rotmistrza dotyczące reorganizacji oddziałów WiN w placówki informacyjno-wywiadowcze. Pilecki temu zaprzeczył. Nieprawdziwe było też oskarżenie, że ksiądz był członkiem WiN w oddziale „Huzara". Mimo to został skazany na 11 lat więzienia. Złamany w śledztwie ks. Czajkowski podpisał nieprawdziwe zeznania i wystąpił jako świadek oskarżenia w procesie Pileckiego. W 1953 r. uzyskał przerwę w odbywaniu kary, ponowioną później ze względu na ciężki stan zdrowia.

W 1950 r. UB aresztował ks. Piotra Oborskiego, proboszcza w Wolbromiu. Zarzucono mu, a także jego wikariuszowi ks. Zbigniewowi Gadomskiemu, współpracę z podziemną organizacją Armia Polska. Według aktu oskarżenia ks. Oborski wspierał moralnie tę organizację i udzielał wskazówek jej członkom, a także nie doniósł o planach zabójstwa chłopca, który odgrażał się, że zadenuncjuje ich do UB. Ksiądz o tym zamiarze dowiedział się podczas spowiedzi i nie mógł tego ujawnić, jednak poczynił wszelkie starania, by nie wykonano wyroku na potencjalnym denuncjatorze. Ksiądz Oborski zapytany w sądzie, czy przyznaje się do winy, pokazał poranione po torturach ciało. Obaj duchowni zostali skazani na dożywocie. Ksiądz Piotr Oborski odbywał karę w więzieniu w Rawiczu, zmarł w szpitalu w 1952 r. Przyczyną śmierci było brutalne traktowanie go i bicie przez strażników.

Ksiądz Michał Rapacz
FOT. WIKIPEDIA/ARCHIWUM SANKTUARIUM MATKI BOŻEJ PATRONKI RODZIN ROBOTNICZYCH W PŁOKACH

Ksiądz Władysław Gurgacz. Fotografia zainscenizowana przez UB FOT. IPN

Zniszczona psychika

Brutalne śledztwa i ciężkie warunki więzienne spowodowały, że wielu księży straciło zdrowie. Bywało, że także psychiczne. Ksiądz Bolesław Stefański podczas okupacji niemieckiej pomagał ukrywającym się Żydom, dołączył do oddziału AK, podczas powstania był kapelanem, walczył z bronią w ręku, a po wojnie był dowódcą Pogotowia Akcji Specjalnej NZW w Warszawie. Był jedynym księdzem, który stał na czele antykomunistycznego oddziału. W czerwcu 1946 r. został aresztowany. „Zapewne w wyniku śledztwa zaczął zdradzać objawy choroby psychicznej. Adwokatowi ks. Stefański oświadczył, że nawiedzają go ciągle widziadła bliskich osób, że słyszy ciągle przemawiające do niego głosy itp." („Leksykon…"). Wniosek adwokatów o zbadanie księdza przez psychiatrę został odrzucony. Ksiądz został skazany na karę śmierci, zamienioną następnie na dożywotnie więzienie, później na 15 lat więzienia. W 1953 r. został umieszczony w szpitalu psychiatrycznym. Wolność, ale nie zdrowie, odzyskał rok później.

Jednocześnie z prymasem Stefanem Wyszyńskim został aresztowany Antoni Baraniak – jego były sekretarz (do 1951 r.) i biskup pomocniczy gnieźnieński. Komuniści liczyli, że ten bliski współpracownik prymasa da się złamać i będzie świadkiem oskarżenia w ewentualnym procesie przeciw Wyszyńskiemu. Dlatego zastosowano wobec bp. Baraniaka najbrutalniejsze tortury, bito go, wrzucano nagiego do wilgotnej, ciemnej celi z fekaliami, pozbawiano snu, stosując tzw. konwejer, czyli wielogodzinne przesłuchania (było ich 145). Mimo to się nie załamał, powtarzał sobie: „Baraniak, ty nie możesz się ześwinić". W 1955 r. został zwolniony, ale natychmiast potem internowany. Wyszedł ze zrujnowanym zdrowiem. Pamiątką po śledztwie pozostały blizny na plecach. Ksiądz Jerzy Myszor, redaktor „Leksykonu…", mówił w wywiadzie dla „Gościa Niedzielnego", że straszne przeżycia ze śledztwa pozostawiły trwały ślad w psychice bp. Baraniaka, który miał potem trudności z koncentracją. Antoni Baraniak został później arcybiskupem poznańskim. W 2017 r. rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny jako męczennika komunizmu.

W 1956 r. księża opuścili więzienne cele, nie wypuszczono jednak ks. Piotra Gadomskiego, który wyszedł na wolność w 1961 r. po odsiedzeniu 10,5 roku. Od 1945 r. do końca epoki stalinowskiej w Polsce komuniści zabili ponad 91 księży, a prawie 900 było więzionych.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 434f19b026

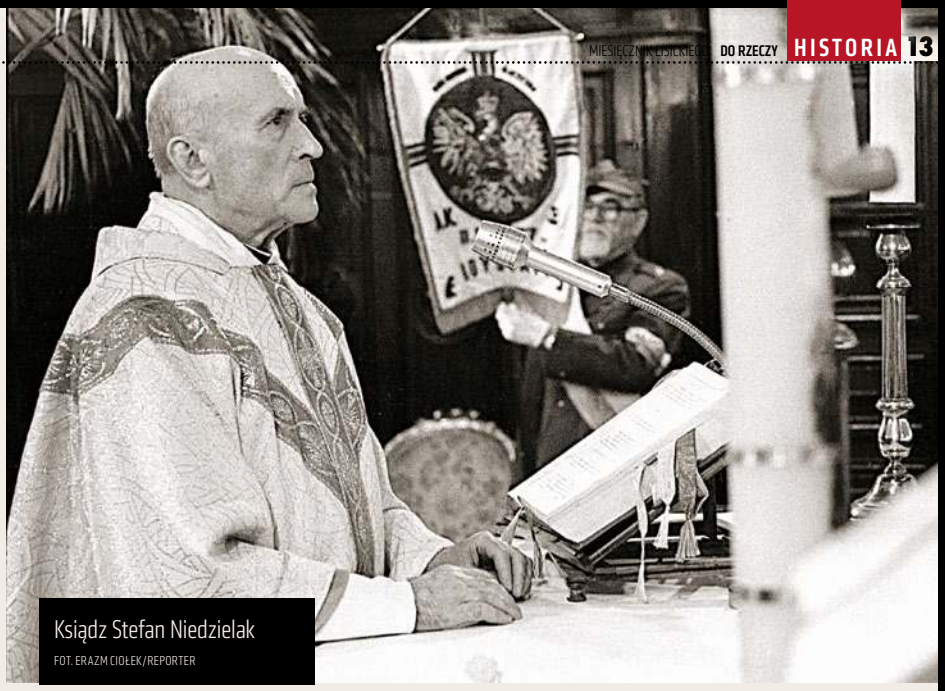

Ksiądz Stefan Niedzielak

FOT. ERAZM CIOŁEK/REPORTER

Piotr Dmitrowicz

III Rzeczpospolita nie dopełniła swojego obowiązku. Zarówno głośne morderstwa księży, jak i tajemnicze zgony duchownych sprzed ponad trzech dekad nie zostały nigdy w pełni wyjaśnione

Lata 80. / Niewyjaśnione zbrodnie bezpieki

Ostatnie ofiary SB

Styczeń roku 1989, trwają intensywne przygotowania do rozmów opozycji z komunistami. Stolarze kończą montować okrągły stół, najsłynniejszy mebel rodzącej się III RP. Lech Wałęsa podkreśla konieczność rozmów i dogadania się z rządzącymi, a zwykli ludzie myślą, jak przetrwać do pierwszego w coraz bardziej pogłębiającym się chaosie gospodarczym. Tymczasem 20 stycznia w niewyjaśnionych okolicznościach ginie ks. Stanisław Niedzielak, proboszcz warszawskich Powązek. Kilka przed mordem ksiądz usłyszał w telefonie: „Jak się nie uspokoisz, zdechniesz jak Popiełuszko". Kto i dlaczego mógł grozić księdzu?

Przyjrzyjmy się długiemu życiu duchownego, bo zapewne tam znajdziemy odpowiedź. Urodzony w Płocku w 1914 r., święcenia kapłańskie przyjął w czasie wojny. Zaangażowany w konspirację, brał udział w powstaniu warszawskim. Był kurierem, który przekazał abp. Adamowi Sapieże tzw. depozyt katyński – materiały z przeprowadzonych przez Niemców ekshumacji w Lesie Katyńskim, które nie pozostawiały wątpliwości, że mordu dokonali Sowieci. Po wojnie działał w podziemnym Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość. Aresztowany przez komunistów, spędził kilka miesięcy w więzieniu. W 1956 r. trafił do kościoła św. Karola Boromeusza na Powązkach, gdzie zapewne dowiedział się o pomordowanych przez komunistów żołnierzach podziemia antykomunistycznego wrzucanych do bezimiennych grobów. W 1977 r. został proboszczem w kościele św. Karola Boromeusza. Razem z Wojciechem Ziembińskim rozpoczął działania na rzecz budowy Sanktuarium „Poległym i Pomordowanym na Wschodzie". W ściany kościoła wmurowano około tysiąca tabliczek upamiętniających zamordowanych w zbrodni katyńskiej. Odprawiał również rocznicowe msze święte, podczas których przypominał sowieckie mordy. Jesienią 1988 r. ks. Niedzielak został napadnięty i uderzony w głowę podczas spaceru po cmentarzu Powązkowskim. Kilka miesięcy później, 21 stycznia 1989 r., jego zwłoki zostały odkryte w budynku parafialnym. Ciało nosiło ślady pobicia.

Po śmierci księdza rozpoczęto śledztwo, które od początku prowadzone było zaskakująco opieszale. Charakterystyczne, że w powołanej grupie dochodzeniowej znaleźli się funkcjonariusze Departamentu IV MSW, czyli ci, którzy na co dzień zajmowali się zwalczaniem Kościoła. Śledztwo prowadzono „po linii" – szukać wątków łączących księdza z kobietami czy też z nieletnimi chłopcami. Pojawiły się informacje, jakoby ks. Niedzielak nadużywał alkoholu, robił malwersacje finansowe i handlował ziemią z Katynia. Pomijano przy tym kluczowe dowody, np. nie zajęto się lateksową rękawiczką, której fragment znaleziono na plebanii. Ostatecznie ten – być może – kluczowy dowód… zaginął. Śledczy odsuwali też wersję o tzw. komandzie śmierci, czyli specjalnej grupie mającej za zadanie mordowanie księży. Tymczasem wiemy, że zabójca ks. Niedzielaka miał cechy zawodowego mordercy. Mecenas Jan

eprasa.pl 434f19b026

Olszewski, pełnomocnik kurii warszawskiej i rodziny, podkreślał, że złamanie kręgosłupa mogło być następstwem nieszczęśliwego upadku z wysokości na twarde podłoże lub umiejętnego uderzenia z wielką siłą.

„Skończysz jak Popiełuszko"

Dziesięć dni po śmierci ks. Niedzielaka ginie kolejny ksiądz, 25-letni Stanisław Suchowolec. Kapłanem został w 1983 r. i wkrótce trafił na parafię do Suchowoli tuż obok Okopów, rodzinnej wsi ks. Popiełuszki. Kapłani szybko się zaprzyjaźniają. „Gdyby coś mi się stało, to Staszek mnie zastąpi" – powiedział ks. Jerzy podczas ostatniego spotkania z rodziną. Po zamordowaniu ks. Popiełuszki ks. Suchowolec założył izbę jego pamięci, a na cmentarzu wybudował jego symboliczny grób. Zaczął też tak jak ks. Jerzy odprawiać Msze za Ojczyznę. Bezpieka zaczyna go rozpracowywać w ramach sprawy operacyjnej „Suchowola".

Po przeniesieniu ks. Suchowolca do parafii w Białymstoku inwigilacja się nasila. SB podsłuchuje jego rozmowy telefoniczne, kilka razy uszkodzono mu samochód. W sierpniu 1988 r. „ktoś" rzuca cegłą w przednią szybę auta, którym podróżował ksiądz. Przypomnijmy, że podobne działania miały miejsce wobec ks. Popiełuszki. Ksiądz zaczyna być osaczany. Znajduje np. kartkę ze swoją podobizną na szubienicy. W anonimowych telefonach słyszy: „Skończysz jak Popiełuszko". Zaczynają się typowo esbeckie próby dyskredytacji w kurii.

Dzień przed śmiercią odwiedza księdza nieznany mężczyzna, po rozmowie z którym kapłan był bardzo zdenerwowany. Według niektórych badaczy ksiądz miał poznać nazwiska osób ze swojego najbliższego otoczenia, które współpracowały z SB i donosiły na niego. 30 stycznia ok. godz. 4.30 w związku z zapachem spalenizny na plebanii wyważono drzwi do pokoju księdza. W środku naleziono nieżywego księdza wraz z psem, dobermanem, który miał go chronić. Śledztwo stwierdza, że był to nieszczęśliwy wypadek. Ksiądz miał zginąć w wyniku zaczadzenia. Wznowione w 1991 r. śledztwo wykazuje, że było to podpalenie, a zabójstwo zostało w profesjonalny sposób upozorowane. Śledztwo umorzono w 1993 r. z powodu niewykrycia sprawców. W 2006 r. prokuratorzy IPN oświadczyli, że według nich za zabójstwem ks. Suchowolca stała SB.

Ksiądz Sylwester Zych. Zdjęcie śledcze, wykonane po zatrzymaniu go przez SB w 1982 r. FOT. IPN

Po Okrągłym Stole

11 lipca 1989 r. odnaleziono w Krynicy Morskiej ciało mężczyzny. Denat nie miał przy sobie dokumentów. Dopiero po dwóch dniach okazało się, że zmarły to ks. Sylwester Zych. Ksiądz przyjechał na wakacje do Braniewa. Zatrzymał się w parafii u swego przyjaciela, ks. Brandysa. Rano 10 lipca udał się do Fromborka, skąd statkiem miał popłynąć do Krynicy Morskiej. Wtedy widziano go po raz ostatni.

Śledztwo od początku prowadzono nieudolnie. Nie ma nawet pewności, czy to zwłoki ks. Zycha znaleziono na dworcu, ponieważ organa ścigania nie wykonały na miejscu żadnego zdjęcia. Rozpoznanie ciała nastąpiło 30 godzin później. Według ekipy pogotowia ratunkowego mężczyzna znaleziony na dworcu ubrany był w koszulę z długim rękawem, tymczasem ten z prosektorium miał koszulkę z krótkim rękawem. 14 lipca dokonano drugiej sekcji zwłok.

Okazało się, że ks. Zych miał połamane cztery żebra, urazy głowy (być może uderzenia od pałki) i dziwne nakłucia w okolicach żył. Łącznie biegli dostrzegli 54 różnego rodzaju obrażenia. W protokole z pierwszej sekcji wykonanej dwa dni po zgonie, jeszcze przed rozpoznaniem zwłok, brak jest jakichkolwiek adnotacji. Według oficjalnej wersji ks. Zych zmarł z powodu upojenia alkoholowego (miał mieć we krwi trzy promile). Jednak według zgodnej opinii wszystkich znających księdza był on abstynentem! Według „świadków" ksiądz miał spożywać alkohol w klubie Riwiera z „jakąś nieznaną osobą". Naoczni świadkowie to pracownicy nocnego klubu, którzy jako jedyni dostrzegli rzekomą libację księdza i opowiedzieli o tym Witoldowi Gołębiowskiemu, który na polecenie ówczesnego szefa TVP Jerzego Urbana nakręcił odpowiedni film. Barman, który o tym opowiadał w 1995 r., odwołał te zeznania. Nie znalazł się żaden inny świadek, który widział pijącego ks. Zycha.

Dwa lata wcześniej ks. Zych utrwalił na taśmie magnetofonowej swój testament. „Niech dobry Bóg was błogosławi i sprawi, abyśmy mogli spotkać się na gruzach komuny" – mówił. W maju 1989 r., a więc dwa miesiące przed śmiercią księdza, miał miejsce wypadek. Księdza Zycha zaatakowali „nieznani sprawcy". Został on wciągnięty do bramy i pobity, próbowano mu wlać mu do gardła alkohol.

Aby rozwikłać tajemnicę śmierci ks. Zycha, trzeba wrócić do stanu wojennego. Ksiądz pracował wtedy w parafii św. Anny w Grodzisku Mazowieckim. Tam właśnie grupa uczniów założyła Powstańczą Armię Krajową. W lutym1982 r., w trakcie próby rozbrojenia sierż. Zdzisława Karosa, chłopcy śmiertelnie go postrzelili. W trakcie prowadzonego śledztwa służby dotarły do ks. Zycha, u którego chłopcy ukryli broń. Po pokazowym procesie ks. Zych skazany został na cztery lata więzienia, ale Sąd Najwyższy podwyższył wyrok do sześciu lat. Po wyjściu z więzienia duchowny otrzymywał anonimy i telefony z pogróżkami, zapewne był też inwigilowany. Kilka razy został pobity. Z wakacji po Okrągłym Stole i czerwcowych wyborach już nie wrócił…

Swąd palonych akt

2 sierpnia 1989 r. została powołana Komisja Nadzwyczajna do Zbadania Działalności MSW. W jej skład weszło 23 posłów sejmu kontraktowego, a na jej czele staną poseł Jan Maria Rokita z Oby-

eprasa.pl 434f19b026

Pożegnanie ks. Stanisława Suchowolca

FOT. IPN, DAR JÓZEFA POLIŃSKIEGO

watelskiego Klubu Parlamentarnego. W pracach komisji faktycznie uczestniczyło tylko 13 posłów. Ci z PZPR oczywiście wycofali się z działania w komisji. Wyłoniono też liczący 22 osoby zespół ekspercki. Formalnie komisja miała się zająć zbadaniem przedstawionych przez Komisję Helsińską 93 przypadków niewyjaśnionych zgonów z czasów od 12 grudnia 1981 do 1989 r., z wyłączeniem spraw toczących się w prokuraturze. Już na początku komisji wybito zęby. Nie dostała ona uprawnień śledczych i nieograniczonego dostępu do archiwów, a świadkowie nie byli poddawani rygorowi odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania. Komisja co najwyżej mogła prosić o przybycie i złożenie zeznań!

Aura pracy komisji jako żywo przypomina film Władysława Pasikowskiego „Psy". Ubecy pod nadzorem ówczesnego ministra MSW gen. Czesława Kiszczaka niszczą akta. Rokita apeluje do ówczesnego premiera Mazowieckiego o powstrzymanie procederu, a ten odsyła go z interwencją do… ministra Kiszczaka. W styczniu 1990 r. Rokita pisze dramatyczny apel w sprawie palenia akt do ówczesnego szefa Obywatelskiego Klubu Politycznego Bronisława Geremka. Po latach oryginał listu odnajduje się w osobistym archiwum… Kiszczaka.

„Dokumenty nadal niszczono. Ale skutkiem mojego listu do Geremka i konferencji prasowej, którą zwołałem w Sejmie, był wydany w styczniu przez Kiszczaka formalny zakaz niszczenia. Od tego czasu proceder ten był o wiele mniej ostentacyjny, a w każdym razie skończyła się masowa nocna wywózka akt" – mówił Jan Rokita w 2019 r. w wywiadzie z „Rzeczpospolitą".

26 września 1991 r. komisja przedstawiła swój raport. Stwierdziła w nim, że na 120 niewyjaśnionych przypadków śmierci 88 ma związek z działalnością SB. Podano nazwiska ok. 100 zamieszanych w to funkcjonariuszy i ok. 70 prokuratorów! Co powinno się stać? Raport wywołuje szok, organa ścigania ruszają do akcji, następują kolejne aresztowania i ujawniane są nowe dokumenty, a sprawcy trafiają za kratki. To oczywiście absolutna fantazja. Nie dzieje się absolutnie nic, a raport na lata zostaje utajniony!

Komando śmierci

Ważną część raportu stanowiła jego IV część, czyli informacja o bezprawnej działalności grupy „D" Departamentu IV MSW. „D", czyli dezintegracja. Funkcjonariusze komórki „D" byli odpowiedzialni za śmierć przynajmniej siedmiu księży katolickich, którzy zginęli w niewyjaśnionych do końca okolicznościach w latach 1983–1989. Z raportu Rokity: „Zniszczenie większości materiałów operacyjnych dotyczących działalności całego pionu IV byłej Służby Bezpieczeństwa nie pozwala na jednoznaczne udokumentowanie wszystkich zadań, które były nałożone na komórki »D« w centrali i w terenie". W innym miejscu raportu czytamy: „Działania zarówno organów ścigania MSW, prokuratury czy sądów, jak i organów odpowiedzialnych za wykonanie kary z góry nastawione były na niedopuszczenie do odpowiedzialności funkcjonariusza MSW, co do którego zachodziło podejrzenie, że popełnił ciężkie przestępstwo". A w konkluzji: „Nie można wykluczyć, że w trakcie działań specjalnych miały miejsce przypadki zabójstw".

Tak wyglądała choćby sprawa ks. Stanisława Palimąki. 27 lutego 1985 r. ks. Palimąka wsiadł w swojego niebieskiego fiata 125, aby odwieźć katechetę. Wkrótce jego siostra i jednocześnie gosposia zobaczyła martwego proboszcza przy drzwiach garażowych. Według oficjalnej wersji auto, staczając się do garażu z podjazdu, najechało na ks. Palimąkę, powodując jego śmierć. Już 30 marca 1985 r. umorzono dochodzenie, nie stwierdzając przestępstwa. Ksiądz znany był z odważnych i bezkompromisowych kazań. Komisja Rokity dopatrzyła się wielu wątpliwości. W raporcie napisano m.in.: „Postępowanie zostało ukierunkowane na niestwierdzenie przestępstwa już w momencie dokonywania pierwszych czynności procesowych. Dopuszczono do utraty (na skutek niezabezpieczenia) wielu istotnych dowodów (m.in. nie dokonano badań, czy na monecie blokującej dźwignię hamulca ręcznego znajdują się odciski palców). Nie przesłuchano wszystkich świadków, wykonane przez biegłych ekspertyzy są obarczone uchybieniami, nie odpowiadają na podstawowe pytania. Wreszcie nie przeprowadzono eksperymentu, który miałby określić wielkość siły uderzenia staczającego się samochodu na przeszkodę umieszczoną bezpośrednio pod drzwiami garażu".

Wątpliwości budziła też śmierć ks. Antoniego Kija, przez lata prześladowanego przez SB. Już na emeryturze podczas pobytu w Gdyni został porwany i po sześciu dniach porzucony w parku. Miał połamane żebra, krwiaki i krwotok do płuc. Zmarł w sierpniu 1984 r., nie odzyskawszy przytomności. Okoliczności porwania nigdy nie zostały wyjaśnione. Podobnie niewyjaśniona została śmierć o. Honoriusza – dominikanina, duszpasterza akademickiego z Poznania i twórcy Ośrodka Pomocy Represjonowanym Politycznie. Ojciec Honoriusz (Stanisław Kowalczyk) miał wypadek na prostej drodze, gdy przy świetnej widoczności i idealnej pogodzie uderzył w drzewo. Nikt ze znających ojca od początku nie wierzył w wypadek. Feralnego dnia, przed wyjazdem, powiedział do jednej z kobiet: „Gdybym nie wrócił, to niczego nie odwołujcie, niech wszystko leci tak, jakbym był". Niewyjaśnione zabójstwa duchownych z lat 80. pozostają nadal wielkim wyrzutem sumienia III RP.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 434f19b026

Ksiądz Jerzy Popiełuszko

FOT. ANDRZEJ IWAŃSKI/CYFROWE ARCHIWUM PAMIĄTEK/CC 3.0

Wywiad / Z Tomaszem Wiścickim, współautorem książki „Ksiądz Jerzy Popiełuszko"

rozmawia Piotr Włoczyk

Kremlowski ślad

PIOTR WŁOCZYK: Jak wysoko i jak daleko prowadzą tropy w sprawie zleceniodawców zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki?

TOMASZ WIŚCICKI: Problem w tym, że wciąż wiemy o tej sprawie bardzo niewiele. Władze PRL wytypowały do ukarania najniższy możliwy szczebel decydencki, czyli wicedyrektora Departamentu IV MSW płk. Adama Pietruszkę. Logika podpowiada jednak, że nie mogło się to kończyć na tym jednym decydencie. To akurat jest jednym z niewielu pewników w tej sprawie: „góra" musiała to przecież Pietruszce jasno rozkazać.

– Ksiądz Jerzy padł najpewniej ofiarą walki na szczytach władzy w PRL i w Sowietach. Dlatego to wyglądało tak dziwnie jak na ten system: władze PRL zdecydowały się ujawnić bezpośrednich sprawców, a następnie postawić ich przed sądem – mówi Tomasz Wiścicki

Dokładnie w drugą stronę poszli prokuratorzy w czasie procesu toruńskiego: wina ogranicza się do czterech esbeków, którzy mieli działać samowolnie i bezprawnie, bez wiedzy kierownictwa resortu.

W pierwszych latach Polski Ludowej możliwe były takie prywatne mordy w ramach UB, ale 40 lat później SB było już świetnie działającą machiną i mordowano tam na rozkaz.

eprasa.pl 434f19b026

To oczywiste, że bez impulsu od przełożonych ta czwórka nie tknęłaby ks. Jerzego palcem.

Już w czasie procesu toruńskiego stronie opozycyjnej udało się wykazać w sposób jednoznaczny, że było to działanie resortu, a nie pojedynczych funkcjonariuszy. Nie było wówczas możliwe odkrycie prawdy, ale czterech mecenasów zadbało o to, żeby proces nie przebiegł dla władz zupełnie bezboleśnie.

Niestety, na temat tego, kto wydał wyrok śmierci, oraz tego, jaka gra toczyła się wokół zamordowania ks. Popiełuszki, jesteśmy skazani jedynie na spekulacje. Czesław Kiszczak powiedział wówczas o płk. Pietruszce, że musi on odgrywać rolę tamy dla tej sprawy. Niestety, ta tama wciąż się trzyma i dlatego prawda do dziś nie wypłynęła na jaw.

Na ile prawdopodobny jest trop moskiewski?

Uważam ten wątek za wielce prawdopodobny. Zresztą już w czasie procesu toruńskiego sugerował to w zawoalowany sposób mec. Jan Olszewski, mówiąc, że za zabójstwem ks. Jerzego stoi kraj, który „zna każde polskie dziecko".

Ksiądz Jerzy nieco ponad miesiąc przed śmiercią stał się bohaterem artykułu dziennikarza „Izwiestii" Leonida Toporkowa. To oczywiście nie było żadne dziennikarstwo, ponieważ ta gazeta była częścią aparatu władzy. Pojawienie się tego tekstu oznaczało, że ktoś na Kremlu stwierdził: „Napiszcie o tym polskim księdzu, żeby wiadomo było, że go zauważyliśmy". Uznano tym samym ks. Jerzego za wroga nie tylko w skali PRL, lecz także całego bloku wschodniego. Takie rzeczy bardzo źle się kończyły...

Pokazuje to, że zainteresowanie polskim kapłanem ze strony Kremla nie jest tylko czystą spekulacją – sowieccy decydenci faktycznie zwrócili na niego uwagę. Jeżeli Sowiety były w to zaangażowane, to jego zabójstwo musiało być kwestią polityczną, a nie tylko policyjną.

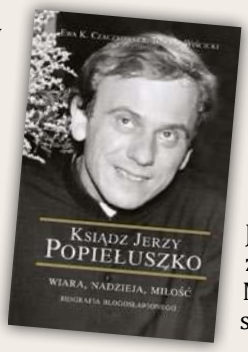

Co konkretnie uprawdopodabnia interwencję Moskwy?

Pewną przesłanką jest to, że Grzegorz Piotrowski miał konto w rublach.

Ksiądz Jerzy Popiełuszko podczas mszy w rocznicę strajku w Hucie Warszawa FOT. IPN

To było takie nietypowe w tamtych czasach?

Konto w rublach nie było wtedy rzeczą oczywistą nawet w aparacie represji. Piotrowski jeździł do Sowietów na tyle często, że pojawiła się potrzeba założenia mu takiego konta. Był on wytypowany do koordynowania z innymi służbami bloku wschodniego walki z duchownymi.

O koncie w rublach wiemy dzięki aktom śledztwa, które zostały przygotowane w sposób rutynowy. Jednak już na procesie toruńskim próżno szukać informacji o koncie – wyczyszczono ten fragment akt. Ktoś uznał najwyraźniej, że ta informacja jest niebezpieczna...

O co mogło chodzić Kremlowi? O sprowokowanie władz PRL do spacyfikowania opozycji?

Interesującą hipotezę przedstawił Andrzej Grajewski. Jego zdaniem kręgi związane z gen. Mirosławem Milewskim, poprzednikiem Kiszczaka na stanowisku szefa MSW, liczyły, że mord na księdzu wywoła zamieszki, z którymi nie poradzi sobie ekipa Jaruzelskiego, a wtedy władza zostanie powierzona właśnie Milewskiemu. Z kolei Jaruzelski i Kiszczak wiedzieli o tych planach i im nie zapobiegli, licząc – jak się okazało, słusznie – że sobie poradzą. Taka gra nie byłaby możliwa bez wiedzy i zgody Moskwy. Obie strony odwoływały się przy tym do innych tamtejszych kręgów. Najwyraźniej ekipa Jaruzelskiego postawiła na lepszego konia. Oczywiście to tylko hipoteza, ale wewnętrznie spójna i wyjaśniająca przebieg wypadków. Trudno tu jednak cokolwiek powiedzieć w odpowiedzialny sposób, ponieważ weszliśmy w obszar spekulacji. Jedno możemy powiedzieć z całą pewnością: toczyła się wówczas walka o władzę. W Polsce ze starcia zwycięsko wyszli Jaruzelski z Kiszczakiem, ale na Kremlu walka o władzę wciąż trwała.

Kremlem rządził wtedy Konstantin Czernienko, czyli drugi z przejściowych sekretarzy po Juriju Andropowie. Wiadomo było, że szykuje się nowe rozdanie, choć mało kto przewidywał, że władza dostanie się w ręce Gorbaczowa. Ofiarą tych gier mógł paść ks. Jerzy. Kontekst krajowy również jest tu ważny. Był to bowiem okres „dożynania" gen. Milewskiego. Właśnie wtedy rozpoczął się kolejny etap odsuwania go od władzy.

Często jest tak, że o sytuacji wewnątrz mafii dowiadujemy się wtedy, kiedy jedna jej frakcja zacznie walczyć z drugą. Według mnie to był właśnie ten casus.

eprasa.pl 434f19b026

Mordercy ks. Jerzego Popiełuszki w sądzie. Na pierwszym planie: Grzegorz Piotrowski FOT. IPN

Sowieci mieli oficjalne i nieoficjalne kanały sprawowania władzy nad swoimi satelitami. Pamiętajmy przy tym, że Kreml miał w państwach zależnych rozmaite frakcje, które wzajemnie się kontrolowały. Można domniemywać, że Piotrowski i jego otoczenie byli jednym z takich nieoficjalnych kanałów. Wskazuje na to fakt, że kiedy Piotrowski był przenoszony z Łodzi do Warszawy, to jednym z pierwszych jego zadań było spotkanie z towarzyszami z czechosłowackiego StB. To pokazuje, że Piotrowski nie był zwykłym esbekiem. Był bardzo zaufanym człowiekiem w aparacie bezpieczeństwa.

Kreml mógł chcieć zaszkodzić Kiszczakowi i Jaruzelskiemu tym zabójstwem?

To była ich wersja, ale ja w to nie wierzę. Kreml mógł najwyżej chcieć ich zdyscyplinować, ale przecież gdyby ta ekipa naprawdę nie była na rękę Moskwie, to obaj generałowie zostaliby po prostu usunięci.

Ksiądz Jerzy padł najpewniej ofiarą walki na szczytach władzy w PRL i w Sowietach. Dlatego to wyglądało tak dziwnie jak na ten system: władze PRL zdecydowały się ujawnić bezpośrednich sprawców, a następnie postawić ich przed sądem.

Podkreślmy, że w skali całego bloku komunistycznego nie było nigdy przypadku, by mordercy z tajnej policji byli kiedykolwiek pociągnięci publicznie do odpowiedzialności za zabicie człowieka opozycji.

Pytanie, dlaczego Kreml miałby dać zrobić krzywdę swoim ludziom?

To dobre pytanie. Można domniemywać, że Kiszczak nie wydałby ich bez zgody Kremla. Nie da się bowiem twierdzić, że zostali postawieni przed sądem wbrew Moskwie, niejako w zemście za intrygę Kremla. Jaruzelski i Kiszczak byli przecież wiernymi sługami Sowietów.

Sutanna ks. Jerzego Popiełuszki, którą miał na sobie w momencie śmierci FOT. MUZEUM KS. POPIEŁUSZKI

Nie zrobiliby niczego wbrew swoim mocodawcom.

Logika podpowiada nam, że skoro nie zdecydowano się na zastosowanie metody „nieznanych sprawców", jak miało to miejsce choćby w przypadku ks. Stefana Niedzielaka, ks. Stanisława Suchowolca i ks. Sylwestra Zycha, to znaczy, że musiała się tam toczyć bardzo skomplikowana gra.

O zamordowaniu ks. Jerzego mówiła naprawdę cała Polska, a nie tylko opozycja. Najprawdopodobniej Jaruzelski i Kiszczak uznali, że mniejszym złem będzie poświęcenie tych ludzi, co było bezprecedensowe, niż ryzykowanie wybuchu społecznego. Zresztą po procesie władze PRL były z siebie bardzo zadowolone. Według nich wszystko świetnie się udało: PRL pokazała, że jest praworządnym państwem, więc zaufanie do władzy wzrosło. Jaruzelski z Kiszczakiem poczuli się na tyle pewni, że zaczęli snuć wtedy plany wielkiej propagandowej ofensywy antykościelnej.

Co obciąża w tej sprawie Czesława Kiszczaka?

Najpoważniej, ale równocześnie bardzo wiarygodnie brzmi oskarżenie Pietruszki. Twierdzi on bowiem, że na własne oczy widział parafę Kiszczaka na stenogramie z podsłuchu w mieszkaniu księdza po próbie zamachu z 13 października. Podsłuchiwani zastanawiali się wówczas, co tak naprawdę się stało na drodze. Kiszczak skomentował później słowa Pietruszki, mówiąc, że nie pamięta, czy faktycznie tak było. To bardzo wiele mówiące: nie zaprzeczył temu, ponieważ zapewne bał się, że w przypadku, gdyby kiedyś znalazł się ten papier, mógłby zostać oskarżony co najmniej o składanie fałszywych zeznań. W związku z tym najbardziej optymistyczna wersja dla Kiszczaka jest taka, że wiedział o pierwszej próbie zamachu na ks. Jerzego.

A co z Jaruzelskim?

Obaj działali w tandemie. Niemożliwe, żeby Kiszczak robił ważne rzeczy na własną rękę.

Wielu ludzi do dziś podejrzewa kierowcę ks. Popiełuszki o udział w tym spisku.

To, że Waldemar Chrostowski wyskoczył z auta pędzącego i przeżył,

eprasa.pl 434f19b026

Krzyż w miejscu, gdzie z Wisły koło Włocławka wyłowiono ciało ks. Jerzego Popiełuszki

FOT. WIKIPEDIA/SEBASTIAN M./CC BY-SA 2.5

było kompletnie nieprzewidziane. I był to cud. Trudno podejrzewać, by SB liczyło na cud. Pamiętajmy, że Waldemar Chrostowski wyskoczył przy świadkach stojących przy drodze, a Piotrowski starał się go w ostatniej chwili powstrzymać.

Nie dziwmy się też, że esbecy nie rzucili się w pościg za uciekinierem. Do ucieczki doszło we wsi, w której paliły się światła. Trudno, żeby mając ks. Jerzego Popiełuszkę w bagażniku, esbecy urządzali polowanie na tego byłego komandosa. Poza tym byli przecież tak pewni, że będą kryci przez zwierzchników, że zignorowali ucieczkę Chrostowskiego. Pękala zeznał później, że Piotrowski skomentował ucieczkę Chrostowskiego krótkim: „A niech sobie ucieka". Wierzyli, że ich mocodawcy – a dla nich najważniejsze było zamordowanie księdza – będą ich kryli.

Warto też podkreślić, że wbrew krążącej do dziś plotki Waldemar Chrostowski nie był zarejestrowany jako TW. SB zaklasyfikowała go jako zabezpieczenie operacyjne (ZO). Sęk w tym, że to pojemna kategoria. Najprawdopodobniej oznacza to tyle, że traktowano go jako potencjalnego agenta. Trudno się temu dziwić – Chrostowski był z pewnością bardzo atrakcyjnym celem dla SB Nie można jednak powiedzieć, że skoro nie zachowały się dokumenty przesądzające tę sprawę, to Chrostowski był agentem. Żeby rzucić takie oskarżenie, trzeba mieć mocne dowody, a tych w przypadku Waldemara Chrostowskiego po prostu brak.

Można ufać oficjalnej wersji śmierci ks. Popiełuszki, przedstawionej przez władze PRL?

Moim zdaniem w sprawie samego mordu możemy z grubsza wierzyć tym ustaleniom. Jeżeli bowiem ksiądz był torturowany przez kilka dni, jak do dziś twierdzą niektórzy, to dlaczego nie było po tym śladów? Tymczasem nie ma najmniejszych wątpliwości, że sekcja zwłok została przeprowadzona rzetelnie i nie wykryto podczas niej śladów torturowania. Ksiądz Jerzy został zatłuczony kijem i pięścią przez Piotrowskiego, a następnie został uduszony. To naprawdę wystarczy. Oczywiście możliwe, że pewne szczegóły zbrodni się nie zgadzają, przykładowo trasa, którą pokonali esbecy z księdzem w bagażniku, mogła wyglądać nieco inaczej, żeby ukryć inne zamieszane w to osoby, ale w najważniejszych kwestiach wszystko zostało wyjaśnione.

Osoby, które twierdzą, że ks. Jerzy zginął kilka dni później, muszą zdawać sobie sprawę z konsekwencji tej tezy: oznaczałoby to bowiem, że Piotrowski i jego dwaj wspólnicy są niewinni. O ile wystarczająco trudno zrozumieć, dlaczego władze PRL zdecydowały się zamknąć w więzieniu swoich ludzi, o tyle pomysł, że Kiszczak z Jaruzelskim wsadziliby do więzienia niewinnych esbeków, którzy mieliby jeszcze opowiadać o niepopełnionej przez siebie zbrodni, przechodzi już ludzkie pojęcie.

Do dziś nierozwiane zostały jednak wątpliwości dotyczące samych okoliczności znalezienia ciała kapłana.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa można powiedzieć, że ciało ks. Jerzego zostało wyłowione już 26 października – taką nieoficjalną informację przekazali milicyjni płetwonurkowie, którzy brali udział w tej akcji.

Kiszczak najwyraźniej nie widział, w jakim stanie był ks. Jerzy. Musiał to sprawdzić, przygotować swój resort do akcji dezinformacyjnej i dopiero potem jeszcze raz oficjalnie „odnaleźć" ofiarę. To jeszcze raz pokazuje, że nie był to perfekcyjny plan, realizowany od początku do końca według jednego scenariusza.

Istnieją pewne wątpliwości w sprawie tego, czy ks. Jerzy żył w momencie wrzucania go do wody czy był już martwy. Ja jednak wierzę słowom Chmielewskiego, który stwierdził, że był przekonany, iż wrzucali do wody martwe ciało, ponieważ nikt nie był w stanie przeżyć tylu ciosów w głowę. Piotrowski ma 1,90 m wzrostu, 100 kg wagi. Taki człowiek potrafi zabić człowieka pięścią.

Nie ma też żadnych wątpliwości, że ich celem było zabicie księdza z udręczeniem. Można się tylko zastanawiać, czy było to zlecenie z góry czy inwencja Piotrowskiego. Myślę, że w grę wchodzi raczej to drugie.

Sprawcy mogli się czuć komfortowo w czasie procesu i po nim? Wiedzieli, że resort przesadnie ich nie skrzywdzi?

Nie, ponieważ zdawali sobie sprawę, kto nad tym wszystkim czuwa. Wszyscy oni byli, wraz z ich rodzinami, cały czas pod kontrolą. Władze do końca bały się, że coś powiedzą, i pilnowały, żeby na zewnątrz nie wydostało się nic kompromitującego.

Prokurator domagał się dla Piotrowskiego kary śmierci. Mecenas Olszewski wspominał, że podczas odczytywania wyroku, a trwało to dłuższą chwilę, zanim sędzia doszedł do sedna, Piotrowski był przerażony, ręce mu zbielały. Odetchnął dopiero wówczas, gdy usłyszał: „25 lat więzienia". To był jedyny taki moment, ponieważ generalnie w czasie procesu był rozluźniony.

Co nam to mówi?

Piotrowski wiedział, z kim miał do czynienia, i nie był pewien, czy jego koledzy dotrzymają umowy. Tak jak nie miał iść do więzienia, a jednak poszedł, tak się bał, że ta niepisana umowa zostanie jeszcze raz złamana i jednak zawiśnie. Wtedy władze miałyby pewność, że Piotrowski faktycznie nigdy nie powie prawdy.

Komunistyczne MSW działało jak mafia i każdy wiedział, jaka jest kara za szkodzenie mafii. Przypomnijmy, że mec. Krzysztof Piesiewicz zapłacił za udział w tym procesie toruńskim najwyższą cenę. W 1989 r. jego 82-letnia matka Aniela została zamordowana, a sprawcy skrępowali ją tak samo, jak zrobili to z ks. Popiełuszką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Wiścicki jest publicystą i historykiem, znawcą historii Kościoła w czasach PRL, współautorem (wraz z Ewą K. Czaczkowską) książki „Ksiądz Jerzy Popiełuszko".

eprasa.pl 434f19b026

Służba Bezpieczeństwa daremnie usiłowała skłócić prymasa Stefana Wyszyńskiego i kard. Karola Wojtyłę

FOT. INSTYTUT PRYMASOWSKI STEFANA KARDYNAŁA WYSZYŃSKIEGO

1945–1989 / Agentura w Kościele

Bezpieka na polowaniu

Rafał Łatka

Aparat bezpieczeństwa Polski „ludowej" w walce z duchowieństwem odniósł wiele porażek i tylko nieliczne sukcesy

Kościół katolicki przez zdecydowaną większość okresu istnienia Polski „ludowej" był głównym wrogiem dla komunistycznej władzy. Wynikało to z kilku zasadniczych czynników. Najważniejszym z nich była chęć zbudowania „nowego człowieka" według wzorców sowieckich, wykorzenionego z więzi społecznych, o poglądach marksistowskich. „Ideałem", do którego dążono, było państwo bezwyznaniowe wrogie każdej religii. Tak nakreślone ideologiczne cele starano się realizować przez cały okres komunistycznej dyktatury, choć po 1956 r. zdano sobie sprawę, że całkowite zniszczenie lub pełne podporządkowanie Kościoła katolickiego przekracza możliwości PRL.

Jednym z głównych narzędzi do ograniczania społecznej roli duchowieństwa (głównie rzymskokatolickiego) był aparat bezpieczeństwa, który działał w tym zakresie na polecenie struktur centralnych i wojewódzkich Polskiej Partii Robotniczej, a następnie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (od 1948 r.

eprasa.pl 434f19b026

do końca istnienia systemu komunistycznego w Polsce). Można więc obrazowo powiedzieć, że bezpieka była mieczem (do niszczenia wrogów) oraz tarczą (do ochrony interesów PRL) trzymanymi w ręku przez aparat partyjny. Aparat bezpieczeństwa zatem: inwigilował, zdobywał informacje, prowadził działania dezintegracyjne wobec kapłanów, werbował do współpracy duchownych, a nawet używał działań o charakterze przestępczym, by „zwalczać reakcyjny kler" (jak pisano w licznych wytycznych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych). Zwalczanie Kościoła katolickiego w Polsce „ludowej" miało kilka etapów, co wprost przekładało się na aktywność aparatu bezpieczeństwa, który realizował cele nakreślone przez PPR/PZPR.

Stanisław Radkiewicz
FOT. WIKIPEDIA

Julia Brystigerowa
FOT. WIKIPEDIA

„Bić kler"

Pierwsze lata istnienia systemu komunistycznego stały pod znakiem niszczenia podziemia niepodległościowego i ugruntowywania władzy z nadania Moskwy. W tym czasie aparat bezpieczeństwa dopiero przygotowywał się do „rozprawy z klerem". Główne działania represyjne bezpieka prowadziła wobec duchownych zaangażowanych w oddziałach leśnych – czy to jako kapelanów, czy jako osoby, które w różny sposób wspierały czynną walkę z instalowaniem komunizmu w Polsce. Zmieniło się to po sfałszowaniu wyborów do Sejmu w styczniu 1947 r. Kilka miesięcy później, w dniach 13–15 października 1947 r., Julia Brystiger, dyrektor Departamentu V Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, podczas odprawy kierownictwa MBP wygłosiła referat pt. „Ofensywa kleru a nasze zadania", w którym poleciła „przystąpić do wszechstronnego i systematycznego rozpracowywania instytucji Kościoła w terenie. Główne obiekty: kuria biskupia, dekanaty, rada dekanacka, i instytucje najściślej oparte o diecezje (»Caritas«)". W dalszej części podkreślała, by „z całą stanowczością i bezwzględnością nie dopuścić do wdzierania się kleru i organizacji katolickich na grunt robotniczy. […] Systematycznie rozpracowywać prefektów szkolnych, przede wszystkim za pomocą agentury młodzieżowej […]". Podczas tej samej odprawy minister Stanisław Radkiewicz wygłosił referat, w którym podał konkretne wskazania odnośnie do zwalczania Kościoła katolickiego. Mówił o nim, że jest „najbardziej zorganizowaną reakcyjną siłą występującą przeciwko obozowi demokracji. […] Trzeba bić takiego wroga jak kler. Mamy bowiem do czynienia z przeciwnikiem najbardziej wyrafinowanym, najlepiej umiejącym posługiwać się podstępem i tym wszystkim, co łączy się z pojęciem jezuici". Za tego rodzaju wytycznymi szła intensyfikacja zwalczania Kościoła przez aparat bezpieczeństwa, która swój szczyt osiągnęła w latach 1949–1955.

Z końcem lat 40., celem zastraszenia bądź też wymuszenia zeznań obciążających inne osoby, wielu kapłanów wzywano na przesłuchania do siedzib UB. W trakcie przesłuchań byli oni psychicznie maltretowani, niekiedy stosowano względem nich przemoc fizyczną. Przesłuchania odbywały się najczęściej nocą i trwały wiele godzin. Należy pamiętać, że w omawianym okresie do aresztów i więzień trafiło kilkuset duchownych, zakonników i sióstr zakonnych oskarżonych o kolaborację z Niemcami lub pomoc i współpracę z podziemiem niepodległościowym. Wytaczano pokazowe procesy, w których akty oskarżenia były przygotowywane na podstawie informacji zdobytych przez UB. Najważniejsze z nich to: proces bp. Czesława Kaczmarka, kurii krakowskiej oraz wolbromski. Równocześnie w prasie piętnowano kapłanów jako „wrogów władzy ludowej". Zasadniczym celem procesów politycznych osób duchownych było rozbicie jedności Kościoła oraz skompromitowanie hierarchii kościelnej wśród szeregowych księży.

Jednym z elementów niszczenia duchowieństwa było budowanie siatki konfidentów z kapłanów i osób zakonnych. Większość informatorów z grona duchownych, osób zakonnych i kościelnych działaczy świeckich w latach 50. pozyskiwano drogą szantażu, łamania sumień, zastraszania, a nawet przemocy fizycznej. W ten sposób komuniści starali się sobie zapewnić dostęp do informacji o hierarchii i duchowieństwie, planach duszpasterskich, działalności gospodarczej i charytatywnej instytucji kościelnych, zamierzeniach na polu inicjatyw społecznych. Przez konfidentów starano się także wpływać na postępowanie Kościoła na wspomnianych polach działalności. W efekcie końcowym miało to doprowadzić do przejęcia całkowitej kontroli nad duchowieństwem, ograniczenia zależności Kościoła katolickiego w Polsce od Stolicy Apostolskiej, zbudowania zależnej od komunistów hierarchii i stopniowego zniszczenia środowiska katolickiego.

Szczytem antykościelnych działań było internowanie prymasa. 25 września 1953 r. kard. Wyszyński został przez rząd RPL „usunięty" z funkcji kościelnych i równocześnie pozbawiony wolności. Był kolejno izolowany w Rywałdzie, Stoczku Warmińskim, Prudniku Śląskim i Komańczy. Odzyskał wolność po trzech latach. Podczas uwięzienia podlegał stałemu nadzorowi przez licznych funkcjonariuszy bezpieki, a w Stoczku i Prudniku towarzyszyli mu współwięźniowie: ks. Stanisław Skorodecki i siostra Maria Leonia Graczyk. Obydwoje byli

eprasa.pl 434f19b026

konfidentami bezpieki i intensywnie donosili o każdym kroku i każdym słowie prymasa.

Pogłębienie inwigilacji

W 1956 r. nastąpiła w PRL odwilż, która przyniosła wiele ustępstw władz komunistycznych wobec Kościoła. Przejściowo osłabły także działania aparatu bezpieczeństwa wobec duchowieństwa. Ponownie zintensyfikowano antykościelne działania na przełomie lat 1957 i 1958. Skoncentrowano się na następujących dwóch głównych celach: podporządkowaniu jego struktur i eliminacji z wpływu na życie społeczne. Konkretne kierunki działań władz to: ograniczenia administracyjne, przeciwdziałanie budownictwu sakralnemu, działania operacyjne, ograniczanie kultu publicznego i laicyzacja życia społecznego. Głównym narzędziem do osiągnięcia tych celów były aparat bezpieczeństwa oraz (w mniejszym zakresie) Urząd ds. Wyznań (UdsW).

Dekada lat 60. to również próba wdrażania przez władze i aparat bezpieczeństwa polityki „różnicowania" biskupów ze względu na ich stosunek do władz PRL oraz rozbijania jedności duchowieństwa przy pomocy metod dezintegracyjnych. Największą uwagę przywiązywano do skłócenia biskupów, a szczególnie do wywołania konfliktów między najważniejszymi hierarchami, i w tym celu werbowano agenturę w środowiskach kościelnych. Warto zwrócić uwagę na dwie inne istotne kwestie związane z problematyką jedności duchowieństwa. Pierwszą z nich była postawa alumnów powoływanych od 1958 r. do wojska, którzy w zdecydowanej większości nie poddawali się naciskowi ideologicznemu prowadzonemu w jednostkach wojskowych. Druga z ważnych kwestii to obrona przed konfliktami religijnymi wywoływanymi przez aparat bezpieczeństwa przy pomocy Kościoła polsko-katolickiego znajdującego się pod niemal pełną kontrolą SB. Szczególne znaczenie miał pod tym względem konflikt w Wierzbicy ciągnący się właściwie do końca lat 60.

W latach 80. nastąpił dalszy rozwój struktur bezpieki odpowiedzialnych za walkę z Kościołem. Rosła też liczba agentów wśród duchowieństwa

W 1962 r. utworzono w MSW odrębny Departament IV zajmujący się Kościołem katolickim i innymi związkami wyznaniowymi. Wraz ze zmianami organizacyjnymi zmodyfikowane zostały w pewnym stopniu priorytety pracy operacyjnej. Szczególną uwagę poświęcano operacyjnej kontroli działalności biskupów i duchownych, którzy zajmowali wysokie stanowiska w kurii, oraz rozpracowywaniu parafii (nazywanych w nomenklaturze bezpieki „pierwszą linią frontu walki" z Kościołem). Jednocześnie ze zmianami organizacyjnymi zmodyfikowano prowadzoną przez Departament IV ewidencję. 6 lipca 1963 r. wprowadzono zarządzeniem ministra spraw wewnętrznych jednolitą dokumentację i ewidencję operacyjną kleru rzymskokatolickiego „dla bardziej wnikliwego rozpoznania działalności duchowieństwa". Przez 26 lat, do roku 1989, SB w teczkach ewidencji operacyjnej na księdza (TEOK) zbierała informację na temat każdego księdza, rozpoczynając od momentu, gdy jako kandydat na duchownego przekroczył próg seminarium duchownego. Wprowadzono także specjalny wariant tego typu teczki dla biskupów – teczkę ewidencji operacyjnej na biskupa (TEOB). Nie zapomniano o dokumentowaniu działalności podstawowych jednostek administracji kościelnej, czyli parafii. Na podstawie instrukcji MSW gromadzono informację na temat każdej tego typu jednostki (w ramach tzw. TEOP).

Manipulacje

Lata 1971–1989 stały pod znakiem udoskonalania metod manipulacyjnych i dezintegracyjnych stosowanych przez bezpiekę wobec duchowieństwa oraz dalszego rozwoju antykościelnych struktur SB. Istotne znaczenie pod tym względem miało powołanie w 1973 r. tzw. Grupy D odpowiedzialnej za działania o charakterze dezintegracyjnym. Miała ona nakreślać strategiczne założenia dla Departamentu IV i jego odpowiedników w terenie oraz koordynować wszystkie działania dezintegracyjne jednostek MSW. Już po czterech latach uznano jednak, że powstałe struktury Grupy „D" są zbyt wątłe, by w pełni realizować swoje zadania, i z tego powodu postanowiono utworzyć ich odpowiedniki w 20 wojewódzkich komendach MO, m.in. w Krakowie, Częstochowie, Katowicach czy Przemyślu. Wspomniane struktury prowadziły również działalność przestępczą, nawet z punktu widzenia PRL-owskiego prawa, czego przejawem były m.in. pobicia duchownych przez tzw. nieznanych sprawców.

Dekada lat 70. w zakresie prowadzonej przez aparat represji i struktury UdsW działalności antykościelnej to nie tylko powstanie Grupy „D", lecz także rozwój wcześniej utworzonych struktur. Największe zmiany przeprowadzono wraz z reformą administracyjną państwa wprowadzoną w życie w 1975 r. Powstanie zorganizowanej opozycji i kryzys systemu w drugiej połowie lat 70. spowodowały dalsze wzmacnianie istniejących jednostek SB i tworzenie nowych. Widać to było w stopniowym wzroście zatrudnienia w aparacie represji. Wobec tego wykazywano także dużą aktywność w inwigilacji i zwalczaniu kapłanów zaangażowanych w działania na rzecz rodzącej się opozycji.

W latach 70. zintensyfikowano jeszcze kontrolę nad kuriami biskupimi i stąd też MSW zleciło wojewódzkim strukturom antykościelnym pozyskanie duchownych mających szanse na awans w administracji kościelnej bądź tych, którzy byli typowani na biskupów. Pisano o tym wprost w wielu dokumentach bezpieki: przykładowo w planie krakowskiej SB na 1977 r. podkreślano: „Główny nacisk należy położyć na dalsze operacyjne umacnianie w ogniwach kierowniczych, ośrodkach dyspozycyjnych kleru świeckiego i zakonnego".

Najważniejszym celem działań dezintegracyjnym było skłócenie dwóch polskich kardynałów – Wyszyńskiego

eprasa.pl 434f19b026

i Wojtyły. Na początku lat 70. jako zdecydowanie groźniejszego oceniano prymasa, którego określano mianem „czarnego kardynała". Warto jednak podkreślić, że wraz z biegiem lat optyka władz w istotny sposób się zmieniła, od połowy lat 70. to kard. Wojtyłę oceniano jako bardziej nieprzewidywalnego wroga, nazywając go „kosmopolitą awanturnikiem" czy człowiekiem „pełnym buty" – m.in. z uwagi na to, że odmawiał kontaktów z władzami wojewódzkimi. Z kolei kard. Wyszyńskiego określano w owym czasie mianem „patrioty realisty", mimo że przez całe lata uważano, iż to prymas jest główną przeszkodą w realizowanej przez władze polityce wobec Kościoła. Metropolita krakowski był oceniany w tym czasie jako drugi najważniejszy przeciwnik władz, zaraz po znienawidzonym przez dygnitarzy partyjnych bp. Ignacym Tokarczuku.

W dekadzie lat 80. następował dalszy rozwój struktur bezpieki odpowiedzialnych za antykościelną działalność. Systematycznie rosła również liczba agentów wśród duchowieństwa. Po wprowadzeniu stanu wojennego w MSW postanowiono przejść do działań o bardziej ofensywnym charakterze. Było to spowodowane zaniepokojeniem, jak ujął to sekretarz KC PZPR Mirosław Milewski, „aktywu [PZPR] rozwydrzeniem się poszczególnych przedstawicieli Kościoła". Proces ten trwał aż do zamordowania przez funkcjonariuszy pionu IV ks. Jerzego Popiełuszki. Po zabójstwie legendarnego kapelana Solidarności podjęto działania w MSW mające na celu ukrycie odpowiedzianych za przestępcze działania bezpieki wobec kapłanów. Wówczas też część agentury wywodzącej się z duchowieństwa zrezygnowała ze współpracy z SB. Do końca istnienia systemu komunistycznego kapłani byli inwigilowani i represjonowani, o czym może świadczyć przykład ks. Adolfa Chojnackiego prześladowanego przez bezpiekę do 1989 r. Jeszcze w 1989 r. doszło do zabójstw trzech duchownych związanych z opozycją: ks. Stanisława Niedzielaka, ks. Stanisława Suchowolca, ks. Sylwestra Zycha.

Sukcesy i porażki

Aparat bezpieczeństwa Polski „ludowej" w walce z duchowieństwem odniósł wiele porażek i tylko nieliczne sukcesy. Taki wniosek dość jednoznacznie nasuwa się po latach badań prowadzonych przez historyków dziejów najnowszych. Największą porażką bezpieki był brak kontroli nad kierowniczymi strukturami polskiego Kościoła. Nigdy, nawet w okresie stalinowskich represji, Episkopat nie stał się narzędziem w rękach władz komunistycznych w Polsce (co niestety miało miejsce w innych państwach bloku wschodniego). Nie udało się także doprowadzić przy pomocy działań dezintegracyjnych do skłócenia najważniejszych polskich hierarchów. Tutaj szczególnie istotną porażką była próba doprowadzenia do konfliktu między kard. Wyszyńskim a kard. Wojtyłą. Bezpieka poza nielicznymi przypadkami nie była w stanie również wpływać na decyzje podejmowane przez biskupów. I – co warte podkreślenia – zdecydowana większość duchowieństwa nie tylko nie współpracowała z UB/SB, lecz także, zgodnie zresztą z wytycznymi Episkopatu Polski, nie utrzymywała jakichkolwiek kontaktów z funkcjonariuszami bezpieki.

Wśród sukcesów aparatu bezpieczeństwa w zakresie działań wobec Kościoła należy wymienić umiejętność zdobywania informacji na temat duchowieństwa. Dzięki dobrze ulokowanej agenturze oraz środkom techniki operacyjnej bezpieka posiadała szczegółowe i dokładne informacje z wnętrza kurii biskupich i najważniejszych parafii. Bezpieka dzięki temu mogła dokładnie planować działania represyjne oraz dokonywać dalszych werbunków agenturalnych. Udało jej się także zwerbować kilku donosicieli znajdujących się w otoczeniu najważniejszych polskich hierarchów. Wymienić tutaj można takich duchownych jak ks. Władysław Kulczycki (długoletni informator/TW z najbliższego otoczenia abp. Antoniego Baraniaka i kard. Wojtyły); ks. Hieronim Goździewicz (długoletni sekretarz prymasa Wyszyńskiego, któremu jednak udało się wyrwać z sideł bezpieki i który odmówił dalszej współpracy); ks. Mieczysław Satora (TW o ps. Marecki, który donosił na kard. Wojtyłę). Aparat bezpieczeństwa zwerbował do współpracy także przyszłych biskupów, m.in.: ks. Bolesława Pylaka (długoletni TW o ps. Teolog, a następnie Bolesław, ordynariusz lubelski w latach 1975–1997), ks. Jerzego Dąbrowskiego (TW „Ignacy", biskup pomocniczy gnieźnieński, zastępca sekretarza Episkopatu Polski w latach 80.). Aparat bezpieczeństwa miał też na koncie pewne sukcesy, jeżeli chodzi o zapewnienie sobie lojalności ze strony niewielkiej części duchowieństwa, które nie występowało z jakimikolwiek szkodliwymi z punktu widzenia władz inicjatywami w swoich parafiach (było to szczególnie widoczne w latach 70.).

Wojciech Jaruzelski i bp Jerzy Dąbrowski, tajny współpracownik SB FOT. Z. MATUSZEWSKI/PAP

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 434f19b026

Leśnik – patriota

Pierwsze Święto Lasu: samochód z ulotkami przejeżdżający ulicami Warszawy, 1933 r., „Echa Leśne" nr 6/1933

ŹRÓDŁO: WIELKOPOLSKA BIBLIOTEKA CYFROWA, AUTORKA KOLORYZACJI: ANNA MARJAŃSKA

Na straży lasów od zawsze stoi leśnik. Doglądanie drzew, sadzenie, trzebieże, usuwanie szkodników to tylko drobny wycinek jego pracy. Nie mniej ważna jest służba społeczna: działalność kulturalno-oświatowa, wychowawcza, charytatywna. Leśnicy to grupa zawodowa, w której patriotyzm zawsze odgrywał główną rolę

Praca w lesie od zawsze wymagała nie tylko fizycznej wytrzymałości i dobrej znajomości leśnych zagadnień, lecz także hartu ducha i społecznikowskiego zacięcia. Odnawianie drzewostanów, siew, sadzenie, a później pielęgnowanie lasu, praca na zrębach, trzebieże – wszystko to należy nieustannie nadzorować. Leśnik musiał znać się na wszystkim: transporcie sadzonek, zakładaniu szkółek, doborze gatunków drzew. Corocznie opracowywał projekt, czyli określał powierzchnię, tworzył opis gleby, wyliczał koszty czy niezbędną ilość nasion. Czuwał nad wyglądem i estetyką lasu, miał też być dla drzew jak najlepszy lekarz. Żółknąca szkółka, sypiące się igły świerkowe, wysięk żywicy ze zdrowej na pozór sosny – to wszystko powinno wzbudzić jego czujność. Gdy zaś w lesie wybuchał pożar, na barkach leśnika spoczywała akcja ratownicza.

„A gdy po pracy do domu zajdzie, domu oddalonego od siedzib ludzkich i otoczonego zewsząd szumiącą puszczą leśną […], to ileż to trzeba rezygnacji i samozaparcia, ażeby żyć tak miesiącami i latami całemi. Jedynym przyjacielem i towarzyszem leśnika staje się wówczas rodzina i książka oraz radio – zastąpić one winny leśnikowi szerokie areny życia miejskiego" – pisał Adam Schwarz („Zawód leśnika", „Echa leśne" nr 3, 1933).

Praca leśnika wymagała więc nie tylko gotowości do ciężkiego fizycznego wysiłku, lecz także odporności psychicznej. Była zarazem ściśle związana ze służbą społeczną. Kontakty z okolicznymi mieszkańcami, osobami pracującymi w lasach i nabywcami drewna dawały szerokie pole do oddziaływania, prowadzenia edukacji. Aby to osiągnąć, leśnik musiał być… popularny. Jako aktywny obywatel mobilizował ludzi do pracy, organizowania się w grupy, koła gospodarcze, zakładania świetlic, domów ludowych, bibliotek czy choćby amatorskich teatrów. Nie mógł się zniechęcać przy pierwszych trudnościach. Misja leśnika była bowiem podobna do roli wiejskiego nauczyciela lub sekretarza gminy. W takim też duchu – podpowiadały „Echa leśne" – należało wychowywać w szkołach młodych leśników: wykształcić w nich instynkt państwowy, przyzwy-

eprasa.pl 434f19b026

Lasy Państwowe

czając ich do obowiązkowości, karności i dyscypliny.

W walce o las, skarb całego państwa i narodu, leśnik – przekonywała prasa – był równy żołnierzowi walczącemu na froncie o dobro ojczyzny. „Gajowy to […] żołnierz dzielny, odważny, sprytny a czujny. […] Gajowy strzeże i chroni lasu, bo wie, że las to najpiękniejszy, najcudowniejszy twór BOGA i NATURY (B. Pasztyński, Znaczenie…).

Święto Lasu „nauczy kultu dla drzew"

Pierwsze Święto Lasu odbyło się w Spale – 29 kwietnia 1933 r. „Doczekaliśmy się uroczystej chwili, w której serca dwudziestotysięcznej rzeszy leśników polskich biją zgodnym rytmem, złączone wspólną ideą […]. Wdzięcznym echem wtórują mu serca wielomiljonowego Narodu, którego kolebką były ongiś nieprzebyte puszcze" – pisała prasa, relacjonując to wydarzenie. Cytowano także przemówienie obecnego na uroczystości prezydenta Mościckiego: „Obchodzimy dziś Święto Lasu. To nasuwa mi myśl, że my wszyscy jesteśmy związani z przyrodą, a zwłaszcza z lasem. W spadku po praojcach naszych tkwi w każdym z nas umiłowanie lasu".

Ustalono, że Dzień Lasu będzie imprezą coroczną, wybrano też stały termin – ostatnią sobotę kwietnia. Obchody organizowano z rozmachem. Relacjonowały je prasa i radio, wspierały swym udziałem władze państwowe. Wydawano liczne broszury i plakaty. Odbywały się setki wycieczek do lasu, połączonych z pogadankami i akademiami. Głównym punktem programu było jednak sadzenie drzew. Działania te miały głównie wymiar propagandowy: Święto Lasu nauczy nas kultu dla drzew, uświadomi szerokie masy ludności i młodzieży o niespożytych wartościach lasu, pouczy nieświadomych, jak lasy należy cenić, chronić przed niszczeniem.

Święto Lasu z roku na rok zyskiwało na popularności, obejmowało swym zasięgiem coraz większe terytorium i przynosiło coraz bardziej spektakularne wyniki. W ciągu pięciu lat zalesiono 338 ha gruntów leśnych i 106 ha nieużytków, obsadzono drzewami 1358 km dróg i alej, teren 605 szkół, 304 place, 198 boisk sportowych. Posadzono też 8,5 tys. drzew pamiątkowych. W rozmaitych odczytach, pogadankach, akademiach, seansach filmowych wzięły udział około 3 mln młodzieży i dorosłych.

Na straży niepodległości

„Leśnik potrafi być wzorem najwyższych cnót obywatelskich i bronić z równym zapałem w czasie pokoju bytu lasów polskich, jak bronił orężem praw Ojczyzny do odzyskania wolności" – twierdził Józef Miłobędzki, wybitny przedstawiciel tego zawodu. I miał rację.

Leśnicy zawsze stanowili ostoję patriotyzmu. W okresie zaborów, nawet jeśli nie brali bezpośredniego udziału w walkach powstańczych, to byli przewodnikami konspiratorów. Drogi przerzutu broni i nielegalnej prasy wiodły zazwyczaj przez las. Kurierzy potrzebowali kogoś, kto pomoże im odnaleźć się wśród kniei.

Ignacy Mościcki, przyszły prezydent II RP, działacz socjalistyczny i towarzysz walki Józefa Piłsudskiego, który w latach młodzieńczych przemycał „bibułę", pisał w swojej Autobiografii, że przez rosyjsko-austriacką zieloną granicę prowadził go „jakiś leśnik". Leśnicy służyli zarówno w Legionach, jak i w Wojsku Polskim. W czasie walk o niepodległość oddali krajowi nieocenione zasługi.

Las odgrywał ważną rolę w obronności państwa, dawał naszym wojskom przewagę. Warunkiem była jednak doskonała znajomość terenu i orientacja w nim – za dnia i nocą. I tutaj właśnie idealnie sprawdzali się leśnicy, którzy znali leśne obszary jak własną kieszeń. Biorąc pod uwagę, że lasy zajmowały 23 proc. kraju, Polacy dysponowali ważnym atutem.

W 1933 r. powstało Przysposobienie Wojskowe Leśników (PWL). Zgodnie ze statutem była to bezpartyjna organizacja złożona z osób pracujących w leśnictwie. PWL miało ściśle współdziałać z władzami w celu pomnożenia sił obronnych państw, doskonalenia pod względem fachowo-leśnym w zakresie obrony państwa i popierania wszelkich wysiłków zmierzających do postawienia służby leśnej na najwyższym poziomie sprawności pod względem służenia państwu. Członkowie PWL mieli też udzielać sobie pomocy materialnej i stanowić dla siebie nawzajem moralne wsparcie.

Leśnicy znajdujący się w szeregach PWL często wywodzili się z grupy zdemobilizowanych żołnierzy i oficerów. Potrafili obchodzić się z bronią, a ponadto dobrze znali lasy i stosunki panujące w lokalnej społeczności na danym terenie. W sierpniu 1939 r. leśnicy rozpoczęli budowę przeszkód i zasadzek na leśnych drogach, by utrudnić nieprzyjacielowi działania. Współpracowali ze Strażą Graniczną, Korpusem Ochrony Pogranicza, policją i wojskiem, a także z wywiadem i kontrwywiadem. Zwalczali obcych agentów i sabotażystów próbujących przedostać się przez wschodnią granicę. Przysposobienie liczyło wówczas 12,5 tys. członków w 464 kołach. Do wybuchu wojny każdy leśnik, niezależnie od zajmowanego stanowiska (od gajowego przez nadleśniczego aż do dyrektora), przeszedł szkolenie wojskowe. Chwila próby miała nadejść niebawem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Święto Lasu w Osiecku, 27 kwietnia 1937 r. ŹRÓDŁO: NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE, AUTORKA KOLORYZACJI: ANNA MARJAŃSKA

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 434f19b026

WIZJA OSTATNIEJ WALKI RICHTHOFENA. FOT. GETTY IMAGES

1918 r. / Koniec legendy przestworzy

Fatalny błąd Czerwonego Barona

Grzegorz Janiszewski

Jeżeli chodzi o liczbę zwycięstw, nie mógł się z nim równać żaden inny pilot z czasów wielkiej wojny. Brytyjskie dowództwo obiecywało za jego zestrzelenie Victoria Cross, awans, własny samolot i 5 tys. funtów. Ostatecznie zgubił go błąd, przed którym sam przestrzegał innych

Kapitan Leslie Beavis podniósł słuchawkę brzęczącego telefonu. Usłyszał znajomy głos obserwatora ze stojącego niedaleko, nad doliną Sommy, wiatraka. Słuchał chwilę, a potem rzucił do mikrofonu:

– Jasne. Poradzimy sobie. Jest nad naszym terenem.

Beavis spojrzał w szkła lornetki, a potem trzcinką wskazał obsłudze stanowiska karabinów maszynowych jakiś daleki punkt. Szybko się zbliżał, a po chwili przybrał postać zygzakującego camela. Za nim, prując seriami z karabinów maszynowych, leciał krwistoczerwony trójpłatowiec. Szeregowy Buie przez swój kołowy celownik wyraźnie widział w otwartej kabinie głowę w pilotce i zaciśnięte na karabinach dłonie. Puścił długą serię ze swojego lewisa. Samolot leciał jeszcze jakieś 200 metrów, kiedy podbił w górę i przechylił się na prawo. Potem zaczął pikować w dół. W końcu wyrównał lot i uderzył o ziemię. W kokpicie dogorywał najsłynniejszy pilot myśliwski tej wojny, Manfred von Richthofen.

Typowy Prusak

Richthofen urodził się w podwrocławskim wówczas Borku w 1892 r., w pruskiej rodzinie szlacheckiej. Jego ojciec był emerytowanym kawalerzystą. Rodzina w 1901 r. osiadła w Świdnicy na Dolnym Śląsku, w okazałej miejskiej willi.

W wieku 11 lat został wysłany do szkoły wojskowej w Legnickim Polu, a w 1911 r. rozpoczął służbę w Pułku Ułanów Cesarza Aleksandra III, stacjonującym w Miliczu i Ostrowie Wielkopolskim. Po wybuchu pierwszej wojny światowej jednostka krótko walczyła z Rosjanami, a potem została przeniesiona na front zachodni. Prusacy z uporem maniaka trzymali się swojej przestarzałej kawalerii, jednak w warunkach wojny okopowej nie miała ona wiele do roboty.

Przyzwyczajony do działania i akcji Richthofen, po spędzonej bezczynnie zimie, wiosną 1915 r. wstąpił do lotnictwa. Po szkoleniu pełnił służbę jako obserwator na froncie wschodnim. We wrześniu 1916 r. został przeniesiony do utworzonej niedawno Jagdstaffel 2 – eskadry myśliwskiej dowodzonej przez asa lotniczego Oswalda Boelckego. Boelcke swój sukces zawdzięczał wypracowanym zasadom walki powietrznej, które teraz wpajał swoim podwładnym. Są one aktualne do dziś i stanowią podstawę szkolenia pilotów NATO. Do najważniejszych należało zajęcie dogodnej pozycji

eprasa.pl 434f19b026

do ataku, najlepiej ze słońcem za plecami, atakowanie przeciwnika od tyłu i unikanie walki nad terytorium wroga.

Richthofen, naśladując Boelckego, w ciągu miesiąca strącił pięć samolotów. U aliantów oznaczało to zdobycie tytułu asa. W styczniu 1917 r., po 16 zwycięstwach, został odznaczony najwyższym pruskim orderem – Pour le Mérite. W tym samym czasie, z największą liczbą zwycięstw wśród żyjących niemieckich pilotów, został dowódcą eskadry Jasta 11.

Jednostka nie miała na koncie sukcesów, ale Richthofen szybko to zmienił. Zrezygnował z malowania samolotów w kamuflażu. Swojego albatrosa D.III pomalował na jasnoczerwono. Po kilku miesiącach szkolenia i zgrywania urządził aliantom jatkę, którą Brytyjczycy nazwali „krwawym kwietniem". Jego piloci strącili wtedy 89 samolotów, najwięcej ze wszystkich niemieckich eskadr. Sam Richthofen zestrzelił ich wtedy 25, osiągając swoje 41. zwycięstwo. W końcu wyprzedził swojego mistrza Boelckego.

Diabeł i rycerz

Francuzi zaczęli nazywać go Czerwonym Diabłem. Brytyjskie dowództwo za jego zestrzelenie obiecywało Victoria Cross, awans, własny samolot, 5 tys. funtów i dodatkowo nagrodę od producenta zwycięskiej maszyny. Krążyły plotki o stworzeniu specjalnej eskadry do polowania na niemieckiego asa. Nic dziwnego, bo dzięki Jasta 11 średni czas życia brytyjskiego pilota na froncie skrócił się z 295 do 92 godzin.

Na innych frontach Niemcom nie szło już tak dobrze. Richthofen doskonale nadawał się na bohatera wzmacniającego morale. Młody, przystojny, z delikatnym uśmiechem na twarzy i Pour le Mérite na szyi, bardziej przypominał szlachetnego rycerza ze średniowiecznego eposu niż żołnierza nurzającego się w okopowym błocie. W maju i czerwcu 1917 r. wysłano go w podróż po Niemczech. Odwiedzał żołnierzy na froncie, szpitale wojskowe i szkoły, opowiadając o swoich potyczkach. Pocztówki, na których pozował z kajzerem i feldmarszałkiem Hindenburgiem, rozchodziły się w Niemczech w setkach tysięcy sztuk.

Manfred von Richthofen

FOT. WIKIEPDIA

Po tym objeździe Richthofen, wbrew namowom przełożonych, wraca do swojej jednostki. Szybko awansuje. W czerwcu eskadry 4., 6., 10. i 11. zostają połączone w 1. Jagdgeschwader, nad którą obejmuje dowodzenie.

6 lipca 1917 r. zostaje ranny w walce powietrznej. Kula drasnęła go za uchem, uszkadzając czaszkę. Następnych kilka tygodni spędził w szpitalu polowym, a potem na rekonwalescencji. Spisał wtedy swoje wspomnienia zatytułowane „Der Rote Kampflieger".

Pod koniec lipca wrócił do jednostki i przesiadł się na swój najbardziej ikoniczny samolot – fokker Dr.I dreidecker. Trzypłatowa maszyna, oczywiście czerwona, miała fenomenalną zwrotność i szybkość wznoszenia. Wobec trzykrotnej alianckiej przewagi w samolotach opracował nową taktykę użycia Jagdgeschwader. Jednostka przemieszczała się na najbardziej zagrożone odcinki frontu, nie pozwalając aliantom uzyskać przewagi w powietrzu. Niemcy atakowali grupami, w swoich kolorowych samolotach, popisując się mistrzostwem pilotażu. Część maszyn i wyposażenia przewożono na ciężarówkach. Na miejscu rozbijano namioty. Wtedy przylgnął do nich przydomek Latający Cyrk.

Niemieckie dowództwo miało coraz większe obawy, że Richthofen w końcu zginie albo dostanie się do niewoli. Proponowano mu przejście do pracy sztabowej, czego odmawiał, i wprowadzano nawet wobec niego zakazy lotów, które jednak obchodził różnymi wybiegami. Latał wbrew zaleceniom lekarskim i zaczynały dopadać go wątpliwości. Jak sam opisywał w swojej książce, walkę traktował jak sport, a przeciwników jak zwierzynę łowną. Miał też zwyczaj zdobywania „myśliwskich" trofeów. Zwykle lądował przy zestrzelonych maszynach i zabierał ich części albo wycięte fragmenty poszycia z numerami i znakami eskadr i pilotów. Musiał przy tym oglądać swoje ofiary. Z pewnością miało to wpływ na jego psychikę. Niewykluczone, że przyczynił się też do tego wypadek, którego doznał w lipcu 1917 r. Richthofen przedtem był koleżeński i lubił towarzystwo, chociaż nigdy nie był wylewny i nie nawiązywał bliższych kontaktów z towarzyszami z eskadry. Teraz coraz częściej po przylocie z patrolu zamykał się w swojej kwaterze, godzinami rozmyślając i wpatrując się w wiszącą pod sufitem lampę, zrobioną z silnika nieprzyjacielskiego samolotu.

Ostatni lot

21 kwietnia 1918 r. Richthofen w swoim dreideckerze poderwał się z lotniska w Cappy na patrol nad Doliną Sommy. Towarzyszyło mu dziewięciu pilotów. Celem były camele z 209. Eskadry RAF, dowodzone przez Kanadyjczyka Arthura Roya Browna. Pod jego opieką znajdował się młody i niedoświadczony pilot Wilfried May. Brown kazał mu trzymać się z daleka, ale May widząc „walkę buldgów", jak wówczas nazywano powietrzne pojedynki, dołączył do niej. Szybko oddalił się od grupy w pogoni za kuzynem Richthofena. Ten, widząc to, poleciał za nim, biorąc go na cel. Zauważył to Brown, który rzucił się na pomoc. Niemiec był tak zaaferowany pościgiem, że złamał podstawowe zasady walki powietrznej, które wpajał mu Boelcke. Wleciał nad teren wroga z lecącym na ogonie Brownem. Było za daleko na celny strzał, ale Richthofen znalazł się teraz w zasięgu naziemnych baterii karabinów maszynowych. W dodatku bardzo nisko nad ziemią. Ogień ze swoich lewisów szybko otworzyli strzelcy Robert Buie i Snowy Evans z 14. Brygady Artylerii Polowej. Buie wspominał potem, że z odległości 200 jardów wyraźnie widział siedzącego w kabinie Richthofena w lotniczym hełmie, celującego w lecący przed nim samolot. Puścił w niego długą serię, aż pilot przestał strzelać. Ogień ze swojego vickersa otworzył też sierż. Cedric Popkin z australijskiej 24. kompanii karabinów maszynowych. Jak później wspominał: „Kiedy nadleciał, otwarłem ogień drugi raz i od razu zauważyłem efekt. Samolot skręcił, przechylił się i zniżył, a potem rozbił". W rzeczywi-

eprasa.pl 434f19b026

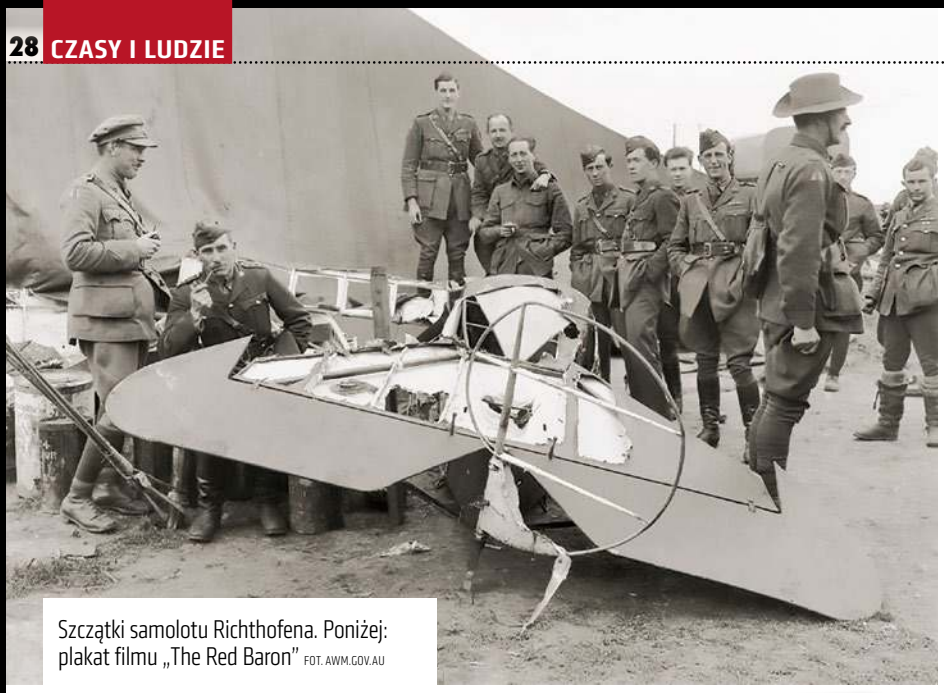

Szczątki samolotu Richthofena. Poniżej: plakat filmu „The Red Baron" FOT. AWM.GOV.AU

stości Richthofen nie rozbił się – zdołał wylądować niedaleko alianckich pozycji. Żołnierze, którzy podbiegli do maszyny, znaleźli go jeszcze żywego. Zmarł chwilę później, szepcząc: „Kaputt". Miał wtedy 80 powietrznych zwycięstw na koncie. Najwięcej ze wszystkich pilotów wielkiej wojny.

Oficjalnie zestrzelenie „Czerwonego Barona" zostało przypisane kpt. Brownowi, który dostał za to okucie do swojego Distinguished Service Cross. Jednak przeprowadzone badanie medyczne ciała wykazało, że jedna – śmiertelna – kula weszła w ciało pod prawą pachą, z dołu, przebiła serce i wyszła koło lewego sutka pilota. Nie mogła więc pochodzić z karabinu Browna, który nadlatywał od góry i z lewej. Buie i Evans strzelali od przodu. Prawdopodobnie więc odpowiedzialni byli sierż. Popkins i jego vickers, który strzelał z dołu i z prawej, kiedy Richthofen skręcił pod ostrzałem Buiego i Evansa. Mogła to być również kula z karabinu jednego z żołnierzy z okopów, którzy przyłączyli się do strzelaniny.

Richthofen następnego dnia został pochowany z honorami wojskowymi na cmentarzu wojskowym w Bertangles. Nad niemieckie linie przekradł się aliancki samolot, który zrzucił wieniec z informacją o śmierci asa i fotografią jego grobu. Zanim dreidecker zdążył trafić do hangaru, został poszarpany i rozkradziony przez żądnych pamiątek żołnierzy.

Szczątki pilota zostały w 1925 r. uroczyście przeniesione na narodową

nekropolię Invalidenfriedhof w Berlinie. W kwietniu 1933 r. w jego rodzinnym domu w Świdnicy otwarte zostało muzeum, w którym wystawiono m.in jego „trofea myśliwskie" – części strąconych samolotów. Było ono sporą atrakcją miasta, odwiedzaną często przez zagranicznych pilotów. W III Rzeszy pierwsza eskadra tworzonej od 1935 r. Luftwaffe z inicjatywy Hermanna Göringa nazwana została Jagdgeschwader Richthofen.

W powojennych Niemczech doskonale nadawał się on na bohatera dla pilotów odtwarzanej Luftwaffe. W 1961 r. jego imię nadano Jagdgeschwader 71. Grób Richthofena po wybudowaniu muru berlińskiego znalazł się w NRD, przez cmentarz przechodziła granica między Berlinem wschodnim i zachodnim. W końcu w 1975 r. szczątki zostały przeniesione do rodzinnego grobu w Wiesbaden, gdzie spoczywają do dzisiaj. Pamiątki z muzeum w Świdnicy prawdopodobnie zostały rozkradzione albo zniszczone przez sowieckich żołnierzy lub wywiezione do ZSRS.

Pilot zyskał za to nieśmiertelną sławę w USA i Kanadzie. Legenda „Czerwonego Barona", jak Anglosasi tłumaczyli niemiecki tytuł „Freiherr", dała asumpt dla licznych książek, filmów, gier, a nawet nazw pizzy czy wina. W kreskówce „Fistaszki" Snoopy walczy ze ścigającym go swoim dreideckerem Czerwonym Baronem. Richthofen był bohaterem musicalu, a nawet wampirem.

Promować czy zapomnieć

W Świdnicy po 1989 r. starał się go przypominać zmarły w zeszłym roku społecznik Jerzy Gaszyński. Nie spotkało się to z zainteresowaniem władz ani mieszkańców. Niemiecki pilot najczęściej postrzegany był jako ten, który „latał i strzelał do Polaków". Willa Richthofenów niszczała, jego pomnik w pobliskim parku popadał w ruinę, a poświęcony mu kamień leżał przewrócony w krzakach. Gaszyński w 2008 r. przeniósł go obok willi, położył też tam skromną tablicę poświęconą pilotowi.

Dopiero w 2016 r. rada miejska zgodziła się na postać Richthofena jako składnik strategii marketingowej miasta. Zamówiono replikę fokkera Dr.III, sfinansowaną w większości ze środków unijnych. W 2019 r. ustawiono ją w parku niedaleko willi rodziny pilota.

Zdania mieszkańców i historyków na ten temat do dzisiaj są podzielone. Richthofen to przede wszystkim symbol walki z czasów, kiedy możliwe były jeszcze samotne pojedynki w przestworzach, a oficerski stopień kojarzył się z rycerskością i honorem. Po stronie Niemiec w pierwszej wojnie światowej walczyły setki tysięcy Polaków, nie tylko w armiach zaborczych (legioniści Piłsudskiego). Z drugiej strony druga wojna światowa zmieniła wszystko i trudno czcić bohatera, którego rodzina i przyjaciele wspierali III Rzeszę.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 434f19b026

Mikołaj Iwanow

Najpierw były masowe represje przeciw Finom w Związku Sowieckim, a później plan zagarnięcia Finlandii. NKWD wypełniło zadanie, ale zawiodła jednak Armia Czerwona

Wiaczesław Mołotow podpisuje układ o uznaniu przez ZSRS Fińskiej Republiki Demokratycznej, grudzień 1939 r. FOT. WIKIPEDIA

1937–1940 / Terror, zbrodnia, agresja

Operacja fińska

Stalinowski wielki terror z lat 1937–1938 był skierowany przeciwko różnym narodom zamieszkującym terytorium Związku Sowieckiego. W odróżnieniu od czerwonego terroru z lat wojny domowej (1918–1922), który był skierowany przeważnie przeciwko białym, w przypadku terroru stalinowskiego władze zdecydowały się bowiem rozprawić z mniejszościami narodowymi.

Jako pierwsi zostali ukarani Polacy zamieszkujący tereny dawnej I Rzeczypospolitej, które w wyniku traktatu ryskiego z 1921 r. nie weszły w skład odrodzonego państwa polskiego. W wyniku „operacji polskiej" NKWD w latach 1937–1938 zginęło co najmniej 200 tys. naszych rodaków, obywateli Związku Sowieckiego. Tę zbrodnię bez wątpienia trzeba traktować jako zbrodnię ludobójstwa. To także jeden z dowodów na to, że Polacy to jeden z najbardziej pokrzywdzonych narodów przez sowiecki totalitaryzm.

Podczas wielkiego terroru ucierpiały również inne narody zamieszkujące imperium Stalina. Na wzór „operacji polskiej" przeprowadzono też „operację niemiecką", „rumuńską", „koreańską", „węgierską", „fińską", „harbińską" i inne.

Represje przeciwko narodom żyjącym w Związku Sowieckim łączyło przede wszystkim jedno. Prawie wszystkie tzw. operacje narodowościowe przeprowadzono na podstawie rozkazu nr 00 485 „O likwidacji polskich grup szpiegowsko-dywersyjnych i organizacji POW" wydanego przez Nikołaja Jeżowa. Uznano, że rozkaz ten, a w szczególności wielostronicowe uzasadnienie do niego, doskonałe nadaje się do „upuszczenia krwi" także innym narodowościom.

Podobnie jak „operacja polska" na tle innych wyróżnia się „operacja fińska". W jej trakcie represjonowanych było ponad 11 tys. osób, z których 9078 skazano na karę śmierci. W niektórych miejscach prześladowania Finów przypominały masowe ludobójstwo Polaków na Kresach. W Karelskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republice Sowieckiej (Karelska ASRS) aresztowania objęły prawie 40 proc. ludności. Rozstrzelano 3340 domniemanych fińskich szpiegów i nacjonalistów fińskich.

Złudne obietnice

Ostrze „operacji fińskiej" zostało skierowane szczególnie przeciwko fińskim komunistom, którzy uwierzyli w hasło „Związek Sowiecki – ojczyzna światowego proletariatu" czy w obietnice Międzynarodówki w rodzaju, że w Kraju Rad każdy komunista, bez względu na narodowość, może budować szczęście swoje i swojej rodziny.

Już ponad dekadę przed wielkim terrorem Komintern, snując utopijne wizje, utworzył specjalną komisję do spraw przyjęcia imigrantów komunistów z całego świata. Propaganda kominternowska obiecywała dobrze płatną pracę w przemyśle, zgodnie z wykształceniem i upodobaniami zawodowymi. Rolnikom obiecywano tyle ziemi, ile będą w stanie obrobić, choć i tak preferowano tworzenie narodowościowych kołchozów. W latach 20. i w pierwszej połowie lat 30. powstały na terenie ZSRS liczne kołchozy i komuny pracownicze dla imigrantów z Niemiec, Francji, ze Szwecji, a nawet żydowskie kołchozy na dalekim wschodzie dla Żydów z… Palestyny (był to zresztą

eprasa.pl 434f19b026

dowód na walkę ideologiczną, którą komunizm prowadził wówczas z ideami syjonizmu).

Szczególne miejsce w tej polityce zajmowali Finowie, a konkretnie komunistyczni imigranci z Finlandii, którzy opuścili swoją ojczyznę, osiedlając się w Karelskiej ASRS. W Karelii zamieszkało także 4,5 tys. Finów przybyłych z Kanady i USA. Choć Finów było w Karelii tylko 3 proc., to stanowili oni aż 40 proc. wszystkich ofiar wielkiego terroru w tym regionie. Są to dane opublikowane przez rosyjską badaczkę Irinę Tokalę.

Organizatorami przeprowadzki północnoamerykańskich Finów do Karelii było trzech przedstawicieli Kominternu – Matti Tenhunen, Kalle Aronen oraz Oscar Corgan. Żaden z nich „operacji fińskiej" nie przeżył. Oskarżono ich ostatecznie o szpiegostwo na rzecz Finlandii i USA oraz o założenie „antysowieckich ośrodków". Za przywódców opozycji wobec działań sowieckich władz uznano natomiast dwóch czołowych komunistów fińskich przybyłych do Karelii ze Stanów Zjednoczonych: Edvarda Gyllinga i Kustaa Rovio. Pierwszy z nich był założycielem wzorowego sowchozu. Zanim trafił do Karelii, zakładał kołchozy na Kaukazie Północnym. Dopiero w latach 30. zaproponowano mu przeniesienie na dawne fińskie tereny. Jak się okazało – na jego zgubę.

Początek represji

Według dokumentów NKWD, „operacja fińska" rozpoczęła się 5 sierpnia 1937 r., prawie trzy tygodnie po rozpoczęciu „operacji polskiej". Urzędowym powodem jej rozpoczęcia było rzekome wykrycie na terenie Karelii fińskiego „antysowieckiego podziemia", składającego się z terrorystów i dywersantów, planujących rzekomo przyłączenie Karelii do Finlandii. Do grupy tej należeć miało 40 Finów, dwóch Karelów i jeden Weps (Karelowie i Wepsowie to ugrofińskie grupy etniczne). W ciągu pierwszego miesiąca operacji aresztowano 728 osób, przeważnie Finów. Do 1 listopada na karę śmierci skazano 1690 osób.

W stolicy Karelii, Petrozawodzku, oraz w innych miastach zapanowała atmosfera strachu. Niektórzy Finowie

Otto Kuusinen, przywódca marionetkowej Fińskiej Republiki Demokratycznej FOT. WIKIPEDIA

zaczęli wyjeżdżać poza granice Karelskiej ASRS, na próżno szukając schronienia w innych regionach ZSRS (na próżno, gdyż również tam dopadła ich krwawa ręka NKWD). Inni szukali schronienia w odległych częściach Karelii, w niedostępnych wioskach i lasach. Jednak na ratunek mogli liczyć tylko ci, którzy zaryzykowali i przekroczyli granicę fińską, prosząc o pomoc władze Finlandii. Takich było jednak bardzo niewielu. Po pierwsze, granica była pilnie strzeżona, a po drugie, wielu komunistów fińskich miało w ojczyźnie wyroki sądowe, bali się więc do niej wracać.

W czasie „operacji fińskiej" rozwiązano specjalną karelską jednostkę Armii Czerwonej (Karjalan Jääkäripataljoona, pol. Karelska brygada grenadierów), w której większość oficerów i podoficerów stanowili Finowie, weterani wojny domowej w Finlandii w latach 1918–1919. Aresztowano i stracono wówczas 40 z nich.

Rozstrzelano również całe kierownictwo kołchozu Säde, założonego niedaleko Petrozawodzka przez fińskich komunistów przybyłych z Kanady. Zginęli przewodniczący kołchozu Kalle Siikanen i dwóch jego najbliższych współpracowników – Eelis Ahokasand i Juho Niemi. Represje NKWD spadły niespodziewanie na prawie 300-osobową społeczność wzorowego fińskiego sowchozu nr 2 założonego przez komunistów fińskich w większości przybyłych z Finlandii.

Głównym wykonawcą i organizatorem „operacji fińskiej" był ludowy komisarz spraw wewnętrznych Karelskiej ASRS, Łotysz Karl Tenison. W wiadomościach słanych na Kreml prosił głównego stalinowskiego kata Nikołaja Jeżowa o zwiększenie limitów aresztowań. Swą prośbę uzasadniał istnieniem „rozległej siatki fińskiego podziemia". Robił to nie tylko po to, by zadowolić Moskwę, lecz także prawdopodobnie w obawie o własne życie, gdyż wiedział o losach innych Łotyszy na służbie NKWD. Ta gorliwość i tak go jednak nie uratowała. Został aresztowany pod koniec 1938 r. i po krótkim śledztwie rozstrzelany, jak wielu wykonawców wielkiego terroru.

Po aresztowaniu Karla Tenisona nowy szef NKWD w Karelii Stepan Matuzienko zwrócił się do kierownictwa resortu z następującą prośbą:

„Na terytorium Karelskiej ASRS została zdemaskowana i zniszczona antysowiecka organizacja fińskich burżuazyjnych nacjonalistów. Prowodyrzy tej kontrrewolucyjnej organizacji, jej przewodniczący Gylling i Rovio, nie znajdowali poparcia dla swoich niegodziwych zamiarów wśród pracującej ludności Karelii i wykorzystywali nielegalnych imigrantów z Finlandii, pozostających nieugiętymi kułakami i członkami karelskiego buntu z lat 1921–1922.

Poza tym Gylling wzmocnił linie wroga, rekrutując (północno)amerykańskich Finów z Kanady za pośrednictwem specjalnie zorganizowanej Agencji Przesiedleńczej. Środek ten był uzasadniony niewystarczającą siłą roboczą w karelskim przemyśle drzewnym. Finowie przybyli z Kanady prywatnymi samochodami, z maszynami do pisania, obcą walutą i instrukcjami zagranicznych służb wywiadowczych […]. Wśród Finów aresztowanych w latach 1937–1938 było 2,1 tys. szpiegów, czyli 20 proc. wszystkich Finów mieszkających w Karelii. Burżuazyjno-nacjonalistyczna organizacja fińska umieściła na odpowiedzialnych i kierowniczych stanowiskach tylko swoich zwolenników, czyli Finów. W konsekwencji skupili oni w swoich rękach najważniejsze organizacje partyjne, administracyjne i publiczne, a także przedsiębiorstwa przemysłowe, rolnictwo i transport […]. Ich działania mające na celu udaremnienie planów partii i rządu doprowadziły do obecnej skomplikowanej sytuacji w Karelii, która ciężko walczy z konsekwencjami ich działalności wywrotowej".

W sierpniu 1938 r. karelskie NKWD w swym raporcie do Moskwy podsumowało wyniki „operacji fińskiej". W jej wy-

eprasa.pl 434f19b026

niku zostało aresztowanych 2446 Finów, a 80 proc. z nich skazano na karę śmierci. Szacunkowe dane mówią, że wśród represjonowanych było 739 północnoamerykańskich Finów: 323 z Kanady (17 urodziło się w Kanadzie) i 416 ze Stanów Zjednoczonych (94 urodziło się w USA). Najczęściej oskarżano ich o szpiegostwo.

Karelia i Kreml

Finowie i Karelowie to dwa narody mówiące bardzo podobnym językiem. W dzisiejszej Finlandii język karelski nie jest uznawany za osobny język, lecz za dialekt języka fińskiego. Natomiast UNESCO uznaje język karelski za odrębny i traktuje go jako język zagrożony zniknięciem. Według spisu powszechnego z 2010 r. przeprowadzonego w Rosji jedynie 35 proc. mieszkających tam Karelów umie posługiwać się własnym językiem. W Finlandii karelski dialekt rozumie i posługuje się nim ok. 15 tys. obywateli tego kraju, mieszkających głównie przy granicy z Federacją Rosyjską.

W Rosji, od rewolucji bolszewickiej aż do połowy lat 30., Karelów nie uznawano jako odrębny naród. Język karelski traktowano jako dialekt fińskiego. Utworzono co prawda Karelską ASRS, ale ze względów politycznych traktowano ją jako „republikę fińską". Miała ona zostać, podobnie jak utworzone na terenie ZSRS Polski Rejon Narodowy im. Juliana Marchlewskiego i Polski Rejon Narodowy im. Feliksa Dzierżyńskiego, swoistym Piemontem rewolucji komunistycznej w Finlandii. Jednak podobnie jak polscy komuniści – na czele z Feliksem Dzierżyńskim – przegrali bitwę o sowietyzację własnego narodu, tak komuniści fińscy musieli, pod uderzeniami „białej" armii marszałka Mannerheima, wycofać się z Finlandii i przenieść się do ZSRS.

Od lat 20. aż do początku wielkiego terroru Karelska ASRS została „oddana" de facto komunistom fińskim. Języka karelskiego praktycznie zakazano i rozpoczęto (w ramach polityki korienizacji ustanowionej przez Stalina) szeroko zakrojone „finlandyzowanie" Karelii. Otwarto setki fińskich szkół, fiński teatr, publikowano wiele książek i pism (głównie komunistycznych) w języku fińskim, aby zademonstrować Finom po drugiej stronie granicy, jak bardzo władza sowiecka dba o naród fiński. Komuniści fińscy Karelów zaliczali jednocześnie do narodowości fińskiej. Polityka ta zmieniła się jednak w 1937 r. Dokładnie tak, jak ich polscy towarzysze, niespodziewanie dla siebie komuniści fińscy zostali uznani za „wrogów ludu", szpiegów i dywersantów. W Karelii słowo „Fin" stało się synonimem wroga. Przypomniano o istnieniu języka karelskiego, stworzono specjalną komisję lingwistyczną, która w 1938 r. zatwierdziła na podstawie jednego z istniejących karelskich dialektów oficjalną pisownię i gramatykę języka karelskiego. Język ten ogłoszono urzędowym w Karelskiej ASRS.

Z początkiem drugiej wojny światowej Stalin w sojuszu z Hitlerem przystąpił do odbudowy byłego imperium rosyjskiego. Dokonano IV rozbioru Polski, pozbawiono niepodległości Litwę, Łotwę i Estonię, zagarnięto rumuńską Mołdawię i Bukowinę. To wówczas ZSRS zdecydował się przyłączyć do swojego terytorium Finlandię, która cieszyła się niepodległością od 19 lat.

Finowie i Karelowie z ziem anektowanych przez ZSRS w 1940 r. w drodze do Finlandii FOT. DOMENA PUBLICZNA

W stosunku do Finlandii diabelski plan Stalina przewidywał zagarnięcie nie tylko części jej terytorium, lecz także – w perspektywie czasu – anektowanie całej Finlandii. Karelską ASRS spiesznie przekształcono w roku 1940 na Karelo-Fińską Socjalistyczna Republikę Sowiecką, podnosząc jednocześnie jej status z autonomicznej na związkową.

Karelów znów uznano za część narodu fińskiego, język fiński znów proklamowano jako język urzędowy, a o istnieniu karelskiego prawie zapomniano. W ramach nowego planu Stalina z więzień i obozów zwolniono niedobitków „operacji fińskiej" z zadaniem stworzenia nowej, teoretycznie tylko niepodległej sowieckiej republiki fińskiej jako części składowej Związku Sowieckiego. Na czele republiki postawiono, cudem ocalałego w wielkim terrorze, jednego z fińskich przywódców Międzynarodówki – Ottona Kuusinena.

Stalin uważał swój plan za doskonały, jednak nie wszystko poszło po jego myśli. Zawiedli jednak nie fińscy komuniści, ale jego „niezwyciężona" Armia Czerwona, która pomimo swej dziesięciokrotnej przewagi liczebnej nad armią fińską nie zdołała „przekonać" Finów do komunizmu w czasie wojny zimowej. Stalin zmuszony był zadowolić się jedynie częścią terytorium Finlandii, na której nie było już kogo przekonywać do komunizmu. Finowie po prostu odeszli razem ze swoją armią.

Według spisu ludności z 1926 r. Finowie i Karelowie stanowili ok. 40 proc. ludności tej republiki. Dziś jest ich zaledwie 7 proc. Ludność ugrofińska w Karelii wymiera albo wyjeżdża do Finlandii, gdzie działa rządowy program przyjęcia Finów i Karelów rosyjskich. Co roku do swojej prawie nieznanej, ale jednak ojczyzny wraca do 3 tys. osób.

Ciekawostką jest, że język karelski nie został uznany za język państwowy w Republice Karelii. Dlaczego? Zapisywany jest on alfabetem łacińskim, co nie odpowiada wymogom Konstytucji Federacji Rosyjskiej. Jest to paradoksalne, tym bardziej kiedy weźmie się pod uwagę, że w Autonomicznym Obwodzie Żydowskim na Dalekim Wschodzie, gdzie liczba Żydów nie przekracza 0,5 proc. ludności obwodu, język jidysz uznano za oficjalny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 434f19b026

1880–1919 / Milan Štefánik

Tajemnica śmierci słowackiego herosa

Piotr Semka

Przez lata powracały oskarżenia o celowe zgładzenie Milana Štefánika, którego Słowacy traktowali jako ofiarę „czeskiej perfidii". Czas w znacznej mierze wyleczył jednak tę narodową ranę

4 maja 1919 r. bateria artylerii armii czechosłowackiej zauważyła przelatujący nad wsią Ivanka nad Dunajem na Słowacji nieznany dwusilnikowy samolot. Ivanka znajduje się 14 km na północny zachód od Bratysławy. Żołnierze czechosłowaccy uznali więc, że może być to wrogi aeroplan, który planuje zbombardować słowacką metropolię. Czescy artylerzyści byli celni – maszynę zestrzelono. Dopiero gdy żołnierze dotarli do wraku roztrzaskanego samolotu, odkryli, że jedna z ofiar nosiła czechosłowacki mundur, a trzy pozostałe miały na sobie włoskie uniformy lotnicze. Przesłuchiwani potem żołnierze zeznali, że decyzję o otwarciu ognia podjęto, gdy dostrzeżono zielono-biało-czerwone barwy na ogonie samolotu, które uznano za kolory Węgier.

Problem w tym, że dokładnie takie same – zielono-biało-czerwone – barwy mają Włochy, z których pochodził zestrzelony samolot Caproni C3. Podróżowała nim grupa wojskowych, a wśród nich Milan Štefánik, przedstawiciel Słowaków w triumwiracie ówczesnych przywódców wspólnego państwa cze-

eprasa.pl 434f19b026

Milan Štefánik (w mundurze) z delegatami czeskimi i słowackimi w Waszyngtonie, 1917 r. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

chosłowackiego. Kim był człowiek, który zginął na naddunajskich łąkach Ivanki?

Gwiazda Słowacji

Milan Rastislav Štefánik urodził się 21 lipca 1880 r. we wsi Košariská koło Myjavy na Słowacji. Ta zachodnia część kraju, przylegająca do czeskich Moraw, jest od lat tradycyjnie protestancka. Panujący tu protestantyzm to efekt migracji, która miała miejsce w XVII w. Na tereny zachodniej Słowacji dotarli wówczas Czesi, prześladowani z racji swojej luterańskiej wiary przez panujących w Czechach katolickich Habsburgów. Na terenie węgierskiej części imperium znaleźli oni o wiele bardziej tolerancyjne warunki do życia. Jednocześnie wciąż żyli niedaleko swojej „morawskiej", czeskiej ojczyzny.

Protestantyzm to religia, której jednym z „wymogów" jest docieranie do wiernych ze słowem Bożym w ich ojczystym języku. Na potrzeby protestanckich Słowaków Biblię zaczęto tłumaczyć na język słowacki. Protestantyzm zatem stał się swoistym kołem zamachowym dla pisanego języka słowackiego.

Ta sama okoliczność spowodowała, że to właśnie pastorzy luterańscy i inteligencja wywodząca się z rodzin protestanckich stanęli na czele słowackiego odrodzenia narodowego w XIX w. Nie inaczej było w rodzinie lokalnego pastora Pavola Štefánika, ojca młodego Milana, który wychował swego syna w duchu słowackiego patriotyzmu. Te tendencje wzmocniło jeszcze ewangelickie gimnazjum w Bratysławie, w którym uczył się młody Milan. Trafił on tam na doskonałego pedagoga, nauczyciela matematyki Ferdinanda Hirschmanna, który zauroczył młodego chłopaka pięknem nauk ścisłych, z matematyką na czele.

W 1898 r., po kolejnych szkołach, w węgierskim Sopronie i Szarvasie, zrażony wymogiem używania języka węgierskiego Milan Štefánik postanowił wyjechać na studia inżynieryjne na Uniwersytecie Karola w Pradze. Wpojony mu przez Hirschmanna zapał do nauk ścisłych skłonił go do równoczesnego studiowania astronomii, fizyki, matematyki i filozofii. Te ostatnie studia pchnęły go z kolei ku wolnomyślicielskim czy wręcz ateistycznym poglądom.

Trudno powiedzieć, czy to właśnie ta zmiana spowodowała, że między młodym Milanem a jego ojcem pastorem, Pavolem Štefánikiem, doszło do bardzo ostrego konfliktu. Faktem jest, że w 1900 r. ojciec wyrzucił syna z domu.

Od 1902 r. Štefánik kontynuował studia na uniwersytecie w Zurychu, ale to jednak praskie lata studenckie wywarły na nim największe wrażenie. Uzyskał w tym czasie stypendium narodowe od Československiej Jednoty, która promowała przyszłe połączenie narodów czeskiego i słowackiego w jedno niepodległe od Habsburgów i Węgrów państwo. W Pradze, w trakcie studiów na wydziale filozofii, młody Štefánik zachwycał się wykładami Tomasza Garrigue Masaryka, który jako syn Czecha i Słowaczki także gorąco optował za jak najściślejszą niepodległościową współpracą obu narodów.

W 1904 r. Štefánik wyjechał do Paryża na studia z astronomii. Stolica Francji była wówczas częstym celem wyjazdów młodych Czechów, którzy mieli dosyć habsburskiej atmosfery c.k. monarchii. Na dodatek dla takich postępowców jak Štefánik republikańska Francja była wzorem antyklerykalizmu i wolnomyślicielstwa. Dzięki listowi polecającemu od jednego z czeskich profesorów chłopak z Košarisk podjął studia, otrzymując jednocześnie posadę w słynnym paryskim obserwatorium astronomicznym Paris-Meudon. Jej szef, Pierre Janssen, jeden z twórców odrębnej dyscypliny naukowej nazwanej astrofizyką, szybko zapoznał Štefánika z wieloma czołowymi naukowcami oraz najbardziej znanymi francuskimi politykami. Krytycy Štefánika sugerują, że jego kariera nie była przypadkiem. Ich zdaniem być może już w Pradze Štefánik związał się z wolnomularstwem i to dzięki masońskim rekomendacjom otrzymał miejsce w obserwatorium Janssena. Kontakty te miały go także wprowadzić do kręgu paryskich elit.

W 1908 r., na zlecenie władz francuskich, Štefánik odbył podróż dookoła świata, której celem były astronomiczne i meteorologiczne obserwacje zaćmienia Słońca. Trasa jego podróży wiodła przez Algierię, Maroko, Rosję, Turcję, Turkiestan, Indie, Stany Zjednoczone, Panamę, Brazylię, Ekwador, Australię, Nową Zelandię, Fidżi i Tahiti. Na Tahiti Štefánik założył obserwatorium astronomiczne i odbył kilka rejsów po Pacyfiku, a przy okazji – jak twierdzą niektórzy – miał czynić obserwacje niemieckich kolonii leżących na Oceanie Spokojnym.

Zdobywca przestworzy

Kiedy w 1914 r. wybuchła pierwsza wojna światowa, Štefánik zgłosił się do armii francuskiej. Dzięki swoim kontaktom łatwiej spełnił swoje marzenie – przydzielono go do wojsk lotniczych, został

eprasa.pl 434f19b026

wojskowym pilotem. Na początku latał samolotem MFS54 jako pilot rozpoznawczy X armii francuskiej walczącej nad Artois. Później został wysłany na front serbski, gdzie zdobył sławę, wykonując 30 udanych misji nad terytorium nieprzyjaciela.

Wyruszając na front, zawsze brał ze sobą dwie tabletki trucizny. Dobrze wiedział, że w razie schwytania, jako obywatel Austro-Węgier, zostanie powieszony jako zdrajca państwa Habsburgów.

Odwaga niezwykłego Słowaka została doceniona; szybko został awansowany do stopnia oficerskiego. Walcząc dla Francji, Štefánik zorganizował służbę meteorologiczną. W 1915 r. wrócił do Paryża, gdzie spotkał Edvarda Beneša, bliskiego współpracownika Tomáša Masaryka.

Już w 1916 r. Štefánik, Beneš i Masaryk utworzyli „wielką trójcę" Czechosłowackiej Rady Narodowej, która z czasem została uznana przez mocarstwa alianckie za przedstawicielstwo narodu czeskiego i słowackiego na emigracji. Ciekawostką jest to, że to Štefánik miał lepsze kontakty wśród paryskich elit niż jego czescy koledzy. To właśnie on pomógł Masarykowi spotkać się z francuskim premierem Aristide Briandem.

Z czasem Štefánik wziął w swoje ręce kwestie wojskowe. Wyruszył do Włoch, gdzie organizował legion czechosłowacki, w którego skład weszli Słowacy i Czesi, którzy wcześniej znaleźli się we włoskiej niewoli. Potem pojechał do Rosji, gdzie w lutym 1917 r. wizytował legion czechosłowacki na terenie ówczesnego, istniejącego jeszcze cesarstwa rosyjskiego. W maju 1918 r. Štefánik odwiedził w imieniu Czechosłowackiej Rady Narodowej Syberię, dokąd przesunięto czechosłowacki legion, który szybko wszedł w konflikt z bolszewikami i przebił się w kierunku dalekowschodniego Władywostoku. Ta wizyta Štefánika wśród legionistów na Syberii była potem przyczyną wielu plotek, które wyjaśniać miałyby jego późniejszą śmierć. Według tych teorii Štefánik dowiedział się o grabieży cennych depozytów z rosyjskich banków, które legion czechosłowacki, przesuwając się w kierunku wschodnim, zagarniał i kierował do swoich taborów kolejowych.

Im bliżej było końca 1918 r., tym bardziej napięte stawały się relacje pomiędzy Masarykiem, Benešem i Štefánikiem. Masaryk, co prawda, lubił przypominać, że jego matka była Słowaczką, ale według wielu słowackich działaczy mimo wszystko miał głębokie przekonanie, iż to Czesi reprezentują wyższy poziom cywilizacyjny, a Słowacy powinni dochodzić do pełnej narodowej podmiotowości pod przywództwem praskich elit.

Portret Milana Štefánika. Obraz Ivana Žaboty

FOT. SŁOWACKIE MUZUEM NARODOWE W BOJNICACH

Štefánik coraz ostrzej zaczął też rozliczać Masaryka i Beneša z ich deklaracji o pełnym uprawnieniu Czechów i Słowaków w nowym wspólnym państwie. Na początku 1919 r. wciąż krążył on, jako członek różnych misji dyplomatycznych, pomiędzy Rosją, Francją i Włochami. To on organizował ewakuację czechosłowackich wojsk z Syberii przez Amerykę do Paryża, a w kwietniu tego samego roku wyjechał do Rzymu na negocjacje z włoskim ministrem obrony na temat udziału włoskich oficerów w organizowaniu czechosłowackiej armii.

We Włoszech wyruszył na lotnisko Campo Fornido koło Udine, skąd miał wylecieć do swojego kraju. Włosi do dyspozycji oddali mu dwusilnikowy samolot Caproni.

Właśnie wtedy, będąc w drodze do Czechosłowacji, słowacki przywódca zginął zestrzelony przez czechosłowacką baterię przeciwlotniczą. Wraz z nim śmierć poniosło trzech włoskich pilotów: płk Giotto Mancinelli Scotti, sierż. Umberto Merlino i mechanik radiotelegrafista Gabriel Aggustio. Śledztwo dotyczące okoliczności zestrzelenia samolotu Štefánika nie trwało długo. Nikt nie został ukarany; uznano, że doszło do pomyłki. Bratysława szykowała się właśnie do odparcia ataku ze strony czerwonej armii węgierskiej pod wodzą Béli Kuna, a w późniejszym czasie władze czechosłowackie do sprawy już nie wracały. Co prawda, Masaryk kazał zbudować dla Štefánika spektakularny quasi-pogański grobowiec na wzgórzu Bradlo koło Brezovej na Słowacji, jednak okoliczności jego śmierci już nie podnoszono.

Taka polityka nie mogła się udać. Czym mocniej rozwijał się słowacki ruch narodowy, tym bardziej krytyczny stawał się on wobec czeskiego centralizmu. Coraz częściej powtarzano też oskarżenia o celowym zgładzeniu Štefánika. Kult zmarłego słowackiego lidera rozkwitł na nowo w kolaboracyjnym państwie słowackim ks. Tiso, gdzie Štefánika traktowano jako ofiarę „czeskiej perfidii". Po wojnie kult Štefánika odżył znów, tym razem w „masarykowskiej", poprawnej wersji, lecz w 1948 r. pomniki i popiersia słowackiego przywódcy i tak zniknęły z cokołów.

Słowacki heros powrócił w pełnej chwale po 1990 r., kiedy dedykowano mu jeden z trzech najważniejszych orderów demokratycznego już państwa Czechów i Słowaków. Po aksamitnym rozwodzie obu narodów Štefánik został patronem Akademii Sił Zbrojnych Republiki Słowackiej w Liptowskim Mikułaszu oraz patronem słowackiego orderu za zasługi dla obronności kraju. Wcześniej, w 1982 r., jedna z nowo odkrytych planet o numerze 3571 otrzymała jego imię.

Podział Czechosłowacji na Czechy i Słowację na tyle uspokoił nastroje antyczeskie, że dziś opowieści o zamordowaniu słowackiego generała wskutek intrygi z Pragi przykuwają już raczej uwagę tylko sensacyjnych magazynów historycznych. Politycy z Czech dmuchają jednak na zimne. Wielu z nich w czasie wizyt na Słowacji odwiedza górę Bradlo i składa na grobie gen. Štefánika wieńce od narodu czeskiego.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 434f19b026

Gerard Butler jako Leonidas w filmie „300" Zacka Snydera

FOT. WARNER BROS.

Wywiad / Z dr. Stephenem P. Kershawem, historykiem z Uniwersytetu Oksfordzkiego

rozmawia Piotr Włoczyk

Największy z 300

PIOTR WŁOCZYK: Grecy mogli wybrać każdego innego dowódcę. Dlaczego to Leonidas stanął na czele sojuszniczych wojsk greckich?

STEPHEN P. KERSHAW: Leonidas został naczelnym dowódcą niejako z „automatu", ponieważ był królem Sparty. W greckim świecie Spartanie byli powszechnie uważani za najlepszych znawców sztuki wojennej, więc został on naczelnym dowódcą sił sojuszniczych właściwie ex oficio. Greckie polis nie zmobilizowałyby się do obrony Hellady pod dowództwem innego człowieka.

Widać tu chyba pewną analogię z NATO – dowódcą sił sojuszu w Europie zawsze jest amerykański generał...

Na podobnej zasadzie funkcjonowali w Helladzie Spartanie. Greckie siły wysłane naprzeciw armii perskiej składały się z zaledwie 31 kontyngentów. A pamiętajmy, że greckich polis było ponad sto... Każde z nich z zaciętością broniło swojej suwerenności, więc stworzenie z tak kolorowej mozaiki różnych bytów państwowych zjednoczonego sojuszu było nie lada wyzwaniem. W trakcie tej inwazji widzimy, jak dużym problemem dla Leonidasa ze Sparty i Temistoklesa z Aten było utrzymanie sojuszu.

Leonidas był niekwestionowanym dowódcą, jeżeli chodzi o siły lądowe. A jak to wyglądało na morzu?

Ateńczycy nie mieli sobie równych na morzu i wystawili do drugiej wojny z Persami (pierwsza wojna zakończyła się w 490 r. p.n.e. – 10 lat wcześniej – klęską Dariusza I w bitwie pod Maratonem)

eprasa.pl 434f19b026

Perscy wojownicy

FOT. WIKIPEDIA/MUZEUM PERGAMOŃSKIE

najwięcej ludzi spośród wszystkich polis. Ich siły morskie liczyły kilkaset jednostek, na których służyło ok. 40 tys. ludzi. To była prawdziwa potęga. Ale nawet oni musieli uznać naczelne przywództwo Spartan w greckim sojuszu.

Co wiemy o zdolnościach dowódczych Leonidasa przed bitwą pod Termopilami?

Bardzo niewiele. Leonidas był królem od 10 lat, wiemy, że był doskonałym przykładem spartańskiego wychowania i szkoły wojskowej, ale poza tym ciężko powiedzieć o nim coś konkretnego. Natomiast wiele na temat jego zdolności mówi to, że jego ostatnia misja w ogóle doszła do skutku.

Jak to?

Spartanie nie byli wówczas zbyt chętni do wystawiania dużych sił. Jednym z powodów było to, że akurat wtedy obchodzili ważne święto religijne, podczas którego nie wolno im było walczyć. Ktoś powie, że Leonidas stanął w przesmyku termopilskim, mając u boku jedynie 300 Spartan. Tymczasem w kontekście tego święta można powiedzieć, że było to aż 300 Spartan! Leonidasowi udało się specjalnie dla tego oddziału uzyskać dyspensę od zakazu wojowania.

Zablokowanie przesmyku termopilskiego było dla Greków oczywistością?

To była jedna z najważniejszych kwestii do rozstrzygnięcia przez helladzki sojusz. Wobec szczupłości własnych sił Grecy musieli umiejętnie wykorzystywać to, co grało na ich korzyść. Były to trzy czynniki: geografia Hellady, lokalne warunki na morzu i czas. Termopile były kombinacją pierwszego i trzeciego czynnika. Perska armia była ogromna i potrzebowała nieprzebranych zapasów. Im dłużej więc Grecy byli w stanie trzymać Persów na dystans, tym większe problemy mieli najeźdźcy.

Pod względem geograficznym trudno było o lepsze miejsce niż Termopile, choć dzisiejszy widok na ten przesmyk może niejednego dziwić...

Termopile to najbardziej oczywista droga dla każdego, kto chciał się przedostać z północnej Hellady do jej południowej części. Pojawiały się też pomysły, żeby skupić się na obronie Koryntu, ale jednak Termopile były dużo węższe i dawały szczupłym siłom obrońców większe szanse w boju z Persami.

Ten wąziutki przesmyk między morzem a stromymi górskimi stokami dziś wygląda zupełnie inaczej. Przed naszą erą jego szerokość liczono w metrach, przez stulecia jednak morze „oddaliło się" od gór o ponad kilometr i miejsce to jest obecnie o wiele szersze. Nawet dziś jedna z głównych dróg w Grecji wiedzie przez Termopile, więc dosyć łatwo tam trafić.

Każdy rozumiał, że niewielki kontyngent wojska był tam w stanie zablokować nawet ogromną armię, która chciała przejść na południe.

Niewielki, ale jednak większy niż 300. Bo przecież początkowo Leonidas miał pod Termopilami o wiele więcej żołnierzy.

Trudno tu o pewną liczbę, ale możemy podejrzewać, że pod wodzą Leonidasa walczyło pod Termopilami ok. 7 tys. helladzkich żołnierzy.

Ilu żołnierzy było po drugiej stronie?

Tu również trudno o konkretną liczbę. Herodot napisał, że cała perska armia, wraz z zapleczem, liczyła ponad 5 mln ludzi… Jak doskonale rozumiemy, nawet podzielenie tej liczby przez 10 może nie wystarczać, żeby zbliżyć się do prawdy. Jedno możemy powiedzieć z pewnością – Persowie mieli przytłaczającą przewagę pod względem liczby żołnierzy. Leonidas postanowił jednak zamienić coś, co wydawało się Kserksesowi ogromną przewagą, w jeden wielki ból głowy dla Persów.

Jak konkretnie Leonidas planował powstrzymać Persów?

Persowie mieli znakomitych łuczników i to właśnie walka na dystans była ich najmocniejszą stroną. Ich piechota i konnica szły do walki bezpośredniej dopiero wtedy, gdy łucznicy przerzedzili szeregi wroga i zasiali w nich chaos. Dla takiego sposobu walki idealne są rozległe, otwarte przestrzenie.

W zamkniętej przestrzeni termopilskiej perska taktyka na nic się zdała, a przy tym greccy żołnierze byli od Persów dużo lepsi w walce wręcz... Gdy Grecy zaczęli zyskiwać przewagę i spychać wrogów do tyłu, w szeregi Persów zaczął się wkradać totalny chaos. Dwa pierwsze dni tej bitwy przebiegały w stu procentach po myśli obrońców Hellady. Persowie wykrwawiali się, a żołnierze Leonidasa wydawali się być niepokonani.

Ale potem nadszedł trzeci dzień...

I sytuacja zmieniła się diametralnie. Równolegle ze zmaganiami na lądzie pod Termopilami sojusznicza grecka flota walczyła z Persami w bitwie u przylądka Artemizjon, by Persowie nie byli w stanie okrążyć Greków. Na lądzie wszystko wyglądało dobrze do momentu, gdy pojawił się lokalny zdrajca. Efialtes wskazał Persom górską ścieżkę, która prowadziła na tyły wojsk greckich. Kserkses wysłał więc nocą tą trasą swoje elitarne jednostki – tzw. nieśmiertelnych.

Leonidas nie wiedział o tym zagrożeniu?

Oczywiście, że wiedział. Wysłał tysiąc Fokijczyków, by zabezpieczali tę ścieżkę.

Dlaczego więc Persowie zaszli Greków od tyłu?

Trudno powiedzieć, jak dokładnie do tego doszło, ale Fokijczycy dali się zaskoczyć „nieśmiertelnym". Persowie przeszli ścieżką jak burza i wyszli na tyły Greków. Leonidas wiedział o nadciągającym niebezpieczeństwie dzięki posłańcom. Spartański król zdecydował więc odprawić trzon sił, które broniły z nim przesmyku. Leonidas stanął przeciwko armii Persów ze swoimi 300 rodakami.

eprasa.pl 434f19b026

Grecki wojownik (hoplita) na ceramice z V w. p.n.e.

FOT. WIKIPEDIA/JONA LENDERING

W ten sposób narodziła się legenda bohaterskiej śmierci, która nie ma sobie równych w całej historii. Jak wyglądały ostatnie chwile Leonidasa?

Według najbardziej prawdopodobnej wersji zdarzeń Spartanie zaatakowali Persów, którzy szli na nich od czoła. W trakcie tej zaciętej walki Leonidas zginął. Następnie doszło jeszcze do boju o jego ciało. Nieliczni pozostali przy życiu Spartanie wyrwali je Persom i – naciskani z obu stron – wycofali się na niewielkie wzniesienie zwane wzgórzem Kolonos. Tam perscy łucznicy wybili ich do nogi.

Co się stało z ciałem Leonidasa?

To wyjątkowo haniebna historia. Gdy Kserkses dostał je w swoje ręce, obciął Leonidasowi głowę i ukrzyżował jego ciało.

Czym tłumaczyć tak podłe zachowanie? Kserkses był przekonany, że akurat jemu uda się zająć Grecję „z marszu"?

Niewątpliwie jego ambicja odgrywała tu ogromną rolę. Chodzi oczywiście o jego ojca, Dariusza I Wielkiego, który dekadę wcześniej chciał ukarać Ateny, ale przegrał z kretesem pod Maratonem. Można więc powiedzieć, że Kserkses traktował to bardzo osobiście – chciał dokończyć dzieła, które rozpoczął jego ojciec. Grecja miała paść przed Persami na kolana! Kserkses był przekonany, że mając tak potężną armię, tym razem Persowie zwyciężą i Hellada stanie się prowincją ich powiększającego się imperium.

Jak reszta Hellady przyjęła wiadomości o przegranej Leonidasa?

Mimo że ostatecznie pod Termopilami siły sojusznicze przegrały, to jednak Grecy dowiedli tam, że są w stanie powstrzymywać kolosa ze wschodu, że nie są bez szans, szczególnie jeżeli walczą ramię w ramię. Termopile pod względem morale były zwycięstwem – wieści o tym, co zrobił Leonidas z garstką żołnierzy, uskrzydliły resztę obrońców Hellady. To był punkt zwrotny, Grecy zobaczyli, że Kserksesowi można zadać poważny cios.

Sparta uratowała wolny świat?

To niezwykły paradoks, ale myślę, że można tak powiedzieć. Oligarchiczna Sparta, która kojarzy się ze wszystkim poza wolnością, dzięki poświęceniu swoich najmężniejszych wojowników i króla, odwraca bieg wydarzeń i ratuje rodzącą się grecką demokrację przed wschodnią despotią.

Wszystko kręciło się w Sparcie wokół wojny?

Spartanie wytworzyli jedyną w swoim rodzaju kulturę wojowników. Ci ludzie spędzali prawie całe życie na ćwiczeniach, by być najlepszą ciężkozbrojną piechotą. Doszli do takiej perfekcji, że żadne inne polis nie mogło się z nimi równać.

Spartańskie wychowanie nie bez powodu przeszło do historii. Dzieci w Sparcie były selekcjonowane tuż po narodzinach. Jakakolwiek słabość czy niepełnosprawność były wykluczone. Starsi decydowali, czy dziecko ma być wychowywane czy też ma zostać porzucone w górach. Do siódmego roku życia przyszły wojownik żył z rodzicami, ale po osiągnięciu tego wieku przechodził niemal na własność państwa, które trenowało go, by stał się śmiertelnie groźną bronią. Dzieci były wychowywane w komunalnym systemie kształcenia agōgē, podzielonym na etapy. Chodziło o zamienienie dziecka w karnego wykonawcę rozkazów, który na nic nie będzie narzekał. Wojownicy dostawali jedną szatę na rok i codziennie wykonywali niekończące się rundy ćwiczeń fizycznych. Spartańscy wojownicy musieli zawierać małżeństwa, ale nawet po ślubie spartański mężczyzna żył przez kilka kolejnych lat w „komunie" wraz z innymi szkolonymi i musiał się potajemnie wymykać, by widzieć się z żoną. Dopiero w wieku 24 lat stawał się pełnoprawnym wojownikiem, dostawał przydział do docelowego oddziału i służył w nim przez większość dorosłego życia. To był bardzo brutalny, ale efektywny system. Dlatego Spartanie byli bezdyskusyjnie najlepszymi hoplitami w greckim świecie.

Nic dziwnego, że reszta Greków chciała służyć pod Leonidasem, a nie pod jakimś ateńskim dowódcą...

REKLAMA

Opowieść o chciwości, nepotyzmie, zabójstwach i nieustępliwej walce o władzę.

„Sunday Times"

swiatksiazki.pl

BELLONA

Historia jednego z najsłynniejszych angielskich władców oraz kobiet, które pokochał i unieszczęśliwił.

ksiazki.pl

eprasa.pl 434f19b026

Ateńczycy też dysponowali niezłymi hoplitami, ale jednak generalnie Ateńczycy uważali ćwiczenia wojskowe Spartan za pracę, a praca kojarzyła im się z zadaniem dla niewolników. Bardzo im się to nie podobało i z dumą podkreślali, że nie są jak Spartanie, których odwaga nie jest naturalna, lecz wyrobiona przez państwo w toku morderczych ćwiczeń. Ateńczycy pod względem wojskowym byli na własne życzenie amatorami, więc siłą rzeczy nie mogli się na lądzie równać ze Spartanami.

Rywalizacja między Spartą a Atenami stała się z biegiem czasu legendarna.

Jednak w okresie, o którym rozmawiamy, ta rywalizacja nie była jeszcze tak zaogniona. Sparta i Ateny stały się śmiertelnymi wrogami kilkadziesiąt lat później, czego efektem była wieloletnia wojna peloponeska.

Wróćmy jeszcze do inwazji Kserksesa. Wspomniał pan, że trzecim czynnikiem, który Grecy wykorzystali w mistrzowski sposób, były lokalne warunki na morzu. O co dokładnie chodziło?

Grecy to od wieków ludzie morza. Persowie pojawili się u brzegów Hellady ze swoją wielką flotą, jednak nie znali lokalnych warunków. W trakcie inwazji Persowie ponieśli ogromne straty na morzu w trakcie sztormów. Ich jednostki rozbijały się bezradnie o skały, a znalezienie dobrego miejsca do wylądowania graniczyło z cudem. Grecy doskonale znali wąskie przejścia między wyspami, gdzie przewaga liczebna Persów stawała się nagle dla wroga ogromnym problemem.

Pomnik Leonidasa na przesmyku termopilskim FOT. ADOBE STOCK

Podczas bitwy pod Salaminą, która miała miejsce we wrześniu 480 r. p.n.e., Grecy wiedzieli, jak pogoda będzie się kształtowała przez cały dzień, i wykorzystali to przeciw Persom. Ich wielkie okręty miały więc przeciw sobie nie tylko greckich przeciwników, lecz także samo morze i najeżone skałami wybrzeże.

W ten sposób dochodzimy do bitwy, która uważana jest za jedną z najbardziej przełomowych w historii.

Po śmierci Leonidasa siłami sojuszniczymi wciąż oficjalnie dowodziła Sparta, ale na morzu rządził niepodzielnie ateński admirał Temistokles. Również pod względem liczby okrętów Grecy ustępowali Persom. Bitwa pod Salaminą to niemal Termopile na morzu. Grecy nie mogli sobie pozwolić na „uczciwą" grę na pełnym morzu i musieli zwabić Persów w ciasną pułapkę. Greckie okręty miały mniejsze zanurzenie, w związku z czym fale i wiatr nie oddziaływały na nie tak bardzo. Ciężkie okręty Persów, gdy tylko warunki na morzu zmieniły się na niekorzyść, wpadały na siebie, słychać było trzask łamanych wioseł. Grecy osiągnęli dokładnie to, na czym im zależało.

Perscy dowódcy nie byli chyba zbyt dobrzy, skoro dali się tak podejść?

Przede wszystkim bali się powiedzieć Kserksesowi prawdę, w związku z czym ich władca, bazując na złych przesłankach, podejmował błędne decyzje. Skąd my to znamy?

Jak Kserkses zareagował na klęskę pod Salaminą?

Ziemia usunęła mu się spod nóg. Do końca był bowiem pewien, że uda mu się zagarnąć Helladę. Gdy jego flota nie była w stanie rozbić Greków we wcześniejszej bitwie u przylądka Artemizjon, Kserkses uznał, że stało się tak, ponieważ nie było

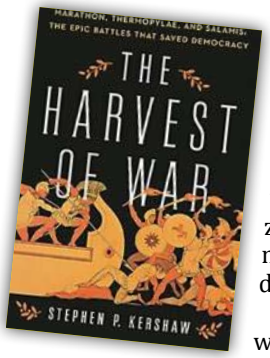

go osobiście na miejscu. Stwierdził, że następnym razem musi osobiście doglądać flotę. Kazał więc ustawić swój tron w miejscu, z którego miał świetny widok na cieśninę, gdzie miało dojść do starcia.

Po przegranej bitwie wraca jak niepyszny do Persji. Ajschylos napisał fantastyczną tragedię pt. „Persowie", która opowiada o przegranej pod Salaminą i powrocie Kserksesa do stolicy. Władca imperium był po tej wojnie złamanym człowiekiem. Co ciekawe, Kserkses marzył o spaleniu znienawidzonych Aten i udało mu się to zrobić w trakcie wojny o Helladę. Miał więc w trakcie wyprawy do Europy swój mały moment satysfakcji, ale jednak o spaleniu Aten nie ma śladu na perskich pomnikach. Przegrana pod Salaminą tak go zatruła, że najwidoczniej wolał w ogóle nie pamiętać o tamtej wojnie.

Czytając o drugiej wojnie perskiej, nie mogłem przestać myśleć o podobieństwach między inwazją Persów na Greków i obecną wojną Rosji z Ukrainą. Wygląda na to, że wielkie imperium zmiażdży małego przeciwnika, ale okazuje się, że obrońcy świetnie wykorzystują swoje walory, doradcy potężnego władcy okłamują go, przez co ten popełnia błąd za błędem, a dodatkowo przeciwnik kompletnie nie radzi sobie z logistyką...

Ma pan rację, widać tu wiele podobieństw. Choć trzeba też podkreślić, że teren dużo bardziej sprzyjał Grekom. Gdy moja książka ukazała się na rynku, Rosja akurat najechała Ukrainę. Wiem, że wielu czytelników miało podobne wrażenie jak pan. Zresztą sam Wołodymyr Zełenski powiedział, że Mariupol to „współczesne Termopile"...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Stephen P. Kershaw jest wykładowcą Uniwersytetu Oksfordzkiego, znawcą dziejów starożytnej Grecji. W zeszłym roku ukazała się jego ostatnia książka: „The Harvest of War: Marathon, Thermopylae, and Salamis: The Epic Battles that Saved Democracy".

eprasa.pl 434f19b026

Scena ze spektaklu „Przez dziurkę od klucza" teatru Morskie Oko FOT. NAC

II RP

Świetlane czasy lżejszej muzy

Król rewii II RP

Sławomir Koper

Złośliwi twierdzili, że w przedstawieniach Własta było „dużo nóg, a mało mózgu", ale to właśnie tego oczekiwał odbiorca

Był to człowiek o dużej inteligencji – oceniał Andrzeja Własta Jerzy Jurandot – który niewątpliwie musiał sobie zdawać sprawę z wartości swych produkcji. [...] Myślę, że po prostu szybko zorientował się, iż uliczna popularność piosenki zależy przede wszystkim od jej melodii, a w znacznie mniejszym stopniu od tekstu, od popularności zaś piosenki zależą dochody kompozytora i autora słów. Posiadłszy tę świadomość, zrezygnował z wszelkich ambicji literackich i z pełnym cynizmem wziął się za seryjną produkcję melodramatycznych, do łez wzruszających wszelkie służące arcydzieł".

Perskie Oko

Słynny kabaret literacki Qui Pro Quo wylansował stanowczo zbyt dużo indywidualności. Każda z gwiazd oczekiwała, że publiczność skupi uwagę tylko na niej, każda żądała popisowych szlagierów i doskonałych zarobków. Ordonka rywalizowała z Pogorzelską i Zimińską, Bodo miał nadzieję na znaczącą podwyżkę, narastał konflikt między Konradem Tomem a Fryderykiem Járosym.

Tom uchodził za najwszechstronniejszego artystę Warszawy, a jego rywalizację z Járosym podsycały ambicje zawodowe ich partnerek. Do starcia doszło wiosną 1925 r., a jego przyczyną stała się kwestia reżyserii jednego ze spektakli. Járosy, opromieniony wielkim sukcesem rewii „Hallo! Ciotka!", wrócił do stolicy, by odsunąć Toma od przygotowania jednego z następnych przedstawień. Odniósł ogromny triumf programem „Humpa! Humpa!" i Toma nie dopuszczono do kolejnej inscenizacji „Bez koszulki". Wywołało to otwarty bunt, a największe gwiazdy przy okazji zażądały solidnych podwyżek, czego żadna dyrekcja nie lubi.

Podobno Tom, wychodząc od dyrektora Jerzego Boczkowskiego, miał powiedzieć, że skoro „nie chcą dać podwyżki, to pokażemy im perskie oko". Słowa dotrzymał, a razem z nim odeszli Zula Pogorzelska, Eugeniusz Bodo, Ludwik Lawiński, Marian Rentgen i Tadeusz Olsza. Nowy kabaret otrzymał nazwę „Perskie Oko" i już na początku września zaprezentował pierwszy program, który spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem. Na scenie Perskiego Oka Zula Pogorzelska powitała nowy rok 1926 charlestonem,

eprasa.pl 434f19b026

na którego punkcie Warszawa oszalała. Wszystko to musiało dobrze wróżyć życiu kabaretowemu stolicy, tym bardziej że Járosyemu i Boczkowskiemu udało się utrzymać Qui Pro Quo po secesji części zespołu. Odtąd obie te kabaretowe sceny miały ze sobą zażarcie rywalizować.

Niestety, w Perskim Oku kolektywne zarządzanie zespołem okazało się utopią. Kabaret potrzebował jednoosobowego kierownictwa zarówno w kwestiach programowych, jak i finansowych. Nie na wiele zdały się zmiany kadrowe i przemianowanie sceny na Nowe Perskie Oko. Kolejną mutacją zespołu stała się rewia Morskie Oko. Jej dyrektorem został Andrzej Włast, który wiedział, co chce osiągnąć, i dlatego okazał się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Król estrady

Andrzej Włast (właśc. Gustaw Baumritter) uważał, że sukces zapewni tylko rozrywka zrozumiała dla przeciętnego widza. I szybko znalazł receptę na sukces: „O powodzeniu piosenki we współczesnej rewii rozstrzyga dobry refren. W tym też kierunku pracuje inwencja twórcza autorów. Dobry refren z łatwą i ładną melodią rozstrzyga często o powodzeniu całej rewii".

Większość tekstów Własta reprezentowała wyjątkowo niski poziom i niejeden krytyk rwał włosy z głowy, słysząc ze sceny: „Na bulwarach tłum, w kawiarenkach pary pełne dum" czy też: „Na mym ciele blizna sina wciąż mi ciebie przypomina, Twe straszne pięści i twój nóż!". Boy zauważył, że piosenki Własta „mają tę cenną właściwość, że można je czytać i śpiewać wspak, i w ogóle we wszystkich kierunkach", ale publiczności to odpowiadało. Poza tym dyrektor potrafił zadbać, by jego utwory wykonywali najlepsi artyści estradowi. Śpiewali u niego Bodo, Mankiewiczówna, Żabczyński i Pogorzelska, a tańczyły siostry Halama.

Z perspektywy czasu Włast wydaje się jedynym prawdziwym biznesmenem w świecie kabaretowym Warszawy. Był znakomitym, nastawionym na sukces menedżerem, który chyba jako jedyny poznał reguły rządzące przemysłem rozrywkowym.. „Własta polityka zupełnie

Stanisława Karlińska w rewii „Klejnoty Warszawy" FOT. NAC

nie interesowała – wspominał Kazimierz Krukowski – i nigdy nie dał się namówić na skecz czy monolog o politycznym charakterze. Ale takie były prawa rewii: po utworze ambitnym, zmuszającym publiczność do myślenia, zadumy, głębszych przeżyć – numer z założenia »pod publiczkę« i »do śmiechu«, piosenka albo romantyczna, rzewna, albo rytmiczna, nawet jazzowa. Mogła być o byle czym, najważniejsze, żeby ludzie ją podchwycili, zapamiętali i śpiewali po wyjściu z teatru. A w tym Włast był wciąż dobry. Był najlepszy w Warszawie".

Rewia dostarczała rozrywki na zdecydowanie niższym poziomie niż kabaret literacki, chociaż wykorzystywano nowatorskie rozwiązania techniczne. W programie „1000 pięknych dziewcząt" użyto systemu specjalnie ustawionych luster, dzięki czemu widz mógł ujrzeć na scenie tytułową liczbę tancerek.

Wprawdzie złośliwi twierdzili, że w przedstawieniach Własta było „dużo nóg, a mało mózgu", ale to właśnie tego oczekiwał odbiorca. Repertuar Perskiego i – później – Morskiego Oka wypełniał lukę pomiędzy kulturą inteligencką a plebejską. Dostarczał rozrywki tym, dla których niedostępny był świat wartościowych książek, teatru czy sali koncertowej. Włast odwoływał się do uczuć, nie do umysłu, prezentował banalne, łatwo przyswajalne przez widzów historie. Przeszedł również do historii języka polskiego, gdy w 1930 r. z jego inicjatywy odbył się konkurs na polski odpowiednik słowa „szlagier" – zwyciężyło określenie „przebój".

Rok wcześniej miało miejsce pamiętne wydarzenie, gdy Stanisława Nowicka, wspomagana przez męski tercet (Bodo, Roland, Sempoliński), zaprezentowała utwór, który zauważono w Europie. Była to kompozycja Jerzego Petersburskiego ze słowami Andrzeja Własta – „Tango milonga". Piosenka stała się światowym przebojem. Dwa lata po stołecznej premierze utwór zawędrował na Broadway do rewii Ala Jolsona „The Wonder Bar". Angielski tekst napisał Irving Caesar.

Morskie Oko było najmodniejszą sceną stolicy, każdy chciał zobaczyć nową kreację Bodo, popatrzeć na siostry Halama i posłuchać najnowszych utworów Warsa czy Petersburskiego (tekstów Własta już niekoniecznie). Wszystko było tam najlepsze: scenografia, muzyka i zarobki gwiazd.

Tymczasem pan dyrektor miał już w zanadrzu następny przebój – spolszczoną wersję „Ich küsse Ihre Hand, Madame" Ralpha Erwina, której wykonanie powierzył Eugeniuszowi Bodo. I jak można się było spodziewać, piosenkę „Całuję twoją dłoń, madame" okrzyknięto kolejnym ogromnym triumfem Własta, a tekst jego autorstwa okazał się ponadczasowy, w czym nie przeszkodziły nawet dość prymitywne rymy.

Właściwie każdy program Morskiego Oka okazywał się sukcesem, a bilety rozchodziły się błyskawicznie, by na czarnym rynku osiągać niebotyczne ceny. Jednak eksploatowanym do granic wytrzymałości gwiazdom przytrafiały się kontuzje, a każda niespodziewana absencja groziła wręcz katastrofą.

Rozmaite urazy były na porządku dziennym, bo w zespole panowała ostra rywalizacja i nawet największe gwiazdy podejmowały ryzyko, aby tylko przyćmić konkurencję. Poza tym bez akrobatycznych popisów tancerzy rewia wiele straciłaby na swojej atrakcyjności. Jednak czasami artyści stanowczo przesadzali. Gdy pewnego razu Witold Roland otrzymał gorące oklaski za swój popis taneczny, w Lodzie Halamie zagrała zawodowa ambicja.

„Wiedziałam, że muszę zrobić coś tak efektownego, aby »przypieczętować«

eprasa.pl 434f19b026

moją solówkę i wygrać. Poszłam na wielkie ryzyko. W »prysiudach« podeszłam do budki suflera, skoczyłam na nią i z niej do tyłu – zrobiłam tzw. salto i znowu w prysiudki. Sala zamarła na chwilę, aby potem zagrzmieć huraganem braw".

Nic zatem dziwnego, że za kulisami cucono dyrektora, który był przekonany, że jego gwiazda zabije się podczas tych akrobacji. Niebawem zresztą Włast miał kolejny powód do zmartwienia, bo inny jego gwiazdor, Witold Roland, pokazał coś, czego Warszawa nigdy wcześniej nie widziała.

„To, co wyprawiał Roland, tańcząc kozaka – opowiadał Sempoliński – przechodziło wszelkie prawa ciążenia. Skacząc, robił podwójne prysiudy, i to

Teatr Morskie Oko FOT. NAC

w powietrzu. Parnell [tancerz i choreograf – przyp. S.K.] zapytany, co o tym sądzi, odpowiedział, że Roland nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi, bo tak można tańczyć tylko dwa razy: pierwszy i ostatni. I rzeczywiście. Szał Rolandowy trwał co prawda nieco dłużej, bo ok. miesiąca, po czym wykonawca zerwał ścięgna i musiałem go zastąpić".

Rewia w dobie kryzysu

Wydawało się, że Włast zdominuje scenę lekkiej muzy w Warszawie. Kroczył bowiem od sukcesu do sukcesu i przyznawano, że jego wizja spektaklu rewiowego jest jak najbardziej trafna:

„W ciągu trzech godzin w pięćdziesięciu obrazach otrzymuje widz: esencję komedii, a dalej śpiew taniec i feérie.

SŁAWOMIR KOPER
„MISTRZOWIE POLSKIEGO KABARETU"
FRONDA

Zamiast pójść na przestarzałą operę, banalną farsę, szablonową operetkę – widz dzisiejszy, który żyje szybko, widz rozmiłowany w kinie i radiu – idzie na rewię".

Intuicja go nie zawiodła: „Publiczność ma głos" grano 126 razy, „To trzeba zobaczyć" – 138 razy, a „Klejnoty Warszawy" – 200. Krytycy załamywali ręce, ale opinia publiczności była decydująca. Tymczasem nadszedł wielki kryzys. Qui Pro Quo nie uniknęło przeznaczenia i zakończyło działalność w czerwcu 1931 r., pozostawiając po sobie długi w wysokości 770 tys. zł (dziś prawie 1,7 mln euro). Kryzys zaczynał być też odczuwalny w Morskim Oku, zdarzały się kłótnie o pieniądze pomiędzy dyrekcją a artystami, których ogromne gaże stanowiły coraz większe obciążenie dla budżetu. W marcu 1931 r. prasa poinformowała o obniżkach zarobków największych gwiazd średnio o ok. 20 proc. Podano, że Władysław Walter dotychczas otrzymywał 4,5 tys. zł miesięcznie, Zula Pogorzelska – 10 tys., natomiast Bodo – aż 15 tys.

Gwiazdy nie zamierzały jednak godzić się z dyktatem dyrekcji i niebawem do nowo otwartego kabaretu Wesołe Oko odeszli Bodo, Aleksander Żabczyński, Igo Sym i Ludwik Sempoliński. W efekcie Włast musiał podać się do dymisji, co zresztą nie poprawiło sytuacji sceny, która popadła w jeszcze większe tarapaty. „Dyrekcją finansową Morskiego Oka po ustąpieniu Własta zajęła się para kombinatorów i niebieskich ptaków, jakich w tej branży nigdy nie brakowało – wyjaśniał Jurandot. – Należności autorskich z reguły nigdy nie płacili. My, autorzy tekstów, kiedy chcieliśmy wydostać od któregoś z dyrektorów choćby kilka złotych z należnych nam honorariów, urządzaliśmy formalne polowanie z nagonką, obstawiając wszystkie wyjścia z teatru. Przeważnie bezskutecznie. Dopiero kiedyś, znacznie później, wyszło na jaw, że panowie dyrektorzy przebili sobie na taką okoliczność zapasowe tajne wyjście przez garderoby aktorskie".

W życiu kabaretowym Warszawy zapanował chaos. Sceny powstawały i upadały, dochodziło do fuzji i rozłamów. Nowe zespoły zajmowały siedziby poprzedników, a złośliwi twierdzili, że najwięcej pracy mają producenci szyldów.

Sukces odniósł jednak kabaret Rex i był to triumf nieoczekiwany, gdyż zgodnie z intencjami inwestorów miał być spektakularną klapą. W kabaret zainwestowała bowiem grupa bankowców z Łodzi, którzy płacili gaże dwa–trzy razy wyższe niż normalne, dzięki czemu zgromadzono na jednej scenie największe gwiazdy, a całością dowodził Włast. W efekcie widownia była zajęta do ostatniego miejsca każdego dnia i bankowcy z Łodzi nie tylko nie zbankrutowali, lecz także zarobili całkiem niezłe pieniądze. Rex cieszył się dużym powodzeniem, jednak po kilku miesiącach upadł, a przyczyną były konflikty gwiazd.

Fatalnie zakończył się natomiast kolejny projekt Własta, czyli Wielka Operetka. Pomysł okazał się niedopracowany, a dyrektor miał zbyt mało pieniędzy i za bardzo się spieszył. W efekcie dekoracje do pierwszego przedstawienia przygotowywano wieczorem w dniu premiery!

„Podnieśli kurtynę – opowiadała Halama. – Pod balkonem śpiewa serenadę Żabczyński, stojąc w wodzie, bo gondoli nie zrobili. Więc serenada z akompaniamentem śmiechu publiczności – oryginalne bardzo! Przed drugą częścią znowu przerwa w nieskończoność, bo chór i statyści nie mają gotowych nowych fraków i gońcy biegają po Warszawie, pożyczając fraki".

Ostatnim kabaretem Własta był Ali Baba, którego dwa pierwsze programy zostały przychylnie przyjęte przez publiczność, co zachęciło finansistę Karola Łaszewskiego do dalszego sponsorowania przedsięwzięcia. Kolejną premierę zapowiedziano na 2 września 1939 r.

Chociaż większość gwiazd i organizatorów stołecznej rewii przeżyła wojnę (poza Eugeniuszem Bodo), to Andrzej Włast nie dożył jej końca. Trafił do warszawskiego getta i został zabity podczas próby ucieczki, w1942 lub 1943 roku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

D. Michalski, *„Powróćmy jak za dawnych lat", Warszawa 2007.* ***J. Jurandot,*** *„Dzieje śmiechu", Warszawa 1965.* ***L. Halama,*** *„Moje nogi i ja", Warszawa 1984.* ***L. Sempoliński,*** *„Wielcy artyści małych scen", Warszawa 1968.*

eprasa.pl 434f19b026

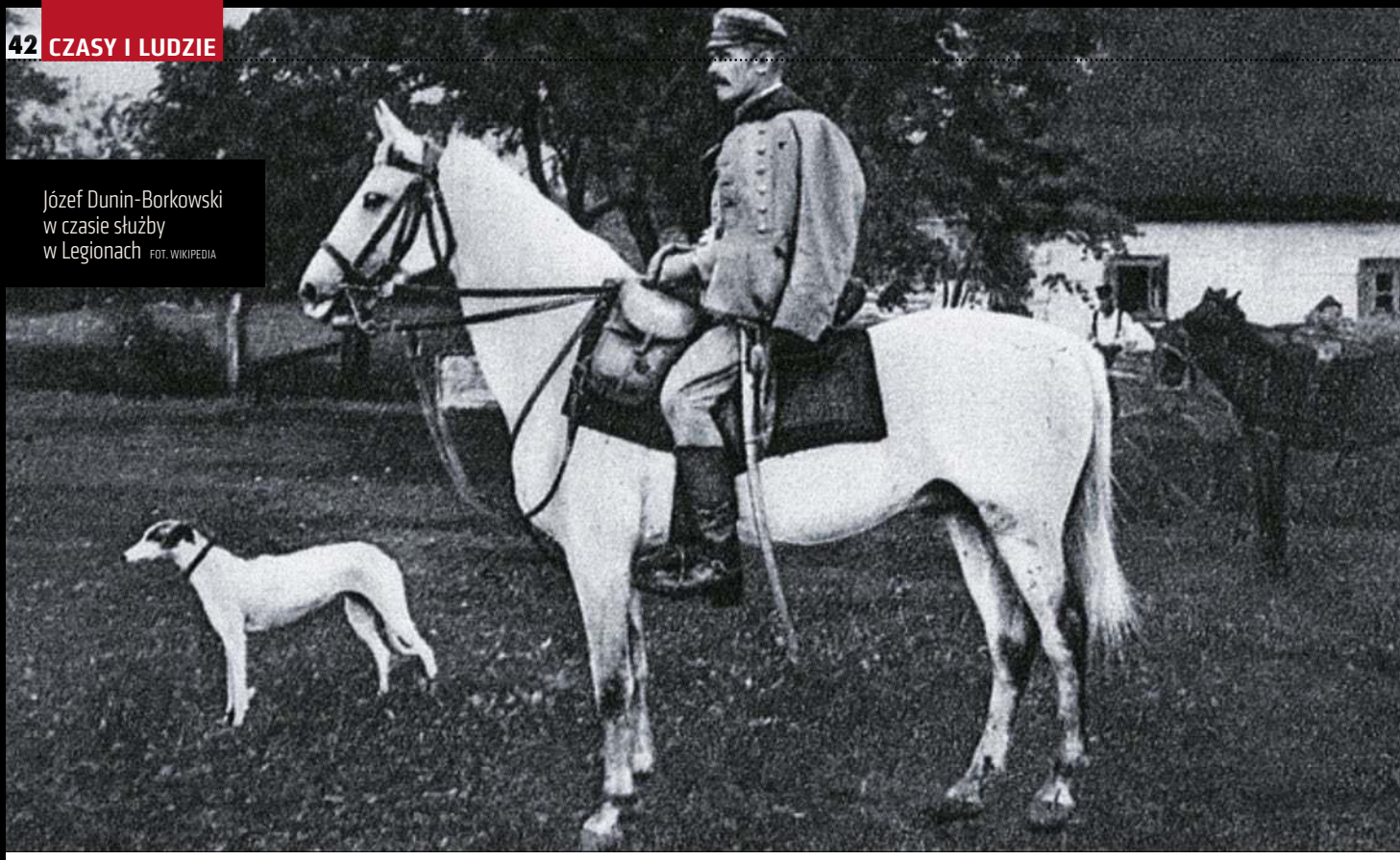

Józef Dunin-Borkowski w czasie służby w Legionach FOT. WIKIPEDIA

1914–1920 / W Legionach oraz w wojnach o niepodległość i granice

Honor ułańskiego sztandaru

Marek Gałęzowski

Józef Dunin–Borkowski odznaczał się wybitnym męstwem, zdolnościami operacyjnymi i niespożytą energią w służbie wojskowej

Niestrudzony i pełen starania o podwładnych, umiał odtworzyć rotmistrz Borkowski w ciągłych walkach i utarczkach najpiękniejsze tradycje kresowego rycerstwa polskiego, przyczem walcząc w pierwszym szeregu, świecił najlepszym przykładem męstwa i odwagi. Dowodząc samoistnie grupą wszystkich broni podległej wprost Dowództwu Armii, a działając tylko według ogólnych wskazówek, wykazał wybitne zdolności operacyjne, przewyższające znacznie jego stopień wojskowy. Z tego powodu przedstawiam go wyjątkowo do wyższego stopnia odznaczenia tym bardziej iż już w czasie z służby w Legionach Polskich podczas wojny I światowej wielokrotnie się odznaczył".

eprasa.pl 434f19b026

Tym wyższym odznaczeniem był bardzo rzadko nadawany Złoty Krzyż Virtuti Militari, o który wystąpił autor wniosku, gen. Tadeusz Rozwadowski, a uhonorowany w ten sposób miał zostać ppłk Józef Dunin-Borkowski. Niestety – pośmiertnie, gdyż jako jeden z 33 oficerów dawnych Legionów Polskich poległ w wojnie z bolszewikami.

Niespełniony naukowiec

Oficer, tak wysoko oceniany przez jednego z najwybitniejszych polskich generałów, był uważany w Legionach za człowieka skrytego. I rzeczywiście – jego wczesne lata życia spowija mrok jakiejś tajemnicy. Wiadomo, że pochodził ze szlachty podolskiej, urodził się w 1879 r., najprawdopodobniej we Florencji, chociaż czasem podawał też inne miejsca. Znaczące, że w dokumentach dotyczących Dunin-Borkowskiego brak informacji o jego rodzicach i jakiejkolwiek dalszej rodzinie. Nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci. Prawdą były słowa ze wspomnienia o poległym, że rodziną najbliższą był mu pułk, którym dowodził.

Wiadomo, że ukończył gimnazjum w Piotrkowie, po czym jako obywatel rosyjski odbył służbę wojskową w kawalerii carskiej, gdzie otrzymał stopień chorążego. Następnie, jak sam podawał, od 1897 r. studiował w różnych miastach europejskich – w Zurychu, w Berlinie, w Dreźnie, we Fryburgu. Mówił też, że przez pewien czas przebywał w Stanach Zjednoczonych, gdzie prowadził przedsiębiorstwo wyrobów elektrycznych. W jego aktach wojskowych i relacji jednego ze służących z nim w Legionach oficerów znajduje się ponadto informacja o uzyskaniu doktoratu z chemii na paryskiej Sorbonie. Ten doktorat wydaje się jednak mało prawdopodobny, biorąc pod uwagę, że w 1908 r. blisko 30-letni już Dunin-Borkowski ponownie rozpoczął studia, tym razem na Uniwersytecie Jagiellońskim; w następnym roku przerwał je, by ponownie zacząć naukę trzy lata później na wydziale lekarskim tej samej uczelni. Niemniej jednak paryska Sorbona była zapewne jakoś obecna w życiu naszego bohatera...

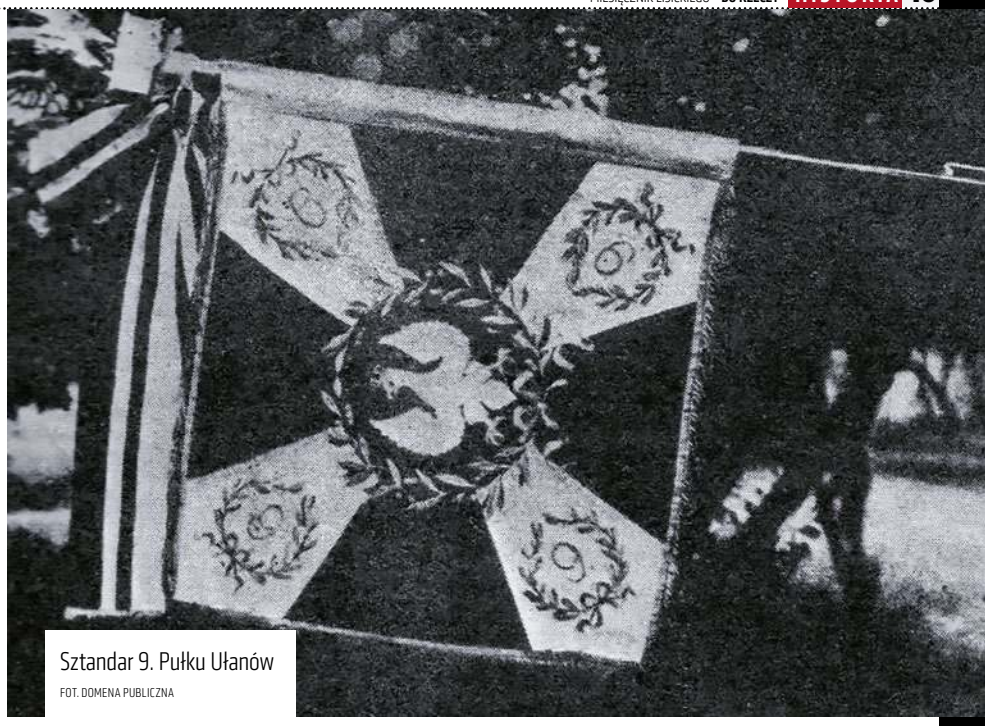

Sztandar 9. Pułku Ułanów

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Mimo braku dyplomu z całą pewnością miał wiedzę i ambicje naukowe w dziedzinie chemii, czego wyrazem stało się opublikowanie w latach 1908–1914 co najmniej czterech artykułów w serii rozpraw Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Ich tytuły niewiele mówią autorowi tego artykułu i, jak można przypuszczać, większości czytelników; przytoczmy jednak tytuł ostatniego z nich – „Nowa metoda oznaczania polaryzacji galwanicznej" – który w lipcu 1914 r., w przededniu rozpoczęcia pierwszej wojny światowej, przedstawił na posiedzeniu PAU Marian Smoluchowski, wybitny polski fizyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Kula rosyjska w papierośnicy

Po wybuchu wojny Dunin-Borkowski zgłosił się do Legionów. Objął dowództwo plutonu w 2. szwadronie ułanów; wkrótce, podczas bojów w Karpatach, został mianowany podporucznikiem. W maju następnego roku rozpoczął organizację 5. szwadronu, po czym objął jego dowództwo; szwadron ten wkrótce włączono do utworzonego wówczas 2. pułku ułanów. Od początku służby było pewne, że to kawaleria jest żywiołem świeżo upieczonego oficera. Wielokrotnie wyróżnił się w walce – najpierw w Karpatach, Besarabii i na Bukowinie, m.in. 22 stycznia 1915 r. w dolinie rzeki Tatarka. Kilka tygodni później pokazał jednemu z oficerów sztabu legionowego – Augustowi Krasickiemu – srebrną papierośnicę. 5 marca 1915 r. bowiem do połowy została przebita rosyjską kulą: „Przebijając plik map, zatrzymała się do połowy w papierośnicy […], strzał był na przeszło 1000 kroków" (o tym zdarzeniu wspominał w swoich listach także jeden z wybitnych oficerów legionowych, Stanisław Rostworowski). Nie może dziwić, że Dunin-Borkowski zyskał uznanie i popularność wśród swoich ułanów, którzy dla obwisłych wąsów nazywali go Chanem.

W drugiej połowie 1915 r. znalazł się ze swoim szwadronem na froncie wołyńskim. Tam też, w Wołczecku, został sportretowany przez najsłynniejszego legionowego rysownika – Leopolda Gottlieba. Z początkiem następnego roku objął w zastępstwie dowództwo dywizjonu w tym pułku, którym dowodził w dalszej fazie zmagań na Wołyniu. I tam wielokrotnie odznaczył się męstwem, przede wszystkim w czasie licznych walk podczas odwrotu znad Styru latem 1916 r. Ważniejsze może było to, że „szwadron prowadzi[ł] wzorowo, wyróżniając się w staraniu około koni", co sprawiło, że był on „najlepszy w pułku tak pod względem wyćwiczenia, jak materiału

eprasa.pl 434f19b026

Żołnierze 9. pułku ułanów, 1919 r. FOT.ODKRYWCA.PL

końskiego i wyekwipowania". Wszystko to uzasadniało nominację Dunina-Borkowskiego na stopień rotmistrza.

Wobec konfliktu dotyczącego sporu o dalsze przeznaczenie Legionów opowiadał się za pozostaniem w służbie, chociaż z jego wypowiedzi, odnotowanej przez Kazimierza Świtalskiego w lutym 1916 r., wynika, że nie był szczególnie chętnie nastawiony do Piłsudskiego: „[...] nie godzi się na politykę Komendanta, uważając ją za czystą negację. Razi go rozdwojenie w obozie legionowym, uważałby za najlepszą drogę godzenie się Komendanta na pewne formalne ustępstwa, by mógł oddziaływać w swym duchu", co zresztą Świtalski uznał za „jedne i te same zarzuty, które mają tę wadę, że nie wskazują innej lepszej drogi". W czasie kryzysu przysięgowego rotmistrz pozostał więc w szeregach jako dowódca 5. szwadronu w Polskim Korpusie Posiłkowym, utworzonym nieco wcześniej z Legionów. Po rychłym zerwaniu korpusu z Austro-Węgrami i przejściu części jego oddziałów przez Rarańczę w lutym 1918 r. został wraz z wieloma innymi oficerami internowany w Dulfalva, a potem w Huszt na Węgrzech.

„... wybitny rekord pośpiechu, sprawności i zapału"

Tymczasem Austro-Węgry chyliły się już ku upadkowi i mimo początkowo kierowanych gróźb, a nawet osądzenia części internowanych legionistów po kilku miesiącach wszystkich, w tym naszego bohatera, zwolniono z obozów. W drugiej połowie listopada 1918 r. Dunin-Borkowski przybył do Dębicy i tam zaczął formować szwadron kawalerii, który wkrótce przekształcono w 9. pułk ułanów. Wykazał się przy tym znakomitymi zdolnościami organizacyjnymi, jako że utworzenie tych pierwszych oddziałów kawalerii w ówczesnych warunkach uznawano jako „wybitny rekord pośpiechu, sprawności i zapału, który nawet przy ówczesnym powszechnym entuzjazmie wszystkich oddziałów zasługuje na wyróżnienie".

Dlatego, jak pisał jeden z przełożonych, to energii Dunina-Borkowskiego należy zawdzięczać to, że pułk jako jedna z pierwszych jednostek WP mógł wyruszyć na front walk z Ukraińcami w byłym już zaborze austriackim.

Mianowany rotmistrzem od pierwszych dni grudnia na czele I dywizjonu 9. pułku bił się pod Przemyślem i na odcinku Medyka – Mościska – Krysowice. Jeszcze w tym samym miesiącu objął dowództwo samodzielnej grupy, w której skład poza kawalerią wchodziły półtora batalionu piechoty, dwie baterie artylerii i pociąg pancerny. Na jej czele walczył pod Lwowem, broniąc linii kolejowej z Przemyślem, a 24 grudnia 1918 r. pod Stawczanami „ocalił całą grupę od rozbicia".

Jego udział w tych walkach, mimo znacznej przewagi nieprzyjaciela, znaczony także podejmowaniem działań zaczepnych, został bardzo wysoko oceniony przez przełożonych, którzy poza odwagą dostrzegali także niezwykle korzystny wpływ rotmistrza na podwładnych i bardzo dobre, energiczne dowodzenie pułkiem nie tylko w wymiarze bojowym, lecz także administracji, co znalazło później wyraz we wniosku o odznaczenie tego dzielnego oficera Orderem Virtuti Militari:

„Z jednym szwadronem i oddziałem karabinów maszynowych rozpoczął z końcem listopada 1918 z okolicy Mościsk specjalną akcję dla ochrony głównej linii kolejowej Przemyśl – Lwów. Nadzwyczajną energią i wybitną inicjatywą zdołał zorganizować i uzupełnić podczas ciągłych walk grupę [...]. Szachował i wiązał znaczne siły nieprzyjacielskie śmiałemi i samorzutnymi akcjami, a atakowany kilkakrotnie wielką przemocą, umiał zręcznemi wypadami ze swojej centralnej pozycji w Krysowicach unicestwić szczęśliwie wszelkie zawady nieprzyjaciela przedostania się do głównej komunikacji. Jego bezprzykładnej energii, osobistej waleczności i wybitnemu męstwu oraz nadzwyczaj zręcznemu manewrowaniu zawdzięczać należy trzymiesięczne utrzymanie w naszych rękach całej okolicy na południe od Mościsk i Sądowej Wiszni i związanie znacznych sił nieprzyjacielskich, które zagrażane skutecznie z flanki przez ruchliwą grupę rtm. Borkowskiego, przy kilkakrotnych akcjach skierowanych na Przemyśl lub ku przerwaniu głównej komunikacji, nie mogły skutecznie się rozwinąć".

W tych najcięższych, zimowych i wczesnowiosennych bojach 1919 r. – jak pisano we wspomnieniu pośmiertnym – „nie udało się nieprzyjacielowi ani razu, nawet w najbardziej krytycznych momentach, spędzić [grupy] z zajmowanych pozycji, nawet wówczas, gdy po kilkudniowym rozejmie w marcu r. 1919 nastąpiło ze strony Ukraińców nagłe zerwanie rozejmu i gdy grupa była odcięta i dowóz amunicji uniemożliwiony". Kiedy zaś WP przeszło do działań ofensyw-

eprasa.pl 434f19b026

nych, rtm. Dunin-Borkowski został mianowany dowódcą 9. pułku ułanów, na czele którego uczestniczył w zwycięskim rozstrzygnięciu zmagań na tym froncie.

Z szablą w pierwszej linii

Zakończenie wojny polsko-ukraińskiej nie dało wytchnienia ułanom z 9 pułku. W składzie IV Brygady Jazdy został on przerzucony na Wołyń, gdzie trwały już walki z Armią Czerwoną. Rotmistrz Dunin-Borkowski, w części prowadząc przeciw niej działania partyzanckie, odznaczył się m.in. w jesiennych bojach, kiedy podczas ofensywy bolszewickiej podjął się „z pułkiem przełamać front bolszewicki i uderzyć na ich tyły. Otrzymawszy na to pozwolenie od dowódcy 4. brygady jazdy płk. Żaby, zdobył 18/IX 1919 r. Zubkowicze, biorąc wielu jeńców i znaczny łup, i dotarł aż pod Radowl, paraliżując tem dalszą ofensywę bolszewicką". 1 grudnia 1919 r. został mianowany majorem.

Dowódca Frontu Wołyńskiego gen. Antoni Listowski oceniał mjr. Dunin-Borkowskiego wybitnie, szczególnie na tle krytycznej oceny dowództwa 2. i 5. pułku ułanów. Spowodowane bowiem przez nie zaniedbania doprowadziły do niemal zupełnej utraty wartości bojowej obu pułków, co zmusiło dowództwo frontu do wycofania ich do rezerwy. Powyższe wynikało wyłącznie z winy szefostwa tych jednostek, czego świadectwem, że „będące na tym samym froncie i w warunkach nierównie gorszych i trudniejszych 8., a szczególnie 9. p. ułanów [Dunin-Borkowskiego] pomimo to są w stanie zupełnie zadawalającym. Te ostatnie pułki, a zwłaszcza 9., zajmowały odcinek frontu, w znacznych warunkach pełnienia służby dużo gorszy, operując głównie w błotach i lasach" – inaczej niż dwa wyżej wspomniane „operujące na bogatej i żyznej Ukrainie. Mimo to różnica pomiędzy stanem tych pułków, tak bardzo będąca na korzyść 8. i 9., świadczy dobitnie, że należyte kierownictwo i prawidłowo pełniona służba wewnętrzna zapobiegnie wyniszczeniu pułków".

Ponadto gen. Listowski udzielił też w czasie walk na Wołyniu pochwalnego uznania dla IV Brygady Ułanów, „która bojową pracą na tyłach nieprzyjaciela zmusiła go do cofnięcia się, a szczególniej 9-mu pułkowi Ułanów i dowódcy tegoż rtm. Borkowskiemu, za dzielne i umiejętne kierownictwo pułkiem".

W czasie ofensywy na Kijów wiosną 1920 r. mjr Dunin-Borkowski nadal dowodził swoim 9. pułkiem ułanów. Walcząc często w pierwszej linii, wyróżnił się m.in. 26 kwietnia przy zdobyciu Koziatyna, zyskując uznanie Naczelnego Wodza, marsz. Józefa Piłsudskiego.
1 czerwca w pierwszym boju z Armią Konną Budionnego pod Rohoźną osobiście prowadził szarżę przeciw bolszewikom. Wtedy to wśród licznych starć na białą broń, dzięki dzielności Dunin-Borkowskiego i jego ułanów, uratowano zagrożoną przez bolszewików baterię artylerii; nie było przesady w słowach gen. Rozwadowskiego, który porównał mjr. Dunin-Borkowskiego do rycerzy kresowych dawnej Rzeczypospolitej.

Okazało się jednak, że po spektakularnym sukcesie ofensywy kijowskiej, już po miesiącu, trzeba było się wycofać z ukraińskiej stolicy pod bolszewickim naporem. Cofali się także ułani Dunin-Borkowskiego, których dowódca „w najcięższych fizycznie i moralnie chwilach pułku nie traci[ł] swej żelaznej energii". W czasie tych bojów odwrotowych, 3 lipca 1920 r., dzielny major poległ pod wsią Czerniachów podczas obrony mostu na rzece Horyń, trafiony kulą bolszewicką w szyję w czasie obchodzenia okopów.

Jak pisano w historii 9. pułku ułanów: „Śmierć dowódcy pułku głęboko wryła się w serca żołnierskie i wycisnęła łzy żalu bezsilnego nawet u ludzi, którzy nie nawykli do tkliwości. Ostatnimi słowy nakazał obecnym przy jego śmierci oficerom, by pilnowali honoru sztandaru pułkowego i nie dopuścili by śmierć Jego odbić się miała na gotowości bojowej pułku, który Mu był rodziną najbliższą".

Dzielnego pułkownika pochowano w Krakowie. Za męstwo w zmaganiach o granice Polski został odznaczony pośmiertnie Virtuti Militari V klasy (chociaż, jak wspomniano, gen. Rozwadowski wnioskował o nadanie mu IV klasy tego najwyższego polskiego orderu wojskowego) i Krzyżem Walecznych z trzema okuciami, za Legiony – Krzyżem Niepodległości oraz mianowany podpułkownikiem: „Szlachetny prawy charakter, osobiście bardzo odważny [...], pod każdym względem oficer wybitny", który we wszystkich bitwach swojego pułku „brał zawsze bezpośredni udział".

Patos nie był nadmierny – wybitnie mężną postawę Dunin-Borkowskiego potwierdzał skonfliktowany z nim w Legionach rtm. Jan Dunin-Brzeziński: „Osobiście był szalenie odważny. Za przykład może służyć atak, który nad Styrem na mostek w nocy po ciemku chciał poprowadzić. Tak samo jak i podjazd pod same obce okopy konno 2 dyonu, gdzie trzeba szczęścia, że ludzi nie stracił. Człowiek szalenie skryty, ogromnie zdolny".

***

Przesłanie umierającego pułkownika zostało zapamiętane. Pułkownik Klemens Rudnicki, we wrześniu 1939 r. dowódca 9. Pułku Ułanów Małopolskich z kresowej Trembowli (a w nieodległej przyszłości jeden z najwybitniejszych generałów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie), pisał, że odprawy sztabowe kończono zawsze słowami: „Pilnujcie honoru sztandaru pułkowego". Nie inaczej było i w czasie ostatniej, przed wymarszem pułku na wojnę z Niemcami, 27 sierpnia 1939 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl 434f19b026

1893 r. / Ostatnie dzieło Jana Matejki

Jan Kazimierz na kolanach

Leszek Lubicki

„Młodzieńczy Jan buntował się, protestował: polski król nie klęczy. Stary Matejko żegnał się z życiem, malując obraz klęczącego króla”

Kiedy Mistrz Jan się czegoś podejmował, to robił to pięknie i dokładnie, choć szybko, bo przeczuwał, że może nie zdążyć wykonać wszystkiego, co zaplanował. Jego dorobek to ponad 320 obrazów olejnych i kilka tysięcy rysunków i akwarel. Wśród nich znajdziemy 12 obrazów wielkoformatowych, o wręcz monumentalnych wymiarach. Ostatnim z dużych dzieł historycznych jest obraz „Śluby Jana Kazimierza” (315 x 500 cm). To także ostatni obraz, który Matejko stworzył. Nie zdążył go jednak dokończyć.

Król nie klęka

Obraz „Śluby Jana Kazimierza” Matejko planował namalować już na początku swojej twórczości. Pociągał go zapewne temat potopu szwedzkiego, jak też osoba samego króla, gdyż rok przed „Ślubami…” namalował obraz „Abdykacja Jana Kazimierza” (zaginiony – strata wojenna).

Jedno z najwcześniejszych dzieł, które odnosiło się do wojny ze Szwedami z lat 1655–1660, Matejko namalował, mając zaledwie 23 lata. Wyjechał wtedy do Wiednia studiować na tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. Rozpoczął wówczas pracę nad obrazem „Jan Kazimierz na Bielanach” (1861). Przedstawił na nim króla i hetmana Stefana Czarnieckiego patrzącego z tarasu klasztoru bielańskiego na płonący Kraków.

Siedzącego w wiedeńskiej uczelni przy sztalugach, pogrążonego w myślach młodego artystę nawiedził profesor Akademii, aby udzielić mu wskazówek. Dalej rzecz potoczyła się tak, jak to opisała siostrzenica Matejki (wiele lat później malarz uwiecznił ją na, zaginionym obecnie, obrazie „Kasztelanka”). Przytoczmy opis tej sytuacji: „Jeden z uczniów Akademii przedstawił swemu profesorowi obrazek do poprawienia i ocenienia. Treść obrazka zaczerpnięta była z historii polskiej. Nauczyciel skinął przychylnie głową i rzekł: »Bardzo dobrze, rzecz wykonana z uczuciem, muszę jednak zwrócić pana uwagę, że sytuacja wymaga, aby król klęczał«. Z ócz młodzieńca wypadła błyskawica. Nie wybuchnął przez szacunek dla starego profesora i tylko głosem dobitnym powiedział: »Królowie polscy przed nikim nie klękali«. Wybiegł z pracowni i więcej już do niej nie wrócił. Tym uczniem był Matejko”.

Cała edukacja Mistrza Jana trwała zatem w Wiedniu zaledwie siedem dni. Tak się wzburzył uwagami profesora, że

eprasa.pl 434f19b026

Jan Matejko „Śluby Jana Kazimierza"
FOT. WIKIPEDIA/MUZUEM NARODOWE WE WROCŁAWIU

Jan Kazimierz na krakowskich Bielanach
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

opuścił Wiedeń. Jak się okazało, wyszło mu to na dobre, gdyż nie były młodemu Janowi potrzebne żadne studia, ponieważ malarstwo Matejki „nie powstało z recept i wzorów szkoły historycznej, ale jest wyprutem z jego trzewiów, zrodzonem w męce ducha i w straszliwym napięciu twórczym" (Niewiadomski, 1923).

Tworzenie i cierpienie

Cały okres malowania „Ślubów…" to czas cierpienia i umierania Mistrza Jana. Dzięki osobistemu sekretarzowi Matejki, Marianowi Gorzkowskiemu, wiemy dokładnie, co wówczas działo się z Mistrzem. Swoje wspomnienia zawarł w „Pamiętnikach". Dalsze cytaty w niniejszym tekście pochodzą właśnie z tegoż dzieła.

Pracę nad ostatnim swoim obrazem Jan Matejko rozpoczął 28 marca 1893 r., a więc siedem miesięcy przed śmiercią. Tego dnia razem z sekretarzem „naciągnęli nowe wielkie płótno na obraz »Przysięga i śluby Jana Kazimierza we Lwowie«. Obraz przeznacza się na wystawę krajową, która ma się urządzać we Lwowie". Za kilka dni przypadał Wielki Piątek. Matejko w ten dzień tradycyjnie nie palił papierosów, a wiemy, że bardzo lubił palić. „To mu szkodziło, był smutny, drażliwy, niespokojny; namawiałem go ciągle, by palił, więc zgodził się na to, bo dym papierosów koił mu nerwy". Czuł się samotny, synowie byli poza Krakowem, córki wydane za mąż, a on „pozostał w domu sam jeden jak puszczyk! A jeśli pani [tak Gorzkowski nazywał żonę artysty, Teodorę – przyp. red.] mieszkająca na wsi, do niego czasem przybyła, to miał okropny z tego powodu niepokój".

W maju Matejko naniósł na obraz postać Czarnieckiego oraz pewne detale wystroju ołtarza. Dużo przy tym czytał, ale jego stan zdrowia „był coraz gorszy; bóle żołądka wzrastały i znowu lekarze chcieli przez usta wprowadzać mu plombę, ażeby z kwasów, które tam się zbierały, oczyścić żołądek […], w końcu tymże lekarzom powtarzał, iż na nim chcą robić lekarskie próby i doświadczenia, że nic mu one już nie pomogą!". Artysta zdawał sobie sprawę, że z jego zdrowiem jest coraz gorzej. Lekarze nalegali, aby wyjechał na leczenie do Karlsbadu, gdyż kuracja bardzo mu pomoże. „Artysta ciągle w tych czasach coraz bardziej cierpiał, żadne lekarstwa i żadne rady doktorów nie skutkowały; stan coraz bardziej był groźny [...]. Matejko ciągle swój wyjazd odkładał, ciągle twierdził, że przede wszystkim musi pracować; że obraz »Śluby Jana Kazimierza« powinien na krajową wystawę do Lwowa całkowicie wykończyć".

W końcu jednak 24 czerwca do uzdrowiska wyjechał, skąd niespodziewanie już 18 lipca wrócił. „Pobyt Matejki w Karlsbadzie nie był korzystny, nie pomógł jemu! Z listów jego spostrzegłem, że mu się tam przykrzyło; przyzwyczajony do codziennej pracy, nie mógł bez niej wytrzymać; nie lubiąc nowych znajomości, unikał ich; był zresztą smutny, słaby, nic nie jadł, melancholijnie czas pędził".

Po powrocie dalej malował „Śluby…", choć cały czas cierpiał bóle. Czasami wyjeżdżał na wieś, do swojego domu w Krzeszowicach, ale „pomimo nalegań lekarzy nie leczył się wcale; napastowały go bóle żołądka…". Gdy wracał do Krakowa, dalej pracował nad obrazem, chociaż medycy zalecali, aby odpoczywał i leżał w łóżku. „Matejko ciągle narzeka na Karlsbad! Ta długa podróż była mu bardzo nużąca, a wagonowe wstrząśnienia sprawiały wiele boleści […]. Malowanie »Ślubów Jana Kazimierza«, przy którem coraz bardziej nikło zdrowie artysty, spowodowało, że leżał na kanapie i drzemał, czego dawniej nie robił".

Październik to dalsze malowanie obrazu i dalsze pogorszenie się stanu zdrowia artysty. Pojechał jeszcze za namową Karola Stryjeńskiego do Bochni, gdzie

eprasa.pl 434f19b026

miał odbyć naradę nad restauracją kaplicy. „Trudno zrozumieć p. Stryjeńskiego odwagę, do zachęcania i namowy Matejki na podróż, tak dla chorego artysty szkodliwą i niebezpieczną".

Prace nad „Ślubami…" posuwały się bardzo powoli. 30 października Matejko był tak słaby, że nie mógł wejść na schodki ustawione przed obrazem. Dzień później poprosił, aby powiadomić jego bliskich o dokuczających mu słabościach. Rodzina przyjechała i towarzyszyła mu w ostatnich godzinach życia.

„O godzinie pierwszej w nocy Matejko z całym spokojem ducha wyspowiadał się, przyjął święte oleje; potem pocałował krzyż […], następnie sam modlił się, a potem do otaczających ze wzruszeniem powiedział: módlmy się za ojczyznę! Boże błogosław dzieci!".

Gorzkowski zanotował ostatnie słowa Matejki, który powiedział: „Tak, chcę się uspokoić". Pisał jeszcze: „O trzy kwadranse na trzecią, po południu, podniósł się trochę, na nikogo nie spojrzał i po kilku cichych westchnieniach, skonał". Jan Matejko umarł we własnym domu przy ul. Floriańskiej w Krakowie 1 listopada 1893 r. na skutek krwotoku wrzodów żołądka. Od 1904 r. mieści się w tej kamienicy muzeum biograficzne jego imienia. W czasie pogrzebu naszego narodowego wieszcza przemawiającego obrazem bił dzwon Zygmunt.

Jan Kazimierz jednak klęczy

„Życie Matejki zbliżało się do końca i, jak gasnące ognisko wybucha ostatnim blaskiem przed zamarciem, tak jego talent, który się zdawał wyczerpanym doszczętnie już w Racławicach, jeszcze się przejawił z wielką siłą i powagą w ostatnim obrazie, którego śmierć nie dała dokończyć, w Ślubach Jana Kazimierza" (Witkiewicz, 1908). Znamienne, że słowa te pochodzą od krytyka malarstwa Matejki, a przy tym zarazem najwybitniejszego krytyka sztuki owych czasów.

Matejko starannie przygotowywał się do stworzenia „Ślubów…", studiując dzieła historyków. Jak wiemy, korzystał także z opisu zawartego w „Potopie" Henryka Sienkiewicza.

Autoportret Jana Matejki

FOT. WIKIPEDIA/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Artysta dziełem tym opowiedział wydarzenie, które miało miejsce 1 kwietnia 1656 r., kiedy król Jan Kazimierz złożył we lwowskiej katedrze uroczyste ślubowanie, obwołując Najświętszą Marię Pannę Królową Polski i Litwy. Śluby miały także za cel mobilizację wszystkich stanów do walki przeciwko Szwedom. Wydarzenie to było dla miasta tego niezwykłe. Jak pisał Sienkiewicz w „Potopie": „Dzwony w kościołach polskich, ruskich i ormiańskich biły nieustannie, zwiastując wszystkim, że król jest we Lwowie i że Lwów to ze stolic pierwszy, ku wieczystej swej chwale, przyjął króla wygnańca".

Na obrazie Jan Kazimierz klęczy przed ołtarzem, powtarzając słowa ślubowania czytane przez arcybiskupa. Za nim widzimy żonę, Marię Ludwikę Gonzagę, a dalej hetmana Czarnieckiego z obnażoną szablą, choć wodza wojsk polskich wówczas tam nie było – prowadził bowiem w okolicach Sandomierza „wojnę szarpaną" przeciwko Szwedom. Wiele postaci jeszcze ukazał na obrazie Matejko, ale wiemy, że czynił tak zawsze. Jego dzieła są za każdym razem wypełnione figurami. Wśród nich na „Ślubach…" wyróżniają się chłopi z kosami. To im król obiecał wtedy przywileje za walkę z najeźdźcą szwedzkim: „[…] Obowiązuje się, iż po uczynionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej usilnie, ażeby odtąd utrapione pospólstwo wolne było od wszelkiego okrucieństwa, w czym, Matko Miłosierdzia, Królowo i Pani moja, jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego wotum, abyś łaską miłosierdzia u Syna Twego uprosiła mi pomoc do wypełniania tego, co obiecuję".

Król obiecał, król nie dotrzymał. O tym Matejko, tworząc ten obraz, dobrze wiedział. Dlatego wymalował na twarzach chłopów smutek i zwątpienie, które „są refleksem wiedzy o niespełnieniu tych obietnic i tragicznym losie państwa w 140 lat później. Postać Lubomirskiego [marszałek wielki koronny Jerzy Lubomirski, po prawej stronie obrazu z laską marszałkowską – przyp. red.], tworząca kompozycyjną przeciwwagę grupy przed ołtarzem, ucieleśnia magnaterię, główną siłę odśrodkową, która doprowadziła do upadku Polski" (Sroczyńska, 1991).

„Młodzieńczy Jan buntował się, protestował: polski król nie klęczy. Stary Matejko żegnał się z życiem, malując obraz klęczącego króla" (Szypowska, 1985).

Rok wcześniej (1892) namalował Matejko wspomniany wcześniej obraz „Abdykacja Jana Kazimierza". Król sprawował władzę jeszcze 12 lat – od chwili, kiedy składał we Lwowie śluby, do czasu, kiedy zdecydował się ustąpić z tronu. Swoich przyrzeczeń złożonych przed maryjnym obrazem nie spełnił. Na nim skończyło się panowanie dynastii Wazów w Polsce. Jan Kazimierz opuścił polski tron, wyjechał do Francji, gdzie opływał w luksusach, pozostawiając po sobie, jak twierdzi prof. Mirosław Nagielski, „kraj w ruinie po latach wojen".

Obraz, pomimo że nie został ukończony, gdyż cała jego prawa strona została tylko szkicowo opracowana, został zakupiony od rodziny Matejki przez Gminę Miasta Lwowa. Tam wystawiono go w reprezentacyjnych salach ratusza. Stał się on później „zalążkiem" lwowskiej Galerii Narodowej. W 1946 r. dzieło zostało przekazane do Muzeum Narodowego we Wrocławiu, gdzie możemy je do dziś oglądać.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Literatura:

A. Grzymała-Siedlecki, *„Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim", Kraków 1961.* ***E. Niewiadomski,*** *„Malarstwo polskie XIX i XX wieku", Warszawa 1923.* ***K. Sroczyńska (red.),*** *„Matejko. Obrazy olejne. Katalog", Warszawa 1991.* ***M. Gorzkowski,*** *„Jan Matejko. Epoka lat dalszych do końca życia artysty", Kraków 1898.* ***M. Maciorowski, M. Maciejewska,*** *„Władcy Polski", Warszawa 2018,* ***M. Szypowska,*** *„Jan Matejko wszystkim znany", Warszawa 1985.* ***S. Kobyliński,*** *„Matejko. Maleńki olbrzym", Warszawa 1997,* ***S. Serafińska,*** *„Jan Matejko. Wspomnienia rodzinne", Kraków 1955.* ***S. Witkiewicz,*** *„Matejko", Lwów 1908.*

eprasa.pl 434f19b026

Kadr z filmu „Diabeł Łańcucki" Macieja Jurewicza FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wywiad / Z Jackiem Komudą, pisarzem, popularyzatorem historii Rzeczypospolitej Obojga Narodów

rozmawia Jakub Ostromęcki

Diabelski eastern

Takiego filmu w Polsce nie było od lat. Realizowana z rozmachem epicka historyczna opowieść – „Diabeł Łańcucki" – ma szansę stać się filmem, na który czekamy od czasów „Czarnych chmur"

JAKUB OSTROMĘCKI: Pilot „Diabła Łańcuckiego" to majstersztyk. Polski film historyczno-przygodowy, gdzie za bohaterów robią faceci z krwi i kości, ze swoimi wadami i tajemnicami. Kiedy wpadłeś na pomysł przerobienia swojej powieści na scenariusz filmowy?

JACEK KOMUDA: Od ponad 20 lat prawa do ekranizacji moich utworów nabywali różni producenci. Robiła tak TVP za czasów kolejnych prezesów. Jeszcze nie było gargamela na Woronicza, a oni chcieli ekranizować „Diabła Łańcuckiego", a wcześniej „Samozwańca". Nic z tego nie wyszło. Na moich książkach połamał zęby ATM. Canal+ podchodził kiedyś do „Diabła", ale ryzyko było za wysokie. W końcu sam zabrałem się za produkcję filmu, choć zaznaczam, że nie mam ambicji reżyserskich. Ja już spełniłem się jako pisarz. „Diabeł Łańcucki" to dzieło reżyserskie Macieja Jurewicza. Ja zajmuję się produkcją z ramienia naszej Fundacji Ułani Króla Jana.

Czym „Diabeł Łańcucki" będzie różnił się od innych historycznych filmów?

„Diabła" zaczynaliśmy jako serial, lecz z czasem zdecydowaliśmy się nakręcić film pełnometrażowy, który wpasowywałby się w trendy światowego kina pokazującego w wierny i brutalny sposób realia historyczne, nie bawiąc się w nachalną dydaktykę ani w polityczną poprawność. Nasz film sytuuje się najbliżej takich dzieł jak „Czarne chmury" czy „Oko proroka". To opowieść o silnej

eprasa.pl 434f19b026

Jacek Komuda FOT. MAT. FABRYKA SŁÓW

i dumnej polskiej szlachcie z czasów, kiedy Rzeczpospolita była potęgą. Jest to film niepokorny, awanturniczy, rozgrywa się na dzikim pograniczu polsko-węgierskim, czyli w Bieszczadach i pogórzach. Trzymamy się początków XVII w. w stroju i broni, ale film ma swoje prawa. Nie możemy np. wszystkich aktorów ubrać w magierki, bo film wyglądałby jak rulon sztokholmski.

Dlaczego nigdy nie stworzyliśmy easternu? Podole jest mniej epickie od Teksasu?

Kiedy sztuka filmowa zaczęła się rozwijać, Polska leczyła rany po rozbiorach. Nie było czasu, aby tworzyć nowe kierunki, choć gdyby nie druga wojna światowa, doczekalibyśmy się pewnie easternu w XVII-wiecznych realiach. Tymczasem amerykański western był obecny w kinie od samego początku jego istnienia. Pierwszy film z tego gatunku – „Napad na ekspres" – pochodzi z 1903 r.

Historycznie jednak to „polski eastern", który rozgrywał się w I Rzeczypospolitej, wśród szlachty, rozbójników, Kozaków i Tatarów był pierwszy – klimat awanturniczego życia potwierdzony jest w źródłach historycznych i opracowaniach, takich jak „Prawem i Lewem" Władysława Łozińskiego. Mieliśmy w XVI i XVII w. własnych rębajłów, starostów, łowców głów – odpowiedników rewolwerowców, szeryfów i bandytów. Jednak z przyczyn historycznych to znacznie mniej malowniczy świat Dzikiego Zachodu doczekał się filmowego gatunku. Na to nic nie poradzimy.

PRL-owskie filmy historyczne pełne były ideologicznego fałszu lub anachronizmów, ale od strony artystycznej były znakomite. Dlaczego III RP w kwestii kina historycznego pozostaje w tyle za PRL?

PRL-owska kinematografia nie żałowała środków na filmy i seriale. Wszyscy mieli pracę i zapał, aby mimo cenzury zrobić coś pięknego. Dziś na kino historyczne idą żałosne pieniądze, ale ciągle państwowe. Trafiają one wyłącznie do zamkniętej grupy twórców, która nie dopuści nikogo z zewnątrz do żadnych dotacji. Jednocześnie brakuje prywatnych inwestorów, którzy uczyniliby rynek bardziej konkurencyjnym, bo biznes filmowy w Polsce kojarzą wyłącznie z artystycznymi dziełkami kręconymi na festiwale lub historycznymi gniotami o tym, jak zaszczytnie jest umierać za polityków uciekających do Rumunii. Rolę prywatnych inwestorów mogłyby spełniać telewizje, ale przez lata obniżały one poziom, kierując produkcje do jak najmniej wyrobionego widza. W końcu zostało im kręcić coraz tańsze i głupsze telenowele. Co gorsza, wszelkie próby wprowadzenia ambitniejszych seriali kończyły się klęską – choćby „Belle Epoque". Przygotowany po dyletancku, ze słabym scenariuszem, z chamskimi zapożyczeniami ze świetnego „Tabu". Na rynku utrzymały się jedynie produkcje z czasów drugiej wojny, jak niezły „Czas honoru".

Taka sytuacja przypomina realia, które istniały dawno temu na rynku książki lub gier. W latach 90. pisarzem zostawało się z polecenia „Wyborczej" albo związanych z nią krytyków i wydawców. Półki księgarń zawalone były anglo-amerykańską tandetą. A jednak na początku XXI w. wolny rynek zmiótł wszystkie sitwy. Sam zostałem twórcą, nie mając ani jednej recenzji w liberalno-histerycznych mediach, a teraz jestem szóstym czy siódmy polskim pisarzem, który mieszka we własnym dworze. To oczywiście nakłada na mnie pewne obowiązki, bo skoro poszczęściło mi się w literaturze, to powinienem spróbować przywrócić Polakom kino historyczne.

„Diabeł Łańcucki" rozgrywa się w czasach, gdy z wieku złotego wkraczamy w wiek srebrny. Potrafimy spuścić srogi łomot sąsiadom, ale system polityczny zaczyna lekko zalatywać stęchlizną. Ciebie fascynuje właśnie XVII w., a nie stawiana za wzór epoka zygmuntowska. Dlaczego?

Bo jest nudna, jak lekcje historii w PRL-owskim muzeum. Nie kojarzy się z wielkimi zwycięstwami, z mocnymi postaciami hetmanów czy awanturników. Rozlazły Zygmunt Stary i jego słaby syn doprowadzili do pasma klęsk w walce z Moskwą, stracili Smoleńsk, co tylko częściowo powetowano przejęciem Inflant. Nie ma klasycznego sarmackiego stroju. Nie ma w pełni rozwiniętej husarii. Niestety, epoka zygmuntowska ma potencjał najwyżej ze względu na królową Bonę. A XVII to wiek żelazny. Wiek krwawych wojen i niebanalnych postaci. To najlepszy okres dla filmów historycznych.

We współczesnym kinie historycznym uderza mnie podejście reżyserów i scenarzystów do kwestii religijności bohaterów z epok „przedprzemysłowych". Są to postacie indyferentne, agnostycy, w najlepszym przypadku o poważnych rozterkach. Czy dostrzegasz ten problem? Jak kwestia religijności będzie wyglądała w waszym filmie?

„Diabeł Łańcucki" nie będzie pokazywał pełnej religijności ludzi z XVII w. Dlaczego? Dziś nikt tak pobożny nie jest, nikt nie uważa, że życiem ludzkim kieruje Boża wola, a za grzechy będziemy się smażyć w piekle. Zresztą obecnie nikt nie wierzy w diabła i to jest chyba największe zwycięstwo Złego. W XVII w. wiara już słabła, ale i tak religijność ówczesnych ludzi jest dzisiaj słabo rozumiana. Niestety, w filmach historycznych religia jest bardziej tłem niż częścią fabuły. A w filmie? Pokażemy magię i diabła – bo przecież to właśnie „Diabeł…".

„Witamy w Polsce" – rzuca w pilocie ironicznie jeden z rębajłów Stadnickiego, rabując pątników wracających do ojczyzny z tureckiej niewoli. Zapachniało gangsterskimi cynikami z kina Pasikowskiego. Rozumiem ten zabieg. Ale czy w filmie będziemy mieli do czynienia z takim puszczeniem oka do mniej wyrobionej historycznie publiczności?

Jak najbardziej, ale pamiętajmy, że to nie jest film o gangsterach, bo w XVII w. takowych nie było. Żyli awanturnicy, ale Stanisław Stadnicki, nasz bohater z Łańcuta, nie był Masą, Kiełbasą czy Pershingiem. Każdy miał wtedy broń i prawo do

eprasa.pl 434f19b026

obrony, więc żaden rozbójnik nie mógł oficjalnie ściągać haraczy z kupców, bo zostałby w końcu zabity. Nawet Stadnicki, Diabeł z Łańcuta, nie był szefem gangu w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Diabeł utrzymywał na dworze poetów opluwających przeciwników, sam pisał mowy, organizował zjazdy kalwinów w Łańcucie, łożył na zbory i szkoły. Ktoś z mafii pruszkowskiej tak robił?

Stadnicki zakończył swój żywot po bitwie, którą wydał mu jego sąsiad. Jak poradzicie sobie z wyzwaniami związanymi z kręceniem scen batalistycznych? Plenery, statyści, szeroki plan, efekty...

Przede wszystkim nie porywamy się na kolejne „Ogniem i mieczem" albo „Samozwańca", ale tworzymy film mniejszy, skromniejszy, gdzie sceny akcji to przede wszystkim pojedynki, walki, zajazdy i zasadzki. Będziemy jednak pokazywać bitwę ze Stadnickim, przede wszystkim w szyku konnym, bo tak wyglądały ówczesne starcia szlachty i magnatów. Cały film, a zwłaszcza sceny walki, opieramy na umiejętnościach polskich rekonstruktorów, bez których ta produkcja nie miałaby życia. Byłaby równie sztuczna i plastikowa, jak październiowa jest „Korona królów".

Intryguje mnie postać Gedeona. Kim jest ten człowiek oprócz tego, że jest krewnym Dwernickich? Jak poszedł w jasyr? Logika fabuły pchnie go z pewnością ku starciu z Jackiem nad Jackami. Uchylisz rąbka tajemnicy?

Jest opisany w „Diable Łańcuckim", ale to także postać historyczna. Cała awantura z Dwernickimi rozgrywała się na zaścianku w Witoszyńcach pod Przemyślem w latach 30. XVII w. Zresztą w filmie, który możecie obejrzeć na YouTube, wszystkie postacie łącznie z Żurakowskim, który napada na pielgrzymów, są historyczne. W tym Zegart, Ramułt i cała galeria warchołów zabijaków. I oczywiście główny bohater – Jacek Dydyński.

Stanisław Stadnicki
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Przejdźmy do postaci Stadnickiego. Co by o nim mówić, był to człowiek odważny. Podobno w czasie bitwy potrafił rzucić się w kilku jeźdźców na kilkuset wrogów. Dlaczego z patrioty stał się bandytą?

Po pierwsze, był z niego fanatyczny opozycjonista. Przez wiele lat wspierał Zborowskich, został pobity przez Zamoyskiego pod Byczyną. Ale wtedy jeszcze nie wyróżniał się okrucieństwem. Problemy zaczęły się, kiedy zamienił się z Anną Pilecką, oddając swoje włości w górach w zamian za Łańcut, który okazał się obciążony długami. Być może został oszukany. Wtedy rozpoczął procesowanie z sąsiadami, które przerodziło się w konflikty pełne zajazdów, rabunków i gwałtów. Wkrótce zamek w Łańcucie nazwany został Piekłem. To zresztą „skandal" do dzisiaj. Na miejscu „Piekła" zbudowano bowiem sanktuarium i budynki kościelne. Księża nie chcą nawet słyszeć o Stadnickim.

Stadnicki potrafił być tak bezmyślnie okrutny, że czasem skłaniam się ku tezie, iż to zwykły psychopata. Zgadzasz się?

Na pewno miał jakieś zaburzenia psychiczne, być może manię prześladowczą. Sam zaczynał zwady z Mikołajem Spytkiem Ligęzą z Rzeszowa, ze starostą Łukaszem Opalińskim. Może podejrzewał ich o spiski, szukał zaczepki, oddawał cios za cios, pozew za pozew, aż... stracił głowę.

Stadnicki był kalwinem. Czy w filmie nawiązaliście do kwestii różnic wyznaniowych, tolerancji?

Mało, gdyż kwestie wyznaniowe nie przewijają się w ogóle przez dzieje konfliktów i wojen Stadnickiego. Nikt nie pozywał go nigdy z powodu jego wiary ani on tego nie podnosił, chociaż był kalwinem, synem wyklętego Mateusza Stadnickiego z Dubiecka, szermierza reformacji na ziemiach polskich.

Inną ważną postacią jest Jacek Dydyński. Występował on w kilku twoich powieściach na czele z cyklem „Orły na Kremlu". W powieści Dydyński wraca z dymitriady zrujnowany finansowo. W pilocie filmu widzę go wyposażonego niemal po husarsku. Akcja „Diabła" rozgrywa się zatem przed wyruszeniem Jacka na Moskwę?

Zgodnie z chronologią książek już po powrocie Dydyńskiego z pierwszej dymitriady w roku 1606. Powrotu wprawdzie bez koni i pocztu, który stracił, ale za to z braćmi, których uwolnił z moskiewskiej niewoli. Dzięki ich pomocy bohater szybko dorobił się pewnego majątku – raczej lewem niż prawem, ale takie były uroki pracy egzekutora wyroków sądowych.

Jak wygląda zainteresowanie serialem ze strony tzw. czynników oficjalnych? Czy możecie liczyć (i czy w ogóle chcecie) na wsparcie np. telewizji publicznej, instytucji i wielkiego biznesu? W końcówce filmu widziałem reklamy kilku koncernów. Czy dalej są zainteresowani pomocą?

Dzięki dotacjom spółek Skarbu Państwa zrealizowaliśmy pilot filmu historycznego. Pokryły one prawie połowę budżetu produkcji. Jednak ogromny udział mieli prywatni darczyńcy, którzy wsparli zorganizowaną zrzutkę. Bardzo za to dziękuję. Tak nie da się oczywiście zgromadzić budżetu na cały film, więc będziemy się starać o oficjalne dofinansowanie. Nie rezygnujemy jednak ze wsparcia miłośników kina historycznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pilot „Diabła Łańcuckiego" można obejrzeć za darmo na YouTube („Diabeł Łańcucki". Polski film przygodowy – projekt społeczny). Realizację filmu można również wesprzeć w serwisie Zrzutka.pl („Diabeł Łańcucki"; historyczny film akcji).

eprasa.pl 434f19b026

Wywiad / Z Piotrem Kościńskim, prezesem Fundacji Joachima Lelewela, popularyzatorem historii Kresów

Scena z rekonstrukcji walk o Wilno, Suwałki, wrzesień 2022 r. FOT. MATERIAŁY FUNDACJI JOACHIMA LELEWELA

rozmawia Piotr Włoczyk

Wilno w ogniu

– Opór Polaków na Kresach nie kończył się na obronie Grodna i bojach przygranicznych, które prowadził KOP. Walki z Sowietami miały miejsce w wielu miejscach, w tym m.in. właśnie w Wilnie – mówi Piotr Kościński

PIOTR WŁOCZYK: Fundacja Joachima Lelewela wraz Telewizją Polską zamierza wyprodukować film o dniu, w którym Rzeczpospolita utraciła Wilno. Na jakich fragmentach tej historii skupią się twórcy „Wilna 1939"?

PIOTR KOŚCIŃSKI: Ten film to próba opisania wydarzeń z września 1939 r., które nie są szerzej znane. Przez wiele lat w naszym powszechnym wyobrażeniu wkroczeniu Sowietów na Kresy nie towarzyszył właściwie żaden opór, może poza działaniami Korpusu Ochrony Pogranicza. Historia wyglądała jednak w rzeczywistości zupełnie inaczej. W ciągu ostatnich lat do naszej zbiorowej świadomości dotarły informacje na temat heroicznej, trwającej trzy dni obrony Grodna. Ale przecież opór Polaków na Kresach nie kończył się na obronie Grodna i bojach przygranicznych, które prowadził KOP. Walki z Sowietami miały miejsce w wielu miejscach, w tym m.in. właśnie w Wilnie.

Zresztą ten rozdział naszych dziejów ma znaczenie również dzisiaj. Od lat toczymy „wojnę" historyczną z Rosją, która promuje sowiecką historiografię. Z perspektywy Kremla 17 września nie był agresją, ponieważ wówczas już jakoby państwo polskie nie istniało, a Wojsko Polskie nie broniło kraju. Walki o Grodno i Wilno pokazują, że było jednak inaczej – Wojsko Polskie walczyło w obronie państwa.

Jednak w przeciwieństwie do Grodna Wilno broniło się tylko jeden dzień. Dlaczego?

Miasto mogło się bronić dłużej, gdyby nie jeden nieszczęsny rozkaz. Mimo krótkiego oporu walki były bardzo dramatyczne, a Sowieci ponieśli w ich trakcie niemałe straty – co najmniej kilkanaście sowieckich wozów pancernych zostało wówczas zniszczonych.

Chcemy pokazać dramat wileńskich cywilów i wojska, które zostało wyznaczone do obrony Wilna. Po dwutygodniowych zmaganiach z jednym wrogiem nagle pojawił się kolejny najeźdźca. Nie bardzo było wiadomo, do czego właściwie Sowieci zmierzają… I oto w tym dramatycznym momencie, gdy żołnierze w Wilnie szykują się do obrony przed Armią Czerwoną, dociera do nich rozkaz gen. Józefa Olszyny-Wilczyńskiego, dowódcy Okręgu Korpusu III w Grodnie, który załamał się na wieść o wkroczeniu Sowietów. Generał uznał, że opór wobec dwóch wrogów nie ma żadnego sensu. Opuścił więc Grodno i wyjechał w kierunku Litwy. W swoim rozkazie gen. Olszyna-Wilczyński nakazał obrońcom Wilna niepodejmowanie walki i wycofanie się na Litwę. Sam dowódca GO „Grodno" skończył zresztą tragicznie. W drodze na Litwę został zamordowany przez czerwonoarmistów.

eprasa.pl 434f19b026

Rozkaz gen. Olszyny-Wilczyńskiego spowodował chaos w szeregach Wojska Polskiego w Wilnie. Dziesięć batalionów obrońców Wilna było przygotowanych do walki, Polacy mieli do dyspozycji 16 dział. Wilno było więc znacznie lepiej przygotowane do obrony niż Grodno.

W obronie Grodna walczyli przede wszystkim cywile. Jak było w przypadku Wilna?

W obronie Wilna cywile również odegrali pewną rolę, ale nie tak dużą, jak miało to miejsce w Grodnie. Nieszczęsny rozkaz gen. Olszyny-Wilczyńskiego spowodował, że cywile widzieli, jak wojsko się wycofuje, i w związku z tym młodzież, która przygotowywała się do walki, w większości przypadków nie miała szansy wziąć w niej udziału. W Wilnie bili się przede wszystkim polscy żołnierze.

Przed walkami doszło do próby wysłania parlamentariusza do Sowietów, jednak skończyła się ona ostrzelaniem go przez czerwonoarmistów. Wczesnym popołudniem 18 września Wilno było powoli zajmowane przez Sowietów pod dowództwem kombriga Piotra Achlustina.

Żołnierze, którzy pozostali w mieście, przystąpili do obrony. Walki rozgorzały w różnych jego częściach. W Wilnie zapanował chaos. Niektórzy żołnierze ostrzeliwali Sowietów tylko po to, by ułatwić reszcie oddziałów opuszczenie miasta, inni natomiast stawiali opór, ponieważ chcieli realnie bronić Wilna. Dowodem na skuteczność Polaków były straty Sowietów. Przy czym nie wiadomo, jak duże były one w rzeczywistości.

Kilkanaście pojazdów pancernych to oczywiście absolutne minimum?

Tak, Sowieci zaniżali przecież w raportach swoje straty, więc realna liczba zniszczonych przez Polaków pojazdów pancernych mogła być wyższa.

Chaos w Wilnie i tak różne postawy obrońców zdają się być idealnym materiałem dla scenarzysty...

Tak, ale poza tym ciekawe jest też zachowanie Litwy i generalnie to, co się wówczas działo na granicy polsko-litewskiej. Powszechnie wiadomo przecież, że w dwudziestoleciu międzywojennym stosunki z Warszawy z Kownem były złe. Litwa twierdziła, że Wileńszczyzna musi być częścią Republiki Litewskiej, chociaż odsetek Litwinów w tym mieście był znikomy. Niemcy naciskali na Litwinów, by ci uderzyli na Polskę i zajęli Wilno. Słowaków udało się Niemcom zwerbować do wojny z Polską, ale Litwini jednak zdecydowali, że pozostaną neutralni. Być może zaważył na tym okres tuż sprzed wojny, po wymuszonym przez Polskę nawiązaniu stosunków dyplomatycznych w 1938 r. Polacy byli bowiem dosyć życzliwe nastawieni do Litwinów podczas ich konfliktu z Niemcami o Kłajpedę. Litwini nie zgodzili się na udział w wojnie, a polscy żołnierze internowani w tym kraju – w tym obrońcy Wilna i Grodna – traktowani byli dobrze. Bardzo wielu z nich zwolniono pod różnymi pretekstami z obozów internowania. Uniknęli oni w ten sposób tragicznego losu oficerów zabitych w Katyniu.

Panorama Wilna widzianego z Góry Giedymina FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Część żołnierzy z Wilna skierowała się jednak nie na północ, ale na południe.

Tak, niewielka część wojsk wyszła w kierunku Grodna, gdzie żołnierze ci brali udział w trzydniowej, heroicznej obronie tego miasta. A gdy następnie wycofywali się z Grodna i szli w kierunku Suwalszczyzny, Sowieci podążali za nimi i ostrzeliwali ich.

Kombrig Achlustin został mianowany komendantem miasta i w Wilnie zaczęło się to, co dotknęło wszystkie polskie miasta zajęte przez Sowietów – poszukiwanie obrońców i branie ich do niewoli, a także generalne „porządki", które sprowadzały się do polowania na środowiska patriotyczne. Wilno przekazano Litwie dopiero po 40 dniach – 28 października. Ten czas był wyjątkowo tragicznym rozdziałem w jego historii.

Co możemy powiedzieć o głównych bohaterach „Wilna 1939"?

W naszym filmie bohaterami są oficerowie dowodzący obroną i żołnierze broniący tych miejsc, gdzie walki były szczególnie zacięte. Na pewno ciekawa będzie scena walk na cmentarzu Na Rossie. Będzie ona nakręcona na podstawie relacji uczestników walk o Mauzoleum Matka i Serce Syna. Według głośnej legendy z Sowietami zajmującymi cmentarz walczyli żołnierze, którzy stali na warcie przy mauzoleum. W rzeczywistości było inaczej – walki wieczorem 18 września i rano dnia następnego prowadzili inni polscy żołnierze, ale to przecież wcale nie przekreśla legendy. Polscy żołnierze faktycznie bohatersko bronili tak ważnego dla Polaków grobu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wszyscy, którzy chcą wesprzeć produkcję filmu „Wilno 1939", mogą to zrobić za pośrednictwem portalu Zrzutka.pl (https://zrzutka.pl/uad5za).

eprasa.pl 434f19b026

Kadr z węgierskiego filmu „W świetle dnia" (2021), reż. Dénes Nagy FOT. MATERIAŁY PRASOWE

1941–1944 / Okrucieństwo wojny

Węgrzy przeciw Sowietom

Arkadiusz Karbowiak

Żołnierze węgierscy, zwalczając komunistyczną partyzantkę na okupowanych ziemiach sowieckiej Ukrainy, dopuszczali się zbrodni na cywilach

Armia węgierska zapisała się pozytywnie w naszej pamięci podczas drugiej wojny światowej. Niechęć do walki z polską partyzantką na Kresach Wschodnich, pomoc udzielana podczas akcji depolonizacyjnej UPA oraz zdecydowanie przychylny stosunek do Armii Krajowej podczas powstania warszawskiego potwierdzają w całej rozciągłości tę ocenę. Jednak należy pamiętać, że postępowanie Królewskiej Armii Węgierskiej na terytoriach okupowanych wobec Rosjan czy Ukraińców nie było już tak umiarkowane, jak to miało miejsce w odniesieniu do Polaków. Podczas prowadzonych tam operacji antypartyzanckich honwedzi stosowali krwawe represje nie tylko wobec partyzantów, lecz także wobec cywilów.

Po wypowiedzeniu przez Królestwo Węgier wojny ZSRS, co nastąpiło 27 czerwca 1941 r., skierowany został na front wschodni 40-tysięczny VIII Korpus Armijny. Wziął on udział w niezbyt intensywnych walkach z Amią Czerwoną, a już pod koniec roku węgierskie jednostki wycofano z pierwszej linii. Węgrzy mieli pełnić odtąd służbę tylko na frontowym zapleczu (tak było do momentu

eprasa.pl 434f19b026

Zmotoryzowana piechota węgierska na okupowanych ziemiach sowieckiej Ukrainy

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

pojawienia się na froncie 2. Armii). Już 6 października 1941 r. utworzona została Grupa Okupacyjna mająca swą siedzibę w Kijowie. W lutym 1942 r. podzielono ją na dwie struktury – Grupę Okupacyjną „Wschód" i Grupę Okupacyjną „Zachód". Podporządkowano im pięć brygad piechoty – 121., 124., 105., 102., 108. – przekształconych rozkazem z 17 lutego 1942 r. w lekkie dywizje piechoty. Trzy ostatnie jednostki znalazły się na Czernihowszczyźnie oraz w okolicach Briańska i podporządkowano je Dowódcy Obszaru Tyłowego Grupy Armii „Południe" (Befehlshaber Rückwärtiges Heeresgebiet Süd).

Zadaniem brygad/dywizji węgierskich była przede wszystkim ochrona szlaków komunikacyjnych oraz zwalczanie partyzantki. Węgierskie oddziały okupacyjne składały się głównie z niedostatecznie wyposażonych rezerwistów. Mizerne było szczególnie uzbrojenie tych jednostek, ponieważ nie posiadały broni ciężkiej oraz słabo były nasycone bronią maszynową. Charakteryzowały się także nadreprezentacją żołnierzy niewęgierskiego pochodzenia. W sierpniu 1942 r. w Grupie Okupacyjnej „Wschód" ponad 50 proc. stanowili Słowacy, Rumunii i Ukraińcy (mniejszości na Węgrzech stanowiły 25 proc. społeczeństwa). W Sztabie Generalnym uznano te oddziały za pomocnicze, stąd nie widziano przeciwskazań do zasilania ich w dużej mierze obywatelami obcego pochodzenia etnicznego. Wyżsi oficerowie w dywizjach krytycznie postrzegali tę sytuację. Dowódca 105. Dywizji Lekkiej płk Imre Kolossváry twierdził, że obcoplemienni rekruci z uzupełnień nie stanowią żadnej wartości, w związku z czym wolałby takiego wsparcia nie otrzymywać. Z pewnością tę opinię można uznać za nieco przesadną, ale bez wątpienia wieloetniczność wywoływała pewne problemy, choćby natury komunikacyjnej. Spora część rekrutów nie znała języka węgierskiego. Aby ułatwić kontakty, władze wojskowe zdecydowały się nawet na wydanie specjalnych słowników węgiersko-rumuńskich i węgiersko-ukraińskich. Ponadto służba Ukraińców w oddziałach węgierskich miała także pozytywną stronę w postaci możliwości swobodnego porozumiewania się z miejscową ukraińską ludnością.

Przybyłe na okupowane tereny jednostki honwedów trafiły prosto w sam środek trwającej wojny partyzanckiej. Jako pierwsza przybyła 105. Brygada Piechoty, którą dyslokowano do ukraińskiego Berdyczowa. Teren, nad którym mieli zapanować Węgrzy, był olbrzymi i wynosił 46 tys. km kw., z czego 16 tys. stanowiły bagna i lasy. Przy tak skromnych siłach kontrolowanie takiego obszaru było niewykonalne. Wśród przybyłych oficerów znajdował się ppłk Laszlo Pap, skrupulatnie zapisujący w swoim dzienniku wszelkie informacje, które udało się Węgrom pozyskać. Pierwszą z nich była wiadomość o zmasakrowaniu przez Sowietów 300 rannych niemieckich jeńców, do czego doszło podczas odbicia miasta przez bolszewików. Drugim wydarzeniem, odnotowanym przez wspomnianego oficera, była eksplozja magazynu spowodowana przez Sowietów, za co zostało rozstrzelanych 200 zakładników. Tuż po przybyciu honwedów dowództwo niemieckie poinformowało, że w nocy z 4 na 5 listopada 1941 r. sowieccy partyzanci zamordowali we śnie niemieckiego pułkownika i dwóch innych żołnierzy. W odwecie w miejscowości Baraniwka Wehrmacht zastosował represje, zabijając 10 zakładników i paląc wieś.

W morzu okrucieństwa

Podpułkownik Pap konstatował: „Życie albo śmierć. Nadszedł czas walki pomiędzy chrześcijaństwem a bolszewizmem". Węgrzy zdali sobie sprawę, że wkroczyli do świata, w którym bezwzględność i brutalność stanowiły podstawowe zasady go kształtujące. Masowe zbrodnie na Żydach, egzekucje odwetowe, mordy dokonywane przez partyzantów stały się rzeczywistością, w której przyszło funkcjonować węgierskim żołnierzom. Do tego krajobrazu dopisać należało straty, które zaczęli ponosić Madziarzy w starciach z bolszewikami. Wywoływały one chęć pomszczenia zabitych kolegów. To wszechogarniające okrucieństwo, w którego morzu tkwili, wywarło z pewnością niebagatelny wpływ na to, że Węgrzy podczas prowadzenia akcji antypartyzanckich przyjęli bezwzględną niemiecką strategię zwalczania partyzantki, polegającą na masowych represjach wobec cywilów.

Już 16 grudnia 1941 r., podczas rozpoznania terenu, zginęło dwóch żołnierzy

eprasa.pl 434f19b026

ze 105. Brygady Piechoty, a pięciu zostało rannych. Nieco wcześniej, 7 grudnia 1941 r., żołnierze brygady wkroczyli do wsi Komarówka i podczas przeszukania znaleźli u 23 jej mieszkańców broń i amunicję. Winnych natychmiast rozstrzelano. W dniach 23–24 grudnia 1941 r. brygada wzięła udział w bitwie z partyzantami, zabijając 700–1200 partyzantów, biorąc do niewoli 200. Straty własne wyniosły 16 zabitych (7 Węgrów i 11 ukraińskich policjantów) i 37 rannych (10 Węgrów i 27 ukraińskich policjantów). W lutym 1942 r. przeprowadzono 27 operacji przeciw partyzantom, zabijając 1,8 tys. osób, w tym sporą liczbę cywili. 17 lutego 1942 r., w okolicy wsi Jelino, oddziały węgierskie wpadły w zasadzkę, tracąc 31 zabitych i jednego rannego. W odwecie zabito 139 osób podejrzanych o wspieranie partyzantów ze wsi Szczęśliwy Chutor. Akcje represyjne nie zawsze były wynikiem rozkazów władz zwierzchnich. Zdarzało się, że oficerowie niższego szczebla wykazywali się w tej materii własną inicjatywą. Tak było po zabiciu w Iwanogrodzie przez sowieckiego partyzanta, niemieckiego porucznika i tłumacza z miejscowej Feldkomendantury 194. Dowiedziawszy się o tym, por. Merész wyjechał z oddziałem do Iwanogrodu i zabił całą rodzinę sprawcy zabójstwa.

11 marca 1942 r. 1000-osobowe zgrupowanie gen. Aleksieja Fiodorowa zaatakowało w Iwanówce batalion kpt. Imre Kémeri-Nagya, byłego dowódcy oddziału węgierskich ochotników z okresu wojny zimowej w Finlandii. Podczas walki kapitan został ciężko ranny i zmarł w niemieckim szpitalu w Warszawie 13 kwietnia 1942 r. O mały włos nie doszło wówczas do całkowitego unicestwienia oddziału, który dotrwał do nadejścia odsieczy w kilku domach, wystrzeliwując ostatnie posiadane naboje. W odpowiedzi na ten atak węgierski II batalion 51. pułku piechoty zaatakował wspólnie z niemieckim 703. Wacht-Bataillon miasteczko Jelino. W takcie walki wzięto do niewoli 230 partyzantów, z czego 30 od razu rozstrzelano, resztę przekazano w ręce niemieckiej wojskowej Tajnej Policji Polowej Geheime Feldpolizei – GFP. Według rosyjskich źródeł zginęło wówczas 296 osób. Pomiędzy listopadem 1941 a marcem 1942 r. 105. Dywizja Lekka poniosła straty wysokości 101 zabitych i 128 rannych, natomiast rozstrzelała lub zabiła w walce 5132 partyzantów, ich współpracowników i cywilów. 22 marca 1942 r. batalion III/51 ze 102. Dywizji Lekkiej poinformował, że spalił wioskę Ślepuchino i „zlikwidował dużą liczbę kolaborantów partyzanckich" bez nawiązania kontaktu bojowego z wrogiem.

Szczególnie rzuca się w oczy w raportach węgierskich duża dysproporcja pomiędzy zabitymi partyzantami a ilością znalezionej broni i niewielkimi stratami własnymi. Nie ulega wątpliwości, że dużą liczbę zabitych przez Węgrów w trakcie operacji antypartyzanckich stanowili cywile, określani czasami słusznie, a czasami nie, mianem „pomocników band". Wojska węgierskie ewidentnie masakrowały wsie znajdujące się w rejonie działań zgrupowań partyzanckich.

Zabijanie węgierskich jeńców

Elementem eskalującym orgię wzajemnego okrucieństwa były zbrodnie dokonywane na ujętych węgierskich jeńcach. Honwedzi na łaskę partyzantów liczyć nie mogli. Wziętych do niewoli zabijano, a wcześniej okaleczano, często w straszliwy sposób. Po jednej z bitew z partyzantami w węgierskim raporcie stwierdzono, że znalezieni zabici jeńcy mieli rozprute brzuchy, odcięte ręce, wydłubane oczy, wykastrowane genitalia, zdjętą skórę. Jeden z żołnierzy konstatował: „Partyzanci wykonywali okropną robotę rzeźniczą. Nie ma tu więźniów, jeśli złapią Węgra czy Niemca, okaleczają go, zanim go stracą. Porucznik, który został przez nich zabrany, był nagi, a potem podcięli mu uda, jakby były kieszeniami, i włożyli mu ręce. Odcięli mu genitalia i włożyli do ust jak cygaro. Zrobili to wszystko, gdy żył. Takich rzeczy było wiele. Oczywiście była zemsta. Nasi żołnierze otoczyli wioskę, gdzie byli partyzanci, i… podpalili ją, gdy ludzie byli jeszcze w domach, a następnie wymordowali jej mieszkańców. Jest wiele takich opuszczonych wsi".

Pogrzeb węgierskiego żołnierza FOT. WIKIPEDIA

Dywizje węgierskie przeprowadzały operacje antypartyzanckie przy współudziale sił niemieckich i kolaboranckich. W czasie jednej z nich, pomiędzy 13 a 30 maja 1942 r. w lasach chinelskich (okolice Briańska), zabitych zostało 4375 partyzantów, ich pomocników i cywilów, a 135 ujęto. Straty oddziałów antypartyzanckich wyniosły 90 zabitych Węgrów, 87 rosyjskich policjantów, 31 Niemców, 11 Turkiestańczyków, Kozaków i Ukraińców (w sumie 219), rannych: 314 Węgrów, 50 rosyjskich policjantów, 69 Niemców, 21 Turkiestańczyków, Kozaków i Ukraińców (łącznie 454) i zaginionych: 32 Węgrów, 1 rosyjski policjant, 3 Niemców, 1 Turkiestańczyk, 1 Kozak (razem 37). Zdobyto: 7 dział artyleryjskich, 6 granatników, 20 pistoletów maszynowych, 42 pistolety, 16 karabinów automatycznych, 449 karabinów, 300 kg materiałów wybuchowych, 1 kuchnię polową, 2 rowery lub pojazdy, 23 konie i 70 krów. Zniszczono: 15 armat, 20 granatników, 2 pistolety maszynowe, 10 karabinów maszynowych, ok. 1 tys. karabinów oraz dużą ilość amunicji i granatów ręcznych.

Rozstrzeliwać na miejscu

W styczniu 1942 r. węgierskie dowództwo Grupy Okupacyjnej wydało rozkaz, by wziętych do niewoli partyzan-

eprasa.pl 434f19b026

Sowieccy partyzanci na ziemiach ukraińskich FOT. IMW

tów na miejscu rozstrzeliwać. Pretekstem do podjęcia tej decyzji był incydent, kiedy to dwóch z czterech żołnierzy ze 105. Brygady Piechoty transportujących jeńców zostało zaatakowanych przez partyzantów i poniosło z ich ręki śmierć (jeńcy uciekli). Kolejne bardziej radykalne dyspozycje wydał 25 czerwca 1942 r., po nieudanych operacjach przeciw partyzantom w rejonie Putywla, dowódca Okupacyjnej Grupy „Wschód" gen. Károly Bogányi, który zirytowany małą skutecznością swych podwładnych stwierdził: „Odniosłem wrażenie, że dzisiejsza akcja przeczesywania lasu na północ od Putywla nie powiodła się, ponieważ partyzanci mieszkają w okolicznych wsiach i po prostu w nich przebywali lub wracali do nich po rozpoczęciu akcji. Z tego powodu wsie Jatczyno, Szarpówka, Iwanowskie, Zozulino i inne pobliskie wsie, wskazane przez dowódcę 34. pułku piechoty, powinny zostać spalone, a cała ludność męska w wieku od 15 do 60 lat zniszczona".

Zgodnie z węgierskim meldunkiem w walkach pod Putywlem zabito 250 partyzantów, natomiast 143 wzięto do niewoli i rozstrzelano. Dokładnie miesiąc później żołnierze węgierscy (105. DL) oraz niemieccy z kompanii pancernej zabili we wsi Nowa Słoboda 586 mieszkańców miejscowości. Takie posunięcia były pokłosiem sugestii takich jak ta, przedstawiona przez dowódcę 108. Dywizji Lekkiej gen. Ottona Abta, który instruował swoich podkomendnych: „W wielu przypadkach konieczne jest także zastraszanie. Na przykład eksterminacja całej męskiej populacji…".

W połowie 1942 r. niektórzy niemieccy dowódcy zaczęli dochodzić do przekonania, że masowy terror skierowany przeciw cywilom jest działaniem przeciwskutecznym. Zwolennikiem zmiany metod w zwalczaniu partyzantki był dowódca Obszaru Tyłowego 2. Armii Pancernej Korück 580 (Kommandant des rückwärtigen Armeegebiets) gen. Kurt Agricola. Ducha zmian widać w informacjach zawartych w meldunku z jednej z operacji przeciw partyzantom sporządzonego przez dowódcę Kampfgruppe Möckel, złożonej z batalionu węgierskiego, turkiestańskiego i niemieckiego oddziału żandarmerii polowej 581. Napisano w nim, że podczas akcji zabito 108 prawdziwych partyzantów. Użycie słowa „prawdziwych" wskazywało, że w tej liczbie są wymienieni rzeczywiście polegli w walce partyzanci, a nie „pomocnicy band", czyli po części cywile. Dowódca Korück 580 wyraził zadowolenie z rezultatów i sposobu przeprowadzenia operacji. Okazało się, że akcje przeciw partyzantom można było prowadzić bez uciekania się do masowych masakr. Coraz częściej stosowano koncepcję martwych stref, z których wysiedlano ludność cywilną. Tak było podczas operacji „Dreieck" – „Viereck" – kiedy to z zagrożonych aktywnością partyzancką terenów ewakuowano 15 tys. mieszkańców.

Co ciekawe, Węgrzy nie zawsze chcieli się pogodzić z nowymi wytycznymi. Na obszarach Republiki Łokockiej, czyli autonomicznego tworu kierowanego przez Bronisława Kamińskiego, ich niezmiennie brutalne postępowanie wywoływało napięcia z lokalnymi dowódcami Wehrmachtu. Niemcy w tamtym rejonie ściśle współpracowali z rosyjską administracją, dlatego zakazywali węgierskim jednostkom mordowania mieszkańców i palenia wsi. Zabronione też były samowolne rekwizycje. Węgrów zobowiązano także do kooperacji z rosyjską kolaboracyjną milicją ludową. Trzeba jednak skonstatować, że honwedzi nie byli z tego tytułu zadowoleni, z zasady bowiem nie ufali ani współpracującym z Niemcami Rosjanom, ani Ukraińcom.

Egzekucje Żydów

Podczas operacji antypartyzanckich żołnierze węgierscy zaangażowani byli w niektórych przypadkach w egzekucje osób pochodzenia żydowskiego. W pierwszych miesiącach kampanii wojennej przeciw ZSRS dowództwo armii królewskiej zdecydowanie przeciwstawiało się praktykom zabijania Żydów. Tak stało się w Kołomyi, gdzie dowódca VIII Armijnego Korpusu, gen. Ferenc Szombathelyi, uniemożliwił przeprowadzenie masakry 400 Żydów. Podobnie było w Żytomierzu. W okresie późniejszym sytuacja w tym względzie uległa zmianie. Początkowo Żydów rozstrzeliwano jako współpracowników partyzantów. Najbardziej znanym przykładem było stracenie 90 z nich 22 grudnia 1941 r. w Rejmentarówce. Szef sztabu 105. Brygady Piechoty informował: „… grupa Żydów dostarczała żywność partyzantom. Banda żydowska w liczbie 90 osób została rozstrzelana". Pozostałych schwytanych 264 partyzantów, w większości Żydów, Węgrzy także zabili. W dniach 8–9 grudnia 1941 r. węgierski II batalion 32 pp. rozstrzelał w Makoszynie 25 Żydów, a 28 lutego 1942 r. w Czernichowie Węgrzy wraz z GFP oraz policją pomocniczą dokonali egzekucji 40–60 żydowskich cywili. Przypadków uczestnictwa honwedów w eksterminacji ludności żydowskiej było zapewne więcej, ale nie ma danych wskazujących, iż było to zjawisko masowe.

Reasumując, należy podkreślić, że w trakcie walk z sowiecką partyzantką oddziały węgierskie stosowały nie mniej brutalne metody niż jednostki niemieckie. Tym sposobem próbowano terrorem powstrzymać rozwój ruchu partyzanckiego i zniechęcić członków miejscowych społeczności do udzielania partyzantom pomocy. Szacuje się, że z rąk węgierskich zginęło ok. 30 tys. osób, w pewnej części cywilów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 434f19b026

Krzysztof Masłoń

Tadeusza Śliwiaka droga do domu

1928–1994 / Zamilkł w latach 90. i niemal natychmiast został zapomniany

W powodzi artykułów oraz książek o Holokauście i jego odzwierciedleniu w literaturze polskiej pomijany jest „Poemat o miejskiej rzeźni" Tadeusza Śliwiaka

Rafał Watrowski w szkicu „»Pytającemu o godzinę powiedzieć prawdę i zapłakać z nim«. Tadeusz Śliwiak i jego poezja", stanowiącym wstęp do wydanego w 2002 r. przez oficynę Zysk i S-ka obszernego wyboru utworów autora hymnu „Piwnicy pod Baranami", którym była „Ta nasza młodość", stwierdził, że wiersze zmarłego w 1994 r. poety trafiły do czyśćca. A gdzie się znajdują dzisiaj i kto jeszcze pamięta Tadeusza Śliwiaka?

Wydał, jak ktoś się doliczył, 32 tomy poezji. Recenzowano je, omawiano – na ogół przychylnie, odbył setki spotkań autorskich, które stawały się lokalnymi wydarzeniami, bywał nagradzany, honorowany, liczono się z jego sądami, kierował przecież – po Wisławie Szymborskiej – działem poetyckim „Życia Literackiego". Publikował poczytne książki dla dzieci, dokonywał tłumaczeń, pisał popularne piosenki. Wypada zgodzić się z Tadeuszem Nyczkiem, który na pytanie, które postawił, a mianowicie, jakim poetą był Śliwiak, odpowiedział, że był on absolutnie profesjonalny: „Nieco młodszy od Różewicza i Herberta podzielał z nimi wszystkie zalety ich talentu – oprócz tej szczypty tajemnicy, która decyduje o wielkości. Może pisał za dużo i zbyt łatwo mu szło, nie wiem. Ale pamiętam, jak ogromne wrażenie zrobił swego czasu, w 1965 r., »Poemat o miejskiej rzeźni«, dzięki któremu poeta dotąd zaledwie interesujący przeskoczył nagle do kategorii pierwszorzędności. Choć wielkość kolejnych zbiorów trzymała równy, wysoki poziom, poza »Poematem…« nie udało mu się jednak nigdy napisać tych kilku

FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl 434f19b026

przynajmniej wierszy, które przeszłyby do historii kultury jako znaki firmowe i autora, i czasu, w jakim powstały".

Ten związany z Krakowem poeta – pisał Watrowski – „wzbogaciwszy literaturę polską o kilkadziesiąt książek poetyckich – zamilkł na początku lat dziewięćdziesiątych i został prawie natychmiast zapomniany. Odszedł do wieczności samotnie, szlakiem Alzheimera, urywającym się nagle pod kołami tramwaju".

Był wczesny ranek 3 grudnia 1994 r. Sześćdziesięcioszześcioletni Tadeusz Śliwiak wyszedł z domu w szlafroku, z papierosem, przeszedł kilkaset metrów i zderzył się z nocnym tramwajem.

Ostatni tramwaj przemknął tej nocy,
w boczne uliczki odchodzi mrok.
Jak cię odnaleźć, nocny przystanek
I wszystkie drogi zmyliłem, bo
Zabłądziły światła dróg, nie odnajdę drogi już...

Ten wiersz napisał dla Skaldów inny poeta krakowski, Leszek Aleksander Moczulski, ale przychodzi mi on zawsze na myśl, gdy wspominam Tadeusza Śliwiaka. Także dlatego, że i on pisał dla zespołu braci Zielińskich.

Tadeusz Śliwiak (w środku) w filmie „Nieznany" Witolda Lesiewicza z 1964 r FOT. POLFILM/EAST NEWS

Co człowiek oddał nam

A był współtwórcą piosenek wspaniałych, w tym – zdawałoby się – niezapominanego songu „Piwnicy pod Baranami": „Ta nasza młodość z kości i krwi / Ta nasza młodość, co z czasu kpi...", przy którym płakały i publiczność, i niezrównana wykonawczyni tego Piwnicznego hymnu, Halina Wyrodek. To o tej młodości pisał w tym wierszu Śliwiak:

Buntem jest niespełnionym
Co na serce umiera
Ona tylko to daje
Co innemu zabiera.

Czy można było przypuszczać, że dziś, po latach, nie brakuje ludzi mieniących się inteligentami, którzy o Piwnicy pod Baranami nie słyszeli? A ich wrażliwość na poezję jest zerowa. Jak takich jak oni przekonać o wartościach pięknych wierszy Tadeusza Śliwiaka z tomu „Widnokres" (1971), na czele z tymi, które zapamiętaliśmy szczególnie, dzięki interpretacjom Marka Grechuty, w „Niebieskim młynie" np. zapewniającego:

Nasze domy nad brzegiem porywistych rzek
nasze drogi w pobliżu arsenałów broni
Na przemian przeklinając i wielbiąc nasz wiek
coraz wyżej jesteśmy głową w nieboskłonie.

A napisał i „Krakowską kwiaciarkę" dla Sławy Przybylskiej, i „Nie chodź tą ulicą" dla Joanny Rawik, i „Wróżenie z róży" dla Łucji Prus, piosenki dla zespołów Wawele i Dżamble, których wokalista – Andrzej Zaucha – śpiewał jego „Święto strachów":

Strachy zza miedz, zza gór, przybądźcie tu.
Starczy wam łach za strój, przybądźcie tu.
Wyją nam psy i wiatr do tańca gra.
Żywot nasz czy więcej wart niż ten łach, co człowiek oddał
nam?
Kim jest już i gdzie.

W jego poezji wyjątkowe miejsce zajmuje rzeczywiście „Poemat o miejskiej rzeźni" składający się z 12 ustępów, takich jak „Ballada o sześciu Żydach":

Kto wy? – My Żydzi.
Zawód? – Szklarze...
... bo gdy Żyd niesie w rękach szkło
nie kopnie Żyda nikt ze straży
choćby i sześciu Żydów szło
Ukradli Żydzi serce wołu
na jedno serce – Żydów sześć
nie mają domu ognia stołu
surowe serce będą jeść
i krew surową będą pić
szczęśliwi Żydzi bo nie głodni
jutro znów okna będą szklić
w zapchanej mięsem wielkiej chłodni

czy też „Nr 36625":

Uciekł Żyd z obozu
złapali
zagnali do getta
w getcie ojciec
w getcie czterech braci
więc i getto może być rajem

potem wzięli ich w jednej kolumnie
do roboty do rzeźni do gnoju

płuczą Żydzi
z gówien flaki
jest co jeść
i ciepło tu
więc śpiewają
Żydzi w rzeźni
o jeszcze jednym
przeżytym dniu

aż zwariował Żyd z tego szczęścia
i z krowami gadał we śnie
i oglądał kolczyki w ich uszach
i zapomniał kim jest już i gdzie

... ty jesteś krowa
a ja Żyd

eprasa.pl 434f19b026

ty jesteś mięso
a ja dym
ja numer mam
ty numer masz
ty w uchu
ja na ręce
zamieńmy się
ty swój mi dasz
za mój
co wart jest więcej.

Dziś literaturoznawcy i publicyści z kręgu „Gazety Wyborczej" wyliby pewnie ze zgrozy za to zrównanie statusu nie tyle zwierząt i ludzi, ile krów i Żydów. Sześćdziesiąt lat temu potraktowano to co najwyżej jako ryzykowne ujęcie przez poetę drażliwego tematu. A po wielu latach od publikacji „Poematu…", już w XXI stuleciu, Stanisław Stabro pisząc o nim, stwierdzi: „Dla podmiotu lirycznego śmierć żywych stworzeń, zwierząt i ludzi była losem pospólnym i wszechogarniającym oraz okrutnym wtajemniczeniem młodości w życie i śmierć".

Trwałe blizny pamięci

„Dość znaczny dystans czasowy – powiada Andrzej Juchniewicz w szkicu „Redefinicja kategorii świadka. Przypadek »Poematu o miejskiej rzeźni« Tadeusza Śliwiaka" – jaki dzieli tom […] z 1965 roku, od zakończenia wojny implikuje określony sposób lektury, który polega na poszukiwaniu legitymizowanej przez tekst pozycji podmiotu. Śliwiak często wypowiada się w pierwszej osobie, nie stroni również od narracji trzecioosobowej w poematach prozą, co mając na uwadze rozziew między doświadczeniem dziecka a świadomym konstruowaniem po latach spójnego tomu o pacyfistycznej i proekologicznej wymowie, może nastręczać problemów, których źródłem jest obawa o zniekształcone (bazujące na relacjach z drugiej ręki) świadectwo z pobytu w rzeźni. Podczas lektury mogą zatem pojawiać się kwestie dotyczące stopnia prawdziwości prezentowanych wydarzeń, jednak postponowanie tego, co przekazuje Śliwiak, niewiele wniesie do dyskusji o statusie poezji po Zagładzie i jej roli w zakresie transponowania doświadczenia na wiersze sondujące kondycję świadka".

Uf, darujmy sobie tego rodzaju interpretacje utworu. Na szczęście istnieje autorski komentarz do „Poematu o miejskiej rzeźni", który w tym miejscu przytoczmy, nie wdając się w dalsze dywagacje podobne wcześniej cytowanej kwestii:

„Rzeźnia była dla mnie najważniejszą chłopięcą pamięcią wyniesioną z wojny. W czasie okupacji hitlerowskiej mieszkałem wraz z rodzicami i rodzeństwem na terenie Miejskiej Rzeźni we Lwowie. Otoczona wysokim murem z czerwonej cegły, była jakby wydzielonym miasteczkiem. Ojciec mój skorzystał z możliwości podjęcia tam pracy kierowcy samochodowego i w ten sposób uniknął aresztowania przez hitlerowców. Z okna naszego mieszkania oglądałem ogromny budynek chłodni i hale, gdzie zabijano zwierzęta. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się garbarnia. Niedaleko domu rosły stare kasztany. Było ich dużo. Lubiliśmy je, my, tamtejsi chłopcy. Były długo zielone. […] Oglądałem okrucieństwo, przemoc i „przemysłową" śmierć zwierząt. Wszystko to, poszerzone o wymiar toczącej się wojny – kojarzyło się z losem ludzi mordowanych w obozach i rozstrzeliwanych na ulicach i placach miast. Zdarzenia te pozostawiły w mojej świadomości trwałe blizny pamięci. Stały się emocjonalnym i dramatycznym tworzywem dla tej ważnej pozycji w moim dorobku literackim".

Dwie różne skarpetki

Córka poety, Weronika, wspominała, że „ilekroć mógł, jeździł do Lwowa i zawsze przy tym odwiedzał Górę Jacka oraz dawną rzeźnię. […] Wiedział i widział, że to, za czym tęsknił, przeminęło i że tak naprawdę jego poszukiwanie kraju dzieciństwa skazane jest na porażkę. Bolał nad szarzyzną i rozkładem niegdysiejszej perły kresów wschodnich. Ilekroć wracał ze Lwowa, cień bezdomności i przynależności do czasu, którego już nie ma, wydłużał się".

Jego o 20 lat młodszy kolega po piórze, Adam Ziemianin, w poświęconym Śliwiakowi wierszu napisał:

Chodzi poeta po mieście
Którego już nie poznaje
A na nogach ma
Dwie różne skarpetki
Jedna z Krakowa
Druga ze Lwowa.

W 1990 r. opublikował Tadeusz Śliwiak tom „Lwów – nawyk serca i inne wiersze". Ale utwory o Lwowie pisał grubo wcześniej, jak np. „Dom" z 1963 r.:

Odszukałem dom ten
pięć szerokich schodów
sczerniałe sztachety
strzegą ciszy ogrodu
okna puste – to dziwne
o tej porze dnia…
gdzie jest twarz mojej matki
kto ją tutaj zna

Wszystko takie jak było
wszystko inne przecież
tego samego domu
nie ma dwa razy na świecie
szklane drzwi
lecz nie szyby w nich
a płytki lodu
obco patrzą
w ich świetle
nie ma już barw miodu

dziki bez
– czy w gałązkach jego wciąż ta gorycz
imię pewnej dziewczyny
miało smak tej kory

Przyszedłem dom zobaczyć
nie powiem nikomu
że byłem nie zastałem
nie ma domu w domu.

A w innym króciutkim wierszu bez tytułu wyznał to tylko, że:

Lwów mieszka we mnie
jego ulice
to najpiękniejsze wersety poezji.

Ciężar gatunkowy podpisu

Zadebiutował Tadeusz Śliwiak jeszcze w latach 40. na łamach wrocławskiego „Słowa Polskiego". Dlaczego we Wrocławiu? Otóż tam właśnie podjął studia… medyczne, które jednak przerwał, przenosząc się już na stałe pod Wawel, gdzie ukończył Państwową Wyższą Szkołę

eprasa.pl 434f19b026

Aktorską. W czasie studiów występował w Teatrze Rapsodycznym, a zaraz po uzyskaniu dyplomu został zaangażowany do Starego Teatru. W tym samym 1953 r. ukazała się jego pierwsza książka: „Astrolabium z jodłowego drzewa. Poemat o Mikołaju Koperniku", poemat powstały niewątpliwie pod wpływem Gałczyńskiego i jego „Wita Stwosza".

W Krakowie bardzo szybko stał się ważną, rozpoznawalną postacią. Współtworzył Estradę Poetycką, współpracował z „Życiem Literackim", w 1956 r. redagował świetny magazyn „Zebra" (wcześniej „Czarno na Białym"), wchodził w skład poetyckiej grupy Muszyna. W końcu w 1960 r. definitywne już odszedł ze Starego Teatru, sprawę ujmując następująco: „Dziś nie jestem już w teatrze, ponieważ nie mógłbym jednocześnie uprawiać dwóch dziedzin sztuki bez szkody dla którejś z nich". Nawiasem mówiąc, odwrotną drogę – od literatury do teatru i filmu – przebył krakowski kolega Śliwiaka, jeszcze ze studiów aktorskich, Leszek Herdegen, w młodości obiecujący poeta i krytyk.

Poetyckie początki Śliwiaka były więcej niż typowe dla czasów socrealizmu. Popełniał utworki potworki o przodownikach pracy, żołnierzach i małorolnych chłopach. Ani lepsze, ani gorsze od setek gniotów powstałych w tych najtrudniejszych dla powojennej kultury polskiej latach. Co najwyżej można tu tylko przypomnieć jego kuriozalną „Pieśń Cygana z Nowej Huty":

Zamienił Cygan płócienny namiot
na dom, gdzie obcy jest deszcz i chłód,
a siłę swoich kowalskich ramion
oddał ofiarnie najmłodszej z hut.

Wraz z Herdegenem został członkiem Koła Młodych przy krakowskim oddziale Związku Literatów Polskich, w którym działali już m.in. Sławomir Mrożek, Andrzej Kijowski, Tadeusz Nowak i Jan Błoński. Wszyscy oni w 1953 r. złożyli podpisy pod rezolucją ZLP potępiającą ks. Józefa Lelitę i innych duchownych związanych z krakowską kurią, oskarżonych o szpiegostwo w sfingowanym procesie pokazowym, na którym zapadły wyroki śmierci. W 2016 r. sprawę tę przypomniano przy próbie dekomunizowania nazw ulic w Krakowie. Ulica mająca patrona w osobie Śliwiaka pochowanego na cmentarzu Rakowickim w Alei Zasłużonych ocalała, w dużej mierze dlatego, że choć poeta wobec władzy komunistycznej był uległy i cechował go konformizm (do PZPR wstąpił w roku 1961), politycznie nie angażował się, a fatalną rezolucję w roku śmierci Stalina podpisała również – o czym nie należy zapominać – Wisława Szymborska.

Przy całym swoim konformizmie Śliwiak wykazywał się zresztą nawet pewną odwagą, jak choćby w 1968 r., gdy sygnował rezolucję partyjnych pisarzy krakowskich odcinającą się od poczynań propagandy i domagającą się pociągnięcia do odpowiedzialności osób odpowiedzialnych za brutalne akcje milicji wobec protestujących studentów. W piśmie tym (skądinąd do Józefa Cyrankiewicza będącego jego adresatem nigdy ono nie dotarło) stwierdzono ponadto, że przyczyną wydarzeń marcowych stały się błędy polityki kulturalnej władz.

A po zjeździe Związku Literatów Polskich w Bydgoszczy, na którym wprowadzono do statutu ZLP zmiany określające socjalistyczny charakter organizacji, działania te ocenił Śliwiak krytycznie, widząc w nich próbę uczynienia przez PZPR z pisarskiego związku pasa transmisyjnego, na szczęście próbę nie w pełni udaną, „ponieważ zjazd wykazał, że poważniejsi pisarze nie będą się angażować moralnie w »rozróbki« ułatwione obecnym statutem".

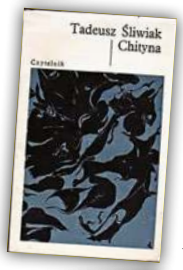

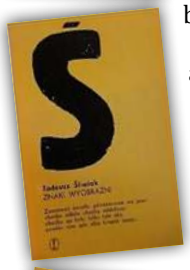

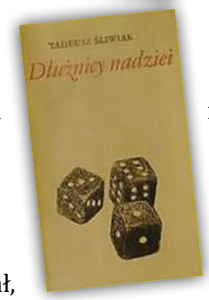

Twoje buty wynieśli na strych

O ostatnim okresie życia poety mówi – jak pisał Rafał Watrowski – „wiele relacji o podobnej wymowie – o poecie recytującym w czasie wieczoru autorskiego któryś raz z rzędu ten sam wiersz, o literacie błąkającym się po krakowskim Rynku, niepotrafiącym odnaleźć drogi do domu itp. Skomplikowane życie rodzinne sprawia, że jest w tym czasie sam, z coraz znaczniejszymi objawami choroby Alzheimera. Przyjaciele pomarli, wyjechali albo zapomnieli. Stowarzyszenia i instytucje kulturalnego Krakowa [w 1974 r. otrzymał Nagrodę Miasta Krakowa – przyp. K.M.] nie widziały powodu do zajęcia się otępiałym poetą, był wszak »niczyj«, jak ktoś trzeźwo zauważył. Zresztą – trzeba z żywymi naprzód iść…".

To ostatnie jest oczywiste, a jednak dotkliwie bolą takie wiersze poety jak „Głosy zza ściany":

gdzie moje buty?
twoje buty wynieśli na strych
tam je zżera skórna choroba
już nie przyjdą do siebie
mają osiem par oczu ale wszystkie
ślepe
twoje umęczone buty
chowają skurczony język
już nie mają nic do powiedzenia
ani ziemi
ani kamieniom
ani trawie zielonej
zapomnij o swoich butach
ty który chodzisz po pokoju
w bujanym fotelu.

Odnoszę wrażenie, że ostatnimi laty, jeśli wspomina się Tadeusza Śliwiaka, to jakoś „przy okazji", np. tekstów o przyjaźni łączącej go z Haliną Poświatowską. A jeśli w ogóle istnieje w pamięci, to tylko w pamięci lokalnej, krakowskiej. A już zdumiewające jest to, że w powodzi książek i artykułów o Holokauście i jego odzwierciedleniu w literaturze polskiej pomijany jest „Poemat o miejskiej rzeźni". Czyżby dlatego, że powstał w latach 60., gdy rzekomo temat żydowski stanowił tabu w antysemickiej, a jakże, Polsce?

Tymczasem autor „Poematu o miejskiej rzeźni" wyznawał w tym utworze jedynie to, że:

Uczyłem się życia
Od śmierci podglądanej
Czego tu szukasz pytali
Szukałem własnego dzieciństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 434f19b026

Friedrich Naumann

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Książka miesiąca / Friedrich Naumann

Niemiecki plan dominacji

W 1915 r. ukazała się książka „Mitteleuropa" Friedricha Naumanna, niemieckiego pastora i polityka. Właśnie wydane zostało jej polskie tłumaczenie. Książka Naumanna, choć wydana ponad sto lat temu, zasługuje na uwagę, ponieważ – jak stwierdził politolog Edward Said – nie mamy pewności, czy przeszłość naprawdę minęła, czy też może trwa nadal w zmienionych formach. A Naumann rozsnuwa w swojej książce wizję podporządkowania sobie przez Niemcy, a ściślej przez ponadnarodowy organizm złożony z Rzeszy i Austro-Węgier, państw i narodów Europy Środkowej. Oczywiście w owej Mitteleuropie Naumann rezerwował dominującą rolę dla Niemiec.

Autor „Mitteleuropy" stwierdzał, że istnieją trzy mocarstwa: Rosja, imperium brytyjskie i Stany Zjednoczone. Niemcy w porównaniu z nimi są małe terytorialnie i nie mogą samodzielnie dorównać owym potęgom ani gospodarczo, ani militarnie. Gdyby tak miało dalej być, Niemcy musiałyby stać się młodszym partnerem albo Rosji, albo imperium brytyjskiego. A na to się nie godził. Zwracał uwagę, że związanie się z Rosją byłoby wprawdzie gospodarczo bardzo korzystne dla Niemiec, ale jednocześnie niebezpiecznie wzmocniłoby Rosję. Stwierdził więc, że jednak lepiej być małym i samodzielnym państwem niż znaleźć się w objęciach Rosji.

Naumann uważał, że trzeba zbudować czwarte globalne mocarstwo, w przeciwnym bowiem razie narody i państwa Europy Środkowej wpadną w zależność od Rosji lub imperium brytyjskiego, a tym samym pozycja Niemiec zostanie wybitnie osłabiona. Autor „Mitteleuropy" postulował więc połączenie się Niemiec z Austro-Węgrami. Do tego rdzenia miały przystąpić inne narody i państwa Europy Środkowej, doceniwszy korzyści cywilizacyjne i gospodarcze wynikające z włączenia się w strukturę Mitteleuropy. Jeśli tego nie zrobią, to czeka je stagnacja. Naumann nie ukrywał, że Niemcy potrzebują terenów rolniczych swoich sąsiadów i ich siły roboczej. Trafnie zauważał, że wielkość rynku jest podstawą siły i ekspansji. Mitteleuropa miała się zaś stać wielkim obszarem gospodarczym, rządzonym pod dyktando Niemiec. Naumann wprost pisał, że znakomita niemiecka organizacja i niemieckie idee ekonomiczne powinny określać charakter nowej ponadnarodowej struktury w Europie Środkowej, pomiędzy Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem.

Dominacja Niemiec miała być wyraźna, ale miękka. Naumann pisał o Mitteleuropie jako związku państw, a nie państwie związkowym. Państwom członkom Mitteleuropy przyznawał wiele kompetencji, m.in. w dziedzinie administracji wewnętrznej, edukacji, języka, ale już nie w sprawach gospodarczych i w polityce zagranicznej. Tu głos decydujący miałby faktycznie Berlin. Autor „Mitteleuropy" zauważał, że Niemcy są wobec innych narodów grubiańscy i opryskliwi, nie ukrywają swojego poczucia wyższości. Postulował zmianę tej postawy, oczywiście chodziło mu, by nie zrażać państw i narodów do idei Mitteleuropy. Co do nas, uważał, że Polak pozostanie Polakiem, więc należy zrezygnować z przymusowej germanizacji.

Idee Naumanna nie urzeczywistniły się. Niemcy i Austro-Węgry przegrały pierwszą wojnę światową. A narodowo-socjalistyczne Niemcy wybrały drogę aneksji i podboju. Dziś ta droga dla Berlina nie jest możliwa, ale pozostaje inna. Profesor Grzegorz Kucharczyk we wstępie do pracy Naumanna napisał: „Po uważnej lekturze tej książki łatwiej będzie odpowiedzieć na pytanie: czy program, w który wpisane jest dążenie do nałożenia również na Polskę trwałej bariery rozwojowej i ustanowienie niemieckiego wpływu i kontroli nad całą Europą Środkową za pomocą wytworzonego w Niemczech kodu kulturowego, odszedł rzeczywiście do przeszłości?".

©℗

Tomasz Stańczyk

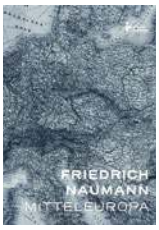

FRIEDRICH NAUMANN
„MITTELEUROPA"
INSTYTUT PILECKIEGO

eprasa.pl 434f19b026

Zimna wojna o Berlin

Jednym z najbardziej spektakularnych przejawów powojennych zmagań o stolicę Niemiec jest słynna blokada Berlina (czerwiec 1948–maj 1949 r.). Amerykanie i Brytyjczycy wykonali wówczas niewiarygodne ćwierć miliona lotów do odciętych przez Sowietów zachodnich sektorów miasta. Dostarczono niemal 2,5 mln ton towarów, z czego większość stanowił węgiel. Pokaz determinacji ze strony Zachodu zrobił swoje: Sowieci w końcu zdjęli blokadę, choć Berlin pozostawił jednym z najgorętszych frontów zimnej wojny.

Nie każdy jednak wie, że do pierwszej próby sił w dopiero co podzielonym w Jałcie Berlinie doszło już 17 czerwca 1945 r. Tego dnia Amerykanie mieli pierwszy raz wkroczyć do swojego sektora okupacyjnego w stolicy Niemiec. Misją rekonesansową Amerykanów kierował płk Frank „Howlin' Mad" Howley, świeżo upieczony zastępca komendanta amerykańskiego sektora w Berlinie (w roku 1947 awansował na stanowisko komendanta). Niezwykle charyzmatyczny i pełen kowbojskiej fantazji płk Howley to jeden z głównych bohaterów książki Gilesa Miltona.

Gdy prowadzona przez Howleya kolumna ciężarówek przyozdobionych w amerykańskie flagi zbliżyła się do Łaby, sowiecki szlaban ani drgnął w górę. Okazało się, że oficerowie Armii Czerwonej stwierdzili, iż Amerykanów jest za dużo i nie mogą przejechać przez granicę. Sowieci najzwyczajniej pogrywali ze swoimi – przynajmniej oficjalnie wciąż jeszcze – sojusznikami.

Howley przekonywał dowodzącego Rosjanina, że nie ma prawa żądać od niego zawrócenia części jego ludzi. Amerykanin zapisał w swoich wspomnieniach, że korciło go, by zignorować Sowietów i po prostu pojechać dalej. „Nie sądzę, żeby Rosjanie walczyli – wspominał – ale gdyby walczyli, miałbym wystarczająco dużo żołnierzy, by nas obronić".

Ostatecznie obie strony dogadały się, ale epizod ten zwiastował napięcia, do jakich coraz częściej miało dochodzić między mocarstwami okupującymi Berlin. Książka Miltona to arcyciekawa opowieść o tym, jak Berlin zamienił się na kolejne dekady w jedną wielką beczkę prochu.

©℗ ***Piotr Włoczyk***

GILES MILTON
„BERLIŃSKI SZACH-MAT"
NOIR SUR BLANC

Państwo Środka od środka

Profesor Krzysztof Gawlikowski spędził w Azji sporą część życia. Poznał azjatyckie uniwersytety, pałace prezydenckie, chłopskie chaty oraz biedne dzielnice. Jego książka to licząca prawie 800 stron praca, z którą zapoznać powinien się każdy, kto chce zrozumieć, czym jest cywilizacja konfucjańska. Spojrzenie na Państwo Środka z jego własnej perspektywy to bardzo ważne i stosunkowo rzadko spotykane w nauce Zachodu podejście. Książka może być nieocenioną pomocą dla pasjonatów historii, jak i dla polityków.

©℗ ***Anna Szczepańska***

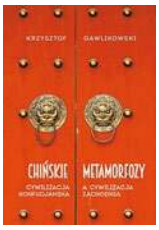

KRZYSZTOF GAWLIKOWSKI
„CHIŃSKIE METAMORFOZY. CYWILIZACJA KONFUCJAŃSKA A CYWILIZACJA ZACHODNIA"
WYDAWNICTWO ZONA ZERO

KRZYSZTOF A. TOCHMAN
„SAMOZWAŃCZY OFICER ZYGMUNT AUGUSTOWSKI. Z DZIEJÓW WACHLARZA OKRĘGU WILEŃSKIEGO AK I KOMUNISTYCZNEJ BEZPIEKI"
IPN

SAMOZWANIEC I AGENT

Książka uzyskała wyróżnienie w kategorii „monografie" konkursu Sygnety IPN. Jest to biografia człowieka, który podawał się za oficera WP i został ważną postacią w AK na Wileńszczyźnie. A po wojnie był do 1990 r. agentem Służby Bezpieczeństwa. ©℗ ***(t.s.)***

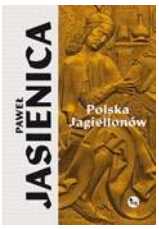

PAWEŁ JASIENICA
„POLSKA JAGIELLONÓW"
WYDAWNICTWO MG

POLSKA JASIENICY

Prawdopodobnie najciekawsza opowieść o Polsce Jagiellonów, jaka kiedykolwiek wyszła spod ręki polskiego historyka. Chyba każdy, kto ją przeczytał, myśli o tamtym złotym wieku Polski przez pryzmat opowieści Jasienicy. Bardzo dobrze, że takie książki odświeżane są dla kolejnych pokoleń. Polska Jagiellonów to obowiązkowa pozycja na każdym regale z książkami! ©℗ ***(p.w.)***

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA
„GRODY, GARNKI I UCZENI. O ARCHEOLOGICZNYCH TAJEMNICACH ZIEM POLSKICH"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

ZAKOPANE TAJEMNICE

Czy w Polsce żyli neandertalczycy? Jakie tajemnice skrywają jeziora i co robili u nas Rzymianie? Autorka udowadnia, że archeologia ziem polskich może być tak fascynująca, jak kopanie pod egipskimi piramidami. Książka w syntetyczny sposób opowiada o „podziemnych" dziejach naszego kraju od czasów prehistorycznych do dzisiaj. ©℗ ***(a.s.)***

eprasa.pl 434f19b026

Winston Churchill w Quebecu, 1943 r.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Awanturniczy premier

Dziewięćdziesiąt lat życia to szmat czasu, a co dopiero, jeżeli mówimy o Winstonie Churchillu? Mało która z wielkich postaci historycznych prowadziła tak intensywne życie. Ceniony publicysta, polityk, mąż stanu, aktywny do samego końca swojego długiego życia. Nic dziwnego, że w wielkim plebiscycie BBC na największego Brytyjczyka w historii nie miał sobie równych (choć zapewne Polacy mieszkający w Wielkiej Brytanii nie poparli go aż tak gremialnie...). Nic więc zaskakującego, że biografie Churchilla potrafią ważyć kilka kilogramów. Ostatni przykład takiej monumentalnej pracy to ośmiotomowa biografia autorstwa Martina Gilberta. Takie grube tomiszcza to skarbnica wiedzy dla badaczy, którzy analizują każdy szczegół życia danej postaci historycznej, ale przyznajmy, że dla przeciętnego fana historii takie książki nie są pierwszym wyborem.

Biografia Churchilla autorstwa Thomasa Kielingera to książka z innego porządku – ciekawie napisany wybór najważniejszych rozdziałów życia Churchilla, który można „połknąć" w dwa wieczory. Sam autor przyznaje się zresztą, że przyświeca mu dewiza pisarska Woltera: „Le secret d'ennuyer est celui de tout dire" („Przyczyna nudy tkwi w chęci opowiedzenia wszystkiego"). Kielinger nie opowiada więc swoim czytelnikom wszystkiego o Churchillu, lecz wybiera te epizody z jego życia, które ukształtowały go i doprowadziły do miejsca, w którym mógł w pełni objawić swoje talenty.

Pamiętajmy bowiem, że myśl, iż to właśnie Churchill obejmie rządy po Neville'u Chamberlainie, wcale nie była oczywistością. Nowy premier mianował zresztą swoim zastępcą śmiertelnie już chorego Chamberlaina (zmarł pół roku później), ponieważ zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że poparcie dla niego w Izbie Gmin nie jest – delikatnie rzecz ujmując – murowane. Więcej – Churchilla właściwie nie chciano na stanowisku szefa rządu, ponieważ cieszył się on opinią politycznego awanturnika. Dlaczego tak go postrzegano i jak przekonał do siebie posłów, otwierając tym samym rozdział, dzięki któremu przeszedł do historii? O tym wszystkim w bardzo zajmujący i zwięzły sposób opowiada Thomas Kielinger. ©℗

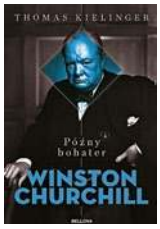

THOMAS KIELINGER
„WINSTON CHURCHILL. PÓŹNY BOHATER"
BELLONA

Piotr Włoczyk

Stulecia Międzymorza

Idea głosząca, że [...] utrwalenie polskiej państwowości [...] będzie powiązane z przebudową porządku w Europie Wschodniej i Środkowo-Wschodniej, a właściwie jest z nią nierozerwalnie związane – zwłaszcza w kontekście ograniczenia w niej pozycji i wyparcia wpływów Rosji i Niemiec – obecna była w polskiej myśli politycznej na długo przed wybuchem I wojny światowej" – pisze prof. Waingertner. Autor pochyla się nad ideą Międzymorza, ukazując dzieje tej myśli od czasów średniowiecza. Zwraca też uwagę na zmiany, które zachodziły w rozumieniu samego pojęcia. Ta geopolityczna koncepcja miała bowiem inny wymiar w czasach Polski szlacheckiej, inny w czasach zaborów, a jeszcze odmienny w dobie odradzającego się państwa polskiego w roku 1918. Zawsze jednak, bez względu na okres, w którym mowa była o budowie sojuszu państw i narodów Europy Środkowo-Wschodniej, kluczowe było dlań ograniczenie i/lub wyparcie wpływów Rosji i Niemiec – dwóch państw zagrażających utrzymaniu silnej polskiej (i nie tylko polskiej) państwowości. Międzymorze to idea często pojawiająca się w dzisiejszej debacie publicznej. Warto mieć świadomość, jak długą – a czasami krętą – drogę przeszła ta koncepcja. ©℗

Anna Szczepańska

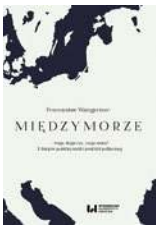

PRZEMYSŁAW WAINGERTNER
„MIĘDZYMORZE. WIZJA, ILUZJA CZY... RACJA STANU?"
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

eprasa.pl 434f19b026

Zbrodnia COP Jaworzno

Zorganizowany przez polskie władze komunistyczne Centralny Obóz Pracy w Jaworznie był miejscem, gdzie w czasie trwania akcji „Wisła" oraz po jej zakończeniu trafiło wielu Ukraińców. COP Jaworzno istniał od 1945 r., a jego pierwszymi więźniami byli Niemcy mieszkający na terenie powiatu chrzanowskiego oraz Ślązacy, którzy w okresie okupacji przyjęli niemiecką listę narodowościową i jako volksdeutsche zostali uznani za „zdrajców narodu polskiego" i poddani represjom. Poza tą grupą stanowiącą 90 proc. więźniów Jaworzna pozostałe 10 proc. ulokowanych tam ludzi było niemieckimi jeńcami wojennymi.

Warunki bytowe panujące w obozie były bardzo trudne. Niewielka ilość pożywienia przydzielana więźniom, powodująca osłabienie i podatność na choroby, a także brutalność strażników powodowały wysoką śmiertelność. Od marca do grudnia 1945 r. śmierć w obozie poniosło aż 5109 osób, a w roku 1946 liczba ta zmniejszyła się do 796. Pierwszy transport z 17 więźniami ukraińskimi przybył do COP Jaworzno 9 maja 1947 r. ze stacji w Oświęcimiu, która jako Punkt Odżywczo-Sanitarny w Katowicach stała się miejscem, gdzie dokonywano selekcji Ukraińców przeznaczonych do deportacji do jaworzańskiego „przejściowego obozu dla podejrzanych Ukraińców".

Decyzja o jego powstaniu zapadła na posiedzeniu Biura Politycznego PPR 23 kwietnia 1947 r., a więc pięć dni przed rozpoczęciem akcji „Wisła". Dzień później pododdziały komunistycznego (L)WP, KBW, UB i MO rozpoczęły akcję masowych aresztowań ukraińskich cywilów, księży prawosławnych i greckokatolickich, członków ukraińskiej inteligencji, ludzi powiązanych rodzinnie z osobami działającymi w strukturach OUN-UPA, współpracowników podziemia ukraińskiego, w tym także Polaków. Od lipca 1947 r. do obozu zaczęli trafiać Ukraińcy „nielegalnie" powracający na tereny objęte akcją „Wisła". Rozkaz w tej sprawie wydał kolaborujący z komunistami przedwojenny oficer WP, główny dowódca Grupy Operacyjnej „Wisła" gen. Stefan Mossor.

W COP Jaworzno przebywało od maja 1947 r. do marca 1949 r. 3936 Ukraińców. Spośród nich 162 zmarło (w tym pięć kobiet i troje dzieci). Spora część więźniów podczas pobytu w Jaworznie poddawana była przesłuchaniom połączonym ze stosowaniem tortur. Takimi metodami posługiwała się specjalna grupa funkcjonariuszy UB skierowana do obozu i nazywana Grupą Śledczą MBP w COP Jaworzno. Celem jej działalności było „wyłowienie" z grona osadzonych osób, które współpracowały z UPA. Ci, którzy się do tego przyznali, przekazani zostali do dyspozycji Wojskowego Sądu Rejonowego w Krakowie. Ów sąd skazał 558 osób na kary pozbawienia wolności oraz na karę śmierci (na 50 osobach wykonano wyroki śmierci, a dalszych 20 zmarło podczas odbywania kary pozbawienia wolności).

Komunistycznym śledczym nie zawsze udawało się rozpracować ludzi współdziałających z ukraińskim podziemiem. Przykładem takim była urodzona w 1925 r. Olga Witiak. Do obozu przybyła 16 lipca 1947 r. z aresztu Grupy Operacyjnej WP w Nowym Sączu. W podziemiu nosiła pseudonim Oksana i była łączniczką oraz sanitariuszką I Rejonu kierowanego przez Mychajłę Fedaka „Smyrnego". Witiak po zwolnieniu z obozu 5 stycznia 1948 r. kontynuowała swoją wcześniejszą podziemną działalność. Niestety, jej życie zakończyło się tragicznie 28 marca 1948 r. Tego dnia zginęła wraz ze swoim narzeczonym Iwanem Barnowskim „Krukiem" w kryjówce zbudowanej w lesie nieopodal Milika. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

EUGENIUSZ MISIŁO
„OBÓZ JAWORZNO. ZBRODNIA NIEUKARANA"
WYDAWNICTWO ARCHIWUM UKRAIŃSKIE

HISTORYCZNE BITWY

Rzymianie kontra Etruskowie

Zdobycie Wejów, etruskiego miasta-państwa, było najważniejszym wydarzeniem w dziejach podboju Etrusków przez Rzymian. Autor opisuje stuletnie zmagania Rzymu i odległych o zaledwie 17,5 km Wejów, wskazując, że agresorem byli Rzymianie. Powodem zaś ataku na Weje była chęć zagarnięcia salin u ujścia Tybru oraz etruskiego miasta Fideny, które kontrolowało szlaki prowadzące ku środkowi i południowi Półwyspu Apenińskiego. W 492 r. p.n.e. rozpoczęły się walki graniczne, a później były trzy wojny, w których raz Weje, raz Rzym odnosiły zwycięstwa. Autor zwraca uwagę na to, że przyczyną porażek Rzymian bywały niesnaski wśród dowodzących rzymską armią, a Wejów – brak solidarności i pomocy ze strony pozostałych miast-państw etruskich.

W 396 r. p.n.e. Rzymianie skutecznie oblegli Weje. Szturmowali mury miasta, ten bój miał odciągnąć uwagę etruskich obrońców od innych działań: Rzymianie drążyli podkopy, którymi dostali się do środka miasta i uderzyli od tyłu na Etrusków. Zwycięstwo było całkowite. Daniel Gazda podkreśla, że opanowanie Wejów było pierwszym wielkim podbojem dokonanym przez republikę rzymską, jej terytorium powiększyło się dwukrotnie, a łupy były takie, że zabezpieczyły materialnie obywateli rzymskie na jedno, a może dwa pokolenia. ©℗

Tomasz Stańczyk

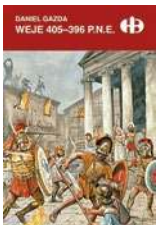

DANIEL GAZDA
„WEJE 405–396 P.N.E."
BELLONA

eprasa.pl 434f19b026

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Kultura przegrywów

/ Gdziekolwiek potrzeba wzorca przedsiębiorcy, tam wpycha się Wokulskiego. **Niezrealizowanego naukowca, który w pieniądze się wżenił**

Tadeusz Boy-Żeleński zwracał w jednym ze swych esejów uwagę, że przeciętny pisarz francuski – miał oczywiście na myśli wielkich pisarzy XIX i początków XX w. – pytany o swe pochodzenie odpowiadał, że ojciec był sklepikarzem, fryzjerem, rzeźnikiem, generalnie typowym „bourgeois". A dziadek? Dziadek stróżem, wozakiem, niekiedy robotnikiem rolnym. Natomiast pisarz polski na analogiczne pytanie odpowiadał: ojciec, zanim go nie utracił i nie musiał się przenieść do miasta, gospodarował w odziedziczonym majątku ziemskim, a dziadek, „o, dziadek to, ho, ho, na trzech folwarkach siedział!". Tę obserwację podchwycił Adam Heydel, najwybitniejszy, obok Romana Rybarskiego, z naszych ekonomistów międzywojnia i dlatego niechętnie dziś pamiętany, przybijając bezlitosną pointę: dlatego kultura francuska (można dodać, że w ogóle kultura zachodnioeuropejska tych czasów) była kulturą dorobkiewiczów, nasza zaś kulturą utracjuszy.

Święte słowa, panie profesorze. Na dowód w jednym ze swych filmików na YouTube (nagrywam taki cykl „Z mojej półki", o ulubionych lekturach i w ogóle o literaturze, o dziwo, okazało się nawet, że to, co wydawało mi się czysto prywatnym dziwactwem, zyskało sporą popularność) pozwoliłem sobie zestawić dwóch bohaterów naszych powieściowych arcydzieł: Stefana Wokulskiego z „Lalki" i Karola Borowieckiego z „Ziemi obiecanej". Obaj niby biznesmeni, ale tylko w wypadku drugiego wiemy, na czym jego biznes polega i czemu zawdzięcza on bogactwo. Borowiecki tyra po całych dniach, jeśli akurat nie romansuje, widzimy go stale biegającego między kantorem a halą fabryczną, między drukarnią a suszarnią, podpisującego i analizującego weksle, sprawdzającego dyskonta i wiarygodność kontrahentów; nawet całe jego życie towarzyskie, przyjęcia czy wyjścia do teatru, jest tylko częścią uporczywych starań o realizację wytkniętego celu: zbudowania własnej fabryki. Nawet gdy – uwaga, powieść toczy się zupełnie inaczej niż film Wajdy – fabryka płonie, prawdopodobnie w ramach szwindli cwanego i krańcowo nielojalnego wspólnika Moryca Welta, i wydaje się, że cały życiowy plan idzie w gruzy, Borowiecki podnosi się, dochodzi do milionów (ciężką pracą, nie tylko poprzez małżeństwo!), a gdy już je zdobywa, postanawia poświęcić się działalności społecznej dla dobra ogółu.

Przecież to ideał, fantastyczny, kulturowy wzorzec przedsiębiorcy i „self-made mana". I co z nim zrobiliśmy? Został z naszej kultury kompletnie wypchnięty. Gdziekolwiek potrzeba wzorca przedsiębiorcy, tam wpycha się Wokulskiego. Niezrealizowanego naukowca, który w pieniądze się wżenił, rozmnożył je, poza akcją powieści, jakimiś spekulacjami, które Prus, tak w innych sprawach akuratny, każe nam przyjąć na wiarę, a potem już tylko trwoni majątek, by za wszelką cenę wkupić się w łaski klasy próżniaczej.

Wiek XIX ukradł nam polityczną dojrzałość, klasę średnią i okazję wyrobienia demokratycznych nawyków – to zauważył już Dmowski. Ale jest jeszcze gorzej: ukradł nam też kulturę doceniającą dorabianie się. Bo choć pełno w nim było polskich przedsiębiorców, milionerów („Poczet przedsiębiorców polskich" wydany przez Warsaw Enterprise Institute i Fundacje XBW Krasickiego, polecam bardzo) – to dziedzictwo kulturowe określili przegrani, „wysadzeni z siodła" inteligenci o szlacheckich korzeniach, szczerze gardzący dorobkiewiczami i parweniuszami. ©℗

eprasa.pl 434f19b026

Piotr Semka

/ Felieton

Wolność, kocham i rozumiem...

Najważniejszym punktem wizyty prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego 5 kwietnia br. było jego przemówienie na placu Zamkowym. Przemówienie gościa z Kijowa zwróciło uwagę wielu Polaków z racji zrozumienia fenomenu polskiego etosu wolności. „Znamy się – mówił Zełenski. – Ukraińcy i Polacy, znamy się od dawna. [...] Kieruję do was słowa wdzięczności i siły. Wdzięczności, bo nie ma już takich momentów, kiedy byliśmy osobno. Kiedy nie byliśmy zjednoczeni. Nie ma już takiej siły, która przeważyłaby nad braterstwem ukraińsko-polskim. Dzięki temu spełnią się słowa: co nam obca przemoc wzięła, szablą odbierzemy". I jeszcze jedno zdanie: „Na tym wspaniałym placu i na każdym innym polskim placu, jak również na wszystkich majdanach ukraińskich, nigdy nie będzie Rosji po naszym zwycięstwie. Im więcej wolności będziemy mieli, tym więcej gwarancji, że nasz wspólny wróg będzie ponosił odpowiedzialność za Bykownię i Buczę, za Katyń i Smoleńsk do końca życia".

Polacy mają coś w rodzaju psychologicznego czujnika, który potrafi wyczuć, kiedy nasze emocje spotykają się z emocjami innych narodów. Tak było w 1956 r., kiedy niektórzy Polacy przedzierali się przez Czechosłowację na Węgry. I tak było w 2013 r., gdy wielu polskich dziennikarzy jechało na kijowski Majdan, aby oddychać atmosferą wolności przeciwko despotyzmowi, który symbolizował tam sługus Moskwy Wiktor Janukowycz. I ten sam duch pożądania wolności powodował, że Polacy tak masowo zrozumieli potrzebę zaopiekowania się wygnanymi przez wojnę kobietami i dziećmi z Ukrainy.

Ktoś powie, że to normalna reakcja przedstawiciela kultury zachodniej na moskiewski despotyzm. Doprawdy?

Oto na Twitterze jeden ze Szwedów mieszkający na stałe w Berlinie zupełnie przypadkowo zauważył, co jego córka musi czytać w podręczniku do IX klasy wiedzy o społeczeństwie wydanym przez land Brandenburgia. Książka opisuje wojnę na Ukrainie w sposób, który wprawił go w osłupienie. W podręczniku przedstawiono Ukrainę podzieloną na dwie połówki, z których rzekomo jedna, zachodnia, część ma wolę niepodległości i zachowała język ukraiński, natomiast druga część, wschodnia, przedstawiona jest jako siedziba ludności „prorosyjskiej", używającej też mowy Puszkina.

To opinie mocno zestarzałe. Okrucieństwo Putina pchnęło większość ludności wschodniej Ukrainy ku bardzo jednoznacznej proukraińskości i gotowości do walki o swoją niepodległość. Ale jeszcze bardziej zdumiewająca był reprodukowana w szkolnym podręczniku karykatura prasowa. Na rysunku widzimy, jak Wuj Sam w amerykańskim pasiastym cylindrze i rosyjski niedźwiedź rozrywają dziewczynkę w żółto-niebieskich barwach Ukrainy.

Przerażona dziewczynka patrzy ze zgrozą zarówno na Amerykę, jak i na Rosję. I właśnie ta karykatura doskonale opisuje myślenie Niemców, które zaczęło się w latach 60. i trwa do dziś. Tamtejsza lewica, która zwyciężyła w bitwie o niemieckie myślenie zbiorowe po 1968 r., nie postrzegała zimnej wojny jako konfliktu wolnego świata przeciwko sowieckiej tyranii. Spojrzenie zachodnich Niemców sytuowało RFN jako igraszkę dwóch szaleńców posiadających dostęp do guzików atomowych, z których jeden rezydował w waszyngtońskim Białym Domu, a drugi na Kremlu. Z tej perspektywy rok 1989 i upadek komunizmu był raczej końcem odpychającej gry, w której świat ocierał się o wojnę atomową, a nie zwycięstwem demokracji.

> / Unia Europejska na czele z Francją i Niemcami **miała wejść w trwałą symbiozę z Rosją.** A Ameryka? Nie była już potrzebna...

Co więcej, przemiana Związku Sowieckiego w demokratyczną Rosję była wręcz epokową okazją do tego, by z tą nową Rosją tworzyć symbiozę ekonomiczną na zasadzie: niemiecka technologia w zamian za tanie rosyjskie surowce. A Ameryka? Ta już w opinii wielu Niemców nie była potrzebna w Europie. Unia Europejska na czele z Francją i Niemcami miała wejść w trwałą symbiozę z Rosją, a amerykańskie bazy na niemieckiej ziemi uznano za „relikty zimnej wojny".

Ministrem oświaty w landzie Brandenburgia, gdzie obowiązuje opisany już podręcznik, jest żona obecnego kanclerza Olafa Scholza pani Britta Ernst. Czyżby był to przypadek? Nie sądzę, jak mawia klasyk. ©℗

eprasa.pl 434f19b026

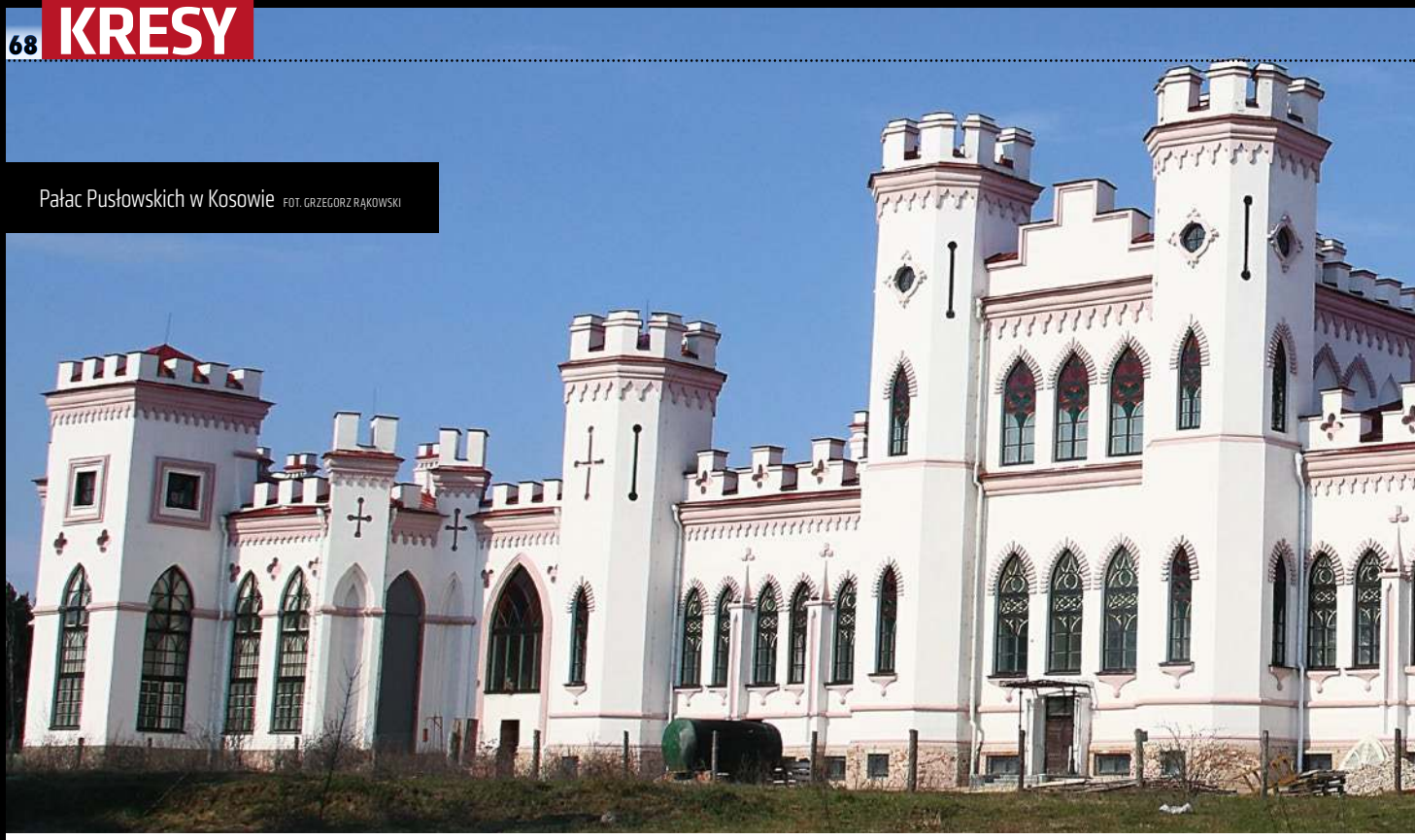

Pałac Pusłowskich w Kosowie FOT. GRZEGORZ RĄKOWSKI

1863–1864 i 1939–1944 / Grodzieńszczyzna i Polesie

Ojczyzna Kościuszki, Orzeszkowej i Traugutta

Tomasz Stańczyk

Bohaterami dzieła „Kresowe rezydencje" są nie tylko pałace i dwory, lecz także ich właściciele oraz ich dramatyczne często losy

Gdy sześć lat temu ukazał się pierwszy tom „Kresowych rezydencji" Grzegorza Rąkowskiego (wyd. IPN), przedstawiający zamki, dwory i pałace w przedwojennym województwie wileńskim, nie wahałem się wówczas stwierdzić, że mamy do czynienia z początkiem wielkiego dzieła. Autor zamierzał bowiem opisać kresowe rezydencje na terenie wszystkich kresowych województw wschodnich II Rzeczypospolitej.

Podejmując taką pracę, Grzegorz Rąkowski stał się następcą i kontynuatorem wielkiego, wielotomowego dzieła

eprasa.pl 434f19b026

Romana Aftanazego: „Dzieje rezydencji na dawnych Kresach Rzeczypospolitej". Aftanzy, pracownik lwowskiego – a po wojnie wrocławskiego – Ossolineum, przez dziesięciolecia gromadził dokumentację dotyczącą pałaców i dworów na Kresach Wschodnich, w granicach przedrozbiorowych. Wiele informacji uzyskał, prowadząc korespondencję z ostatnimi właścicielami kresowych rezydencji i z ich rodzinami. Praca ta była jego prywatną pasją. Nie mógł oczywiście w latach komunizmu w Polsce wykonywać jej w ramach etatu. Pałace, dwory, ziemiaństwo na Kresach były tematami właściwie zakazanymi. Jednak waga dzieła Aftanazego była taka, że Instytut Sztuki PAN zdecydował się w latach 80. na jej wydanie. Cenzura pozwoliła na to, ale praca Aftanazego mogła się ukazać jedynie pod tytułem niezdradzającym, których terenów dotyczy. Tytuł zatem brzmiał: „Materiały do dziejów rezydencji". Co więcej, tę wielotomową publikację wydano niemal na powielaczu i w nakładzie zaledwie 500 egzemplarzy. Oczywiście nie trafiła ona do księgarń. Dopiero po przełomie 1989 r. ponownie ukazało się dzieło Aftanazego, tym razem pod właściwą nazwą: „Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej".

Pałac Niemcewiczów w Skokach FOT. GRZEGORZ RĄKOWSKI

W 2017 r., podczas promocji pierwszego tomu „Kresowych rezydencji", Grzegorz Rąkowski mówił, że Roman Aftanazy jest dla niego wzorem niedoścignionym. Znał go i korespondował z nim. W jednym z listów Aftanazy wyraził nadzieję, że ktoś będzie kontynuował jego dzieło. Widział w Rąkowskim swego następcę i podarował mu część swoich książek.

Grzegorz Rąkowski był świetnie przygotowany do tej roli, choć nie jest ani historykiem, ani historykiem sztuki, lecz biologiem – pracował w Instytucie

eprasa.pl 434f19b026

Ochrony Środowiska. Jednak od lat jeździł na dawne Kresy Wschodnie, był autorem wielu znakomitych przewodników po tych ziemiach. Jego pierwszą kresową pozycją był „Ilustrowany przewodnik po zabytkach Białorusi", wydany w 1997 r.

Aftanazy opisywał kresowe rezydencje według stanu, jaki istniał przed 1939 r. Nie pisał, co się stało z nimi i ich właścicielami w latach drugiej wojny światowej i w następnych dziesięcioleciach, a także jaki był los pałaców oraz dworów za czasów Związku Sowieckiego. A losy większości z nich były dramatyczne. Te, które przetrwały, są właściwie bez wyjątku architektonicznymi wydmuszkami. Z ich wnętrz zniknęły bowiem meble, dzieła sztuki, księgozbiory, archiwa. Zostały zniszczone, rozproszone, jakaś część jest w muzeach i bibliotekach na Białorusi, Litwie i Ukrainie.

Ambicją Grzegorza Rąkowskiego było przedstawienie losów rezydencji po 1939 r., pokazanie, co się z nimi od tego roku działo i jaki jest ich stan obecnie. Dlatego też można go nazwać kontynuatorem dzieła Aftanazego. Pierwszy tom „Kresowych rezydencji" był rezultatem podróży autora na dawne kresy w latach 2015–2016. Kontynuował je w następnych latach, a plonem tych wypraw był drugi tom (województwo nowogródzkie). Obecnie ukazał się tom trzeci, w którym autor opisuje oraz przedstawia na swoich fotografiach zamki, pałace i dwory w województwie poleskim oraz z tej części województwa białostockiego drugiej Rzeczypospolitej, która obecnie znajduje się na Białorusi. Są to ziemie Grodzieńszczyzny i Polesia.

Losy domów i ludzi

Grzegorz Rąkowski opisał w tomie trzecim 150 miejsc, w których znajdowały się na tych terenach ziemiańskie rezydencje. Skalę zniszczeń – głównie w latach dwóch wojen światowych, czasach sowieckich – ilustruje to, że spośród 150 miejsc mniej niż w połowie (70) zachowały się pałace i dwory. A z tych 70 ocalałych tylko nieco więcej niż połowa znajduje się w dobrym stanie. Niestety, pałace i dwory znikały z powierzchni ziemi także po upadku Związku Sowieckiego. Jak stwierdza autor, upadek ZSRS paradoksalnie pogorszył stan wielu zabytków. Zlikwidowane zostały bowiem kołchozy i sowchozy, a ich biura wyprowadziły się z dworów i pałaców, skazując je tym samym na dewastację, często prowadzącą do śmierci technicznej i rozbiórki. Niektóre z rezydencji kupili prywatni właściciele – uderzające, że są to głównie Rosjanie – lecz nie zawsze podejmują oni prace remontowe. Są jednak przykłady udanych renowacji zabytków, jak np. pałac Niemcewiczów w Skokach. Są też plany podniesienia z ruin wspaniałego pałacu Sapiehów w Różanie, zapoczątkowane restauracją budynku bramnego.

Rekonstrukcja dworu Tadeusza Kościuszki w Mereczowszczyźnie FOT. GRZEGORZ RĄKOWSKI

„Kresowe rezydencje" to jednak nie tylko dzieje miejsc, w których znajdowały się pałace i dwory, nie tylko opis ziemiańskich siedzib, ich wnętrz, znajdujących się w nich kolekcji dzieł sztuki, bibliotek i archiwów. To także – i jest to wielka wartość dzieła – opowieść o właścicielach rezydencji, szczególnie o ich dramatycznych losach w latach powstania styczniowego i w czasie drugiej wojny światowej, okupacji sowieckiej i niemieckiej.

Na stronach trzeciego tomu spotykamy takie postacie jak: Eliza Orzeszkowa, Romuald Traugutt, Tadeusz Kościuszko, Julian Ursyn Niemcewicz, Napoleon Orda, Franciszek Karpiński, Maria Rodziewiczówna, Józef Ignacy Kraszewski. Te nazwiska pokazują dobitnie, jak wielu wybitnych Polaków, twórców kultury, wydały wschodnie ziemie kresowe Rzeczypospolitej.

Nieistniejący dziś pałac Czartoryskich w Wołczynie był w XVIII w. jednym z centrów życia politycznego, kulturalnego oraz towarzyskiego. Podobnym ogniskiem kultury był w XIX stuleciu dwór Tyszkiewiczów w Świsłoczy, który przetrwał burze dziejowe. Bywali tam Franciszek Karpiński i Julian Ursyn Niemcewicz. Wincenty Tyszkiewicz ufundował w 1804 r. w miasteczku słynne gimnazjum (zachował się korpus boczny budynku), którego uczniami byli Romuald Traugutt, Józef Ignacy Kraszewski i Konstanty Kalinowski, bohater narodowy Białorusinów. W Augustówku pod Grodnem (dziś w granicach miasta) był dwór Stanisława Augusta, który spłonął podczas pierwszej wojny światowej. Właściele majątku – rodzina O'Brien de Lacy – przebudowali karczmę na nowy dwór. Literatka Nadzieja O'Brien de Lacy prowadziła w nim w latach międzywojennych salon literacki,

Fasada zrujnowanego dworu w Nemejkach FOT. GRZEGORZ RĄKOWSKI

eprasa.pl 434f19b026

a gościli w nim Zofia Nałkowska, Maria Dąbrowska oraz Stanisław Ignacy Witkiewicz. Autor „Kresowych rezydencji" pisze także o tych ziemianach, którzy byli pionierami nowatorskich metod upraw i hodowli.

Rok 1863

Rosyjskie represje – konfiskaty majątków i zesłania ich właścicieli – po powstaniu styczniowym były ciężkim ciosem w polskość na Grodzieńszczyźnie i Polesiu. Szostaków to miejsce urodzenia Romualda Traugutta. Autor przywraca naszej pamięci osobę właściciela tego majątku – Apolina Hofmeistera, zaprzyjaźnionego z Trauguttem naczelnika wojennego województwa brzesko-litewskiego podczas powstania. Jego dobra w Szostakowie zostały skonfiskowane, a on sam został zesłany w głąb Rosji. Metalowy krzyż i kamień upamiętniają w Szostakowie Traugutta. Dwór oficjalisty, w którym się urodził, nie istnieje, spłonął po 1945 r. Traugutt po ślubie z Antonią Kościuszkówną zamieszkał w odziedziczonym majątku w Ostrowiu. Po upadku powstania dwór i zabudowania gospodarcze spalono na rozkaz osławionego gubernatora wileńskiego Michaiła Murawjowa „Wieszatiela".

Traugutt dwukrotnie ukrywał się u Elizy Orzeszkowej, we dworze w Ludwinowie. Mąż Orzeszkowej został skazany na zesłanie, tak jak jego brat – Florenty Orzeszko, który był lekarzem w oddziale Traugutta. Majątek został poddany przymusowej sprzedaży, trafił w ręce rosyjskie, gdyż Polacy nie mogli kupować ziemi. Orzeszkowa po rozstaniu się z mężem mieszkała we dworze w Milkowszczyźnie – gdzie się urodziła – i to tam napisała wiele swoich powieści. Dwór rozebrany został w latach sowieckich. Reliktem po majątku jest aleja dwustuletnich drzew, a pisarkę upamiętnia kamień z tablicą. Gdy Orzeszkowa zamieszkała w Grodnie, lubiła spędzać lato w Miniewiczach – wynajmowała dom w majątku należącym do Jana Kamieńskiego. Został on zesłany po powstaniu styczniowym, powrócił do Miniewicz w 1887 r.

Zesłani zostali także rodzice Marii Rodziewiczówny, właściciele Pieniuhy.

GRZEGORZ RĄKOWSKI
„KRESOWE REZYDENCJE" TOM 3
IPN

Rosjanie poczekali tylko, aż Amelia Rodziewicz urodzi córkę. Przyszłą pisarkę wychowywali przez kilka lat krewni. Majątek został skonfiskowany; dwór, w którym – jak przypuszcza autor – znajdują się mury dworu Rodziewiczów, popadł w ruinę już w XXI w. Maria Rodziewiczówna mieszkała od 1887 r. aż do jesieni 1939 r. w odziedziczonym majątku w Hruszowej – tu pisała swoje liczne, cieszące się popularnością powieści. Dwór zbudowany przez jej dziadka się zachował, ale po barbarzyńskiej przebudowie w czasach sowieckich jest kompletnie nie do poznania. Nadal rośnie w Hruszowej kilkusetletni dąb „Dewajtis", pod którym znajduje się tablica upamiętniającą pisarkę.

Grzegorz Rąkowski pisze także o losach świątyń po powstaniu styczniowym. Kościół w Brzostowicy Wielkiej z XVIII w. został zamieniony w cerkiew; dziś jest to ruina po pożarze w latach 90. minionego wieku. W cerkiew zamieniono również kościół w Wołczynie, w którym – po powtórnym uczynieniu go świątynią katolicką – pochowano w 1938 r. Stanisława Augusta. Kościół wołczyński zamienił się w ciągu następnych dziesięcioleci w ruinę, jednak w latach 2009–2020 został wspaniale odbudowany, w dużej mierze dzięki funduszom z Polski, nie tylko jako miejsce pochówku ostatniego króla Rzeczypospolitej, lecz także dlatego, że jest to – jak pisze Grzegorz Rąkowski – wybitne dzieło architektury europejskiej.

Wrzesień 1939 r.

Na wieść o napaści Związku Sowieckiego na Polskę 17 września 1939 r. rozpoczęły się mordy na polskich ziemianach dokonywane przez komunistyczne bandy złożone z Białorusinów i Żydów.

Ziemian zabijano z wyroku „sądów ludowych" lub „komitetów rewolucyjnych" – albo też i bez nich. W pałacu w Mołodowie mieszkali Henryk Skirmunt i jego siostra Maria. Zostali zamordowani przez miejscowych białoruskich chłopów, a pałac w 1943 r. spalili sowieccy partyzanci. Okoliczna ludność rozebrała jego mury na cegłę, natomiast drzewa w parku wycięto. Zachowała się kaplica grobowa Skirmuntów. Zamordowani jednak tam nie spoczywają. Staraniem białoruskiego dziennikarza z Pińska prawdopodobne miejsce ich śmierci – a może też grób w lesie niedaleko pałacu – zostało upamiętnione krzyżem.

W pałacu w Porzeczu mieszkał Roman Skirmunt – w 1918 r. premier Białoruskiej Republiki Ludowej – wraz z siostrą Heleną i jej mężem Bolesławem. W październiku 1939 r. „sąd ludowy" skazał Romana i Bolesława na śmierć, po czym ich zabito. Tragiczne były losy Heleny Skirmunt. W latach niemieckiej okupacji mieszkała w pałacu, w którym ulokowało się kasyno dla oficerów Wehrmachtu. W 1943 r. sowieccy partyzanci napadli na pałac i wszystkich znajdujących się w nim, także Helenę Skirmunt, torturowali, a następnie zamordowali. Spalony pałac rozebrano na cegłę. Rok później inni sowieccy partyzanci spalili wspaniały neogotycki pałac Pusłowskich w Kosowie i dwór Kościuszki w sąsiedniej Mereczowszczyźnie. Pałac odzyskał w ostatnich latach świetność, a dwór został 20 lat temu zrekonstruowany od podstaw.

Ofiarami komunistycznych zbrodni padli jesienią 1939 r. także Klemens i Kazimierz Strzałkowscy mieszkający we dworze w Miniewiczach. Klemens był synem Franciszka Strzałkowskiego, pierowzoru Anzelma Bohatyrowicza z „Nad Niemnem". Pozostałych mieszkańców dworu ocaliła interwencja mieszkańców sąsiednich Bohatyrowicz.

W Rogoźnicy zachował się dwór, w którym młode lata spędził January Suchodolski, znany malarz batalista, uczestnik powstania listopadowego. Jego brat Rajnold zmarł z ran odniesionych w bitwie pod Ostrołęką. Ostatnim właścicielem dworu był Oskar Meysztowicz, teść znanego publicysty Ksawerego Pruszyńskiego. Meysztowicz został zamordowany przez komunistyczną białoruską bandę. Istnieje również dwór Wysłouchów w Pirkowiczach, jednak bez biblioteki, którą spalono jesienią 1939 r. na oczach właściciela – Antoniego Wysłoucha. Został on aresztowany przez NKWD i ślad po nim zaginął.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 434f19b026

570. rocznica / Kres Cesarstwa nad Bosforem

„Upadek Konstantynopola". Obraz z muzeum Panorama 1453 w Stambule

FOT. ADOBE STOCK

Zagłada Konstantynopola

Słyszeliście o mieście, które z jednej strony ma za sobą ląd, a z dwóch innych morze? Powiedzieli oni: »O tak, wysłanniku Boga«. Rzekł Prorok: »Nie nadejdzie godzina Sądu, dopóki nie zostanie ono zdobyte przez siedemdziesiąt tysięcy synów Izaaka. Gdy staną pod jego murami, walczyć będą nie orężem i machinami miotającymi, lecz słowami: Nie ma Boga oprócz Allacha, a Allach jest wielki. Wówczas zawali się jedna strona murów od morza, a za drugim razem druga, a za trzecim zawali się mur od lądu. I radując się, wkroczą oni do miasta«".

Anna Szczepańska

„Jeśli można mówić o chwili, w której Bizancjum przestało istnieć, nadeszła ona wraz z ostatnim uderzeniem tureckiej siekiery o drzwi Hagia Sopfia" – pisał świadek tamtych wydarzeń Nicolo Barbaro

O zdobyciu Konstantynopola marzyły kolejne pokolenia osmańskich sułtanów. Miasto nad Bosforem, jak wierzono w stolicy imperium Osmanów Adrianopolu, było im obiecane przez samego Mahometa. Zacytowaną powyżej przepowiednię o zbrojnym zajęciu miasta przekazywało wielu islamskich dziejopisów. Znał ją także Mehmed II, nazwany później Zdobywcą.

eprasa.pl 434f19b026

Choć krótko po objęciu tronu Mehmed II obiecywał bizantyńskim posłom, że „do końca życia pozostanie w pokojowych stosunkach z Konstantynopolem i cesarzem Konstantynem", to już w tym samym roku (1451) z jego rozkazu przystąpiono do budowy twierdzy w zachodniej części cieśniny Bosfor. Powstawała ona naprzeciwko istniejącej już wcześniej warowni Anadolu Hisar. Nowa twierdza otrzymała nazwę Rumeli Hisar, lecz Grecy określili ją po prostu jako „Nóż na gardle". W istocie jej budowę można było uznać za kolejny gwóźdź do trumny Cesarstwa. Osmanowie już wcześniej kontrolowali w pewnym stopniu przeprawę przez cieśninę. Po powstaniu Rumeli Hisar zyskali jednak pełen wpływ na to, kto i z jakim towarem wpływał i wypływał z Morza Czarnego. Wszelkie protesty płynące z Konstantynopola były przez sułtana lekceważone.

Cesarscy posłowie, którzy przybyli do Adrianopola, aby wyrazić swój sprzeciw wobec budowy Rumeli Hisar, zostali bezceremonialnie odprawieni. Mieli przekazać Konstantynowi XI tylko jedną wiadomość: „Poddaj miasto albo stań do walki". Zamiary Mehmeda II stały się aż nadto jasne. Konstantynopol musiał szykować się na uderzenie.

Ostatni cesarz

W chwili narodzin Konstantyna XI Paleologa (1405) Cesarstwo Bizantyńskie było tylko cieniem swojej dawnej potęgi. Wciąż jednak blask minionych wieków odbijał się w bizantyńskiej sztuce i nauce. Terytorium Cesarstwa ograniczone było de facto do miasta Konstantynopol oraz kilku posiadłości na Peloponezie, ponieważ Bizancjum kurczyło się od czasów czwartej krucjaty i splądrowaniu Konstantynopola przez łacinników. Choć w 1261 r. miasto odzyskał bizantyński cesarz Michał VIII Paleolog, to już nigdy nie powrócił do niego dawny splendor.

Konstantyn XI został ogłoszony cesarzem w marcu 1449 r. Oprócz problemów z rosnącą ekspansją Osmanów musiał zmierzyć się także z kłopotami wewnętrznymi. Od lat bowiem Cesarstwem targał konflikt na tle religijnym. Część dostojników i możnych, których można określić jako pragmatyków, dążyła do unii z Kościołem zachodnim, widząc w tym jedyną szansę na uzyskanie pomocy militarnej i ocalenie Cesarstwa przed niechybną zgubą. Inni nie zgadzali się jednak na żaden kompromis wobec papieża i Rzymu.

Konstantyn XI wierzył, że podpisana w 1439 r. kościelna unia florencka wystarczy, aby Zachód ruszył na pomoc zagrożonemu miastu. Jak się miało okazać – mylił się. Choć bazyleus słał poselstwa, prosząc o pomoc w niemal każdym zakątku Europy: na Węgrzech, w Neapolu, Niemczech, Genui, Wenecji i Stolicy Apostolskiej, to na nic zdały się jego starania. Ojciec Święty Mikołaj V, choć faktycznie przejął się problemami Konstantyna, nie udzielił mu żadnej konkretnej pomocy. Król Niemiec Fryderyk III wysłał natomiast Mehmedowi II słowne pogróżki, którymi sułtan w ogóle nie zamierzał się przejmować.

Konstantynopol zyskał tylko skromną pomoc od garstki najemników. Bardziej wymiernego wsparcia udzieliła wyłącznie Wenecja, której szlaki handlowe zostały zagrożone przez politykę Mehmeda. Genua nie dostarczyła pomocy w sposób oficjalny. Na własny koszt przybyło nad Bosfor jedynie kilku genueńskich obywateli wraz z oddziałami zbrojnymi. Statek z żywnością wysłał natomiast Alfons Aragoński.

W całej Europie Konstantynowi nie do końca wierzono. Uważano go zresztą za heretyka, który wyolbrzymia problemy z sułtanatem. Poza tym nikt nigdy nie wziął murów Konstantynopola szturmem. Muzułmanie, jak wielu innych, stawali pod nimi nieraz, ale nigdy miasta nie zdobyli. Dlaczego teraz miałoby być inaczej?

Oblężenie Konstantynopola na obrazie Jeana Le Taverniera z XV w. FOT. WIKIPEDIA

Oblężenie

Od lutego 1453 r. trwały w mieście przygotowania do spodziewanego oblężenia. Bezcenna okazała się wówczas wiedza Genueńczyka Giovanniego Longo, specjalisty ds. fortyfikacji, wyznaczonego przez Konstantyna na dowódcę obrony Murów Teodozjusza.

Mury Konstantynopola były niezdobytą przez wieki fortyfikacją. Wewnętrzny mur miał 12 m wysokości, a zewnętrzny 8 m. Obydwa były gęsto obsadzone wieżami. Oddzielał je taras o szerokości 18 m, gdzie gromadzili się obrońcy. Taki sam taras znajdował się między zewnętrznym murem a fosą. Ta ostania, szeroka na 18 m,

eprasa.pl 434f19b026

była umocniona i zalewana wodą. Całe fortyfikacje poprzecinane były bramami, których nie spojono z murem, gdyż zapobiegało to pękaniu konstrukcji.

Mehmed II wyruszył ze swojej stolicy 23 marca w piątek, najświętszy dzień islamu, aby podkreślić „święty wymiar kampanii". Armia osmańska stanęła pod murami Konstantynopola 5 kwietnia 1453 r. Sułtan dysponował licznym wojskiem, choć część żołnierzy była po prostu zbieraniną awanturników z różnych części Azji, których przyciągnęła legenda bogactw stolicy Bizancjum. W skład doborowych oddziałów wchodzili natomiast janczarzy. To oni wywoływali największy strach. Mówiono, że żaden z nich nie boi się śmierci, a wszyscy walczą jak „dzikie bestie".

Sytuacja na polu bitwy prezentowała się dramatycznie. Widok sięgającego horyzontu morza ludzi przeraził nielicznych obrońców Konstantynopola. Naprzeciwko 10 tys. Bizantyńczyków i cesarskich najemników stanęła osmańska armia licząca nawet ponad 100 tys. żołnierzy. Turcy mieli do dyspozycji także ponad 120 okrętów pod dowództwem Bałta-ogłu Sulejmana Beja, a Bizancjum zaledwie 26 jednostek, spośród których część znajdowała się pod rozkazami Wenecjan. Od strony morza obronę miasta stanowiły mury oraz łańcuch, który w chwili zagrożenia przeciągano przez Zatokę Złoty Róg, co blokowało możliwość ataku Konstantynopola od północy. Do miasta najłatwiej było więc wkroczyć od strony lądu, rozbijając jedną z kilku bram w Murach Teodozjusza. To tam Turcy skoncentrowali swoje ataki, a Bizantyńczycy zgromadzili główne siły obronne.

Na początku, aby wywołać w przeciwniku wrażenie, że obrońców miasta jest znacznie więcej niż Turcy mogli przypuszczać, cesarz postanowił wykonać pewien manewr. Wszyscy zbrojni zebrali się za murami wzdłuż lądu, po czym przemieszczali się kilkakrotnie wzdłuż fortyfikacji. Z daleka można było odnieść wrażenie, że wciąż nowe oddziały wchodzą na mury. Takie marsze nie mogły jednak trwać w nieskończoność. W żądnych łupów Osmanach nie wywołały też większego strachu.

6 kwietnia 1453 r. cesarz Konstantyn XI przeniósł się w pobliże Bramy św. Romana, gdzie mury były najsłabsze. Pozostał na tym miejscu do końca oblężenia, cały czas blisko swoich żołnierzy. Bazyleus zdawał sobie sprawę, jak beznadziejnie prezentuje się sytuacja miasta. Całą nadzieję pokładał w niezdobytych murach Konstantynopola oraz w pomocy Matki Najświętszej, która zawsze czuwała nad bizantyńską stolicą.

Pierwszy szturm Osmanowie przeprowadzili 18 kwietnia. Wśród potężnego hałasu, krzyków i nieznośnego dźwięku kołatek i tamburynów muzułmanie próbowali wedrzeć się na mury. Bez skutku – szturm odparto. Dwa dni później Bizantyńczycy odnieśli mały sukces w walkach na morzu. „Modlitwy [Turków] do Mahometa nie były wystarczające, by dać im zwycięstwo, a Wiekuisty Bóg wysłuchał modlitw nas, chrześcijan" – skwitował w swojej kronice Nicolo Barbaro, wenecki lekarz, który był świadkiem oblężenia miasta.

Choć Osmanowie atakowali mury Konstantynopola potężnymi pociskami dzień i noc, to te (wciąż naprawiane) cały czas stawiały im opór. Mehmed II wiedział, że najprościej byłoby zaatakować miasto od północy, gdzie mury były słabsze, lecz wejścia do zatoki bronił łańcuch. Sułtan postanowił więc przeprawić statki lądem, na specjalnie skonstruowanych wozach, i wpuścić je na wody zatoki już za łańcuchem. Tak też uczynił. Akcja przenoszenia wrogich okrętów wywołała w całym Konstantynopolu wielki popłoch.

Od tamtej chwili co rusz dochodziło do starć pomiędzy turecką a bizantyńską flotą, która stacjonowała przy łańcuchu. Pomimo przewagi liczebnej Turkom trudno było jednak pokonać silne greckie i weneckie statki. Z tego względu sułtan zdecydował, aby część okrętów przeniosła się w górę zatoki, gdzie miały atakować miejskie mury.

7 maja nastąpiła kolejna próba szturmu na miasto. Atakowi od strony lądu towarzyszył potężny hałas czyniony przez załogi tureckich statków. Nikt w Konstantynopolu nie wiedział, czy wróg znalazł się już w mieście czy tylko pozoruje atak. Tureckie natarcie ponownie odparto. Sytuacja w Konstantynopolu była jednak coraz trudniejsza. Zaczęło brakować pożywienia, przybywało rannych, a morale obrońców słabło. Do obrony miasta zaangażowano wszystkich zdolnych do pracy. Kobiety i dzieci opatrywały rannych oraz nosiły kamienie, które ciskano na wdzierających się na mury Osmanów, a wszyscy mężczyźni, łącznie z księżmi i mnichami, z bronią w ręku, pilnowali długich konstantynopolitańskich fortyfikacji.

„Wkroczenie Mehmeda II do Konstantynopola". Obraz Jeana Benjamina-Constanta (1876) FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 434f19b026

Nie mogąc obalić murów miasta, Turcy decydowali się też na różne podstępy. Próbowali wysadzić fortyfikacje za pomocą podkopów. Wznieśli też potężną wieżę, która sięgała ponad mury Konstantynopola. Jej widok wywoływał podziw i przerażenie zarazem. „Nikt w Konstantynopolu nie wybudowałby czegoś tak wielkiego w ciągu miesiąca, a to zrobiono w jedną noc" – pisał Barbaro.

Na podkopy Bizantyńczycy znaleźli jednak odpowiedź. Jak relacjonował Giacomo Tetaldi: „Chrześcijanie kopali własne tunele, lokalizowali Turków, dusili ich dymem, a czasem cuchnącymi odorami. W kilku miejscach zatopili ich wodą".

Osmanowie mieli jednak jeszcze jedną „niespodziankę". Pod mury Konstantynopola sprowadzili największe działo, jakie kiedykolwiek widział chrześcijański świat. Wcześniej, przez lata, opracowywali natomiast proch o wyjątkowej sile wybuchu. Potężne działo, wyrzucające pociski ważące 500 kg, Bizantyńczycy nazwali „Bazyliką". Mehmed kazał ustawić je naprzeciwko Bramy św. Romana. Pozostałe działa rozstawiono wzdłuż murów w taki sposób, że każdej wielkiej armacie towarzyszyło kilka mniejszych. Takie „gromadki" tureccy kanonierzy określali „niedźwiedzicą z niedźwiadkami".

Ostatnia pieśń

Oblężenie się przedłużało. Obrońcy Konstantynopola byli zmęczeni, ale niezadowolenie dało się odczuć także w obozie tureckim. Janczarzy spodziewali się szybkiego sukcesu.

Zaćmienie Księżyca, ulewny deszcz i gęstą mgłę odczytywano w Konstantynopolu jako spełnienie przepowiedni o upadku miasta. 25 maja Mehmed wysłał do Konstantyna posłów niosących propozycję poddania miasta. Opuszczenie stolicy sugerowali cesarzowi także jego doradcy. Ten odmówił, odpowiadając, że „zostaje, aby umierać ze swoim ludem".

W nocy z 28 na 29 maja 1453 r. Osmanowie przygotowywali się do ostatniego szturmu. Po obozie rozesłano gończych z wieściami, że sułtan zezwala na trzydniowe grabienie miasta i obiecuje zaszczyty każdemu, kto odznaczy się męstwem. „Będziemy sprzedawać chrześcijan jako niewolników […], a z greckich bród zrobimy smycze dla naszych psów" – miał ogłosić Mehmed.

Konstantyn XI Paleolog

FOT. WIKIPEDIA

W tym samym czasie Konstantyn XI wygłosił ostatnią mowę do swoich poddanych, która była wedle angielskiego historyka Edwarda Gibbona „żałobną oracją na pogrzebie cesarstwa rzymskiego".

Szturm rozpoczął się 29 maja o godz. 1.30. Pierwsi zaatakowali chrześcijańscy poddani sułtana, po nich ruszyli baszybuzucy, a za nimi janczarzy. Turcy nacierali także od strony Złotego Rogu.

Walki trwały kilka godzin, gdy nagle ujrzano osmańską flagę powiewającą nieopodal cesarskiego pałacu na Blachernach. Prawdopodobnie to powracający z wypadu za mury oddział nie zamknął furtki znajdującej się u podstawy fortyfikacji. Turcy zauważyli wyłom i wdarli się na umocnienia. Intruzów zabito, ale widok osmańskiej flagi nad Konstantynopolem dodał atakującym odwagi, a osłabił morale obrońców. Po chwili część murów przy furcie zwanej Kerkoporta runęła. Wojska osmańskie zaczęły wlewać się do miasta.

Cesarz Konstantyn znalazł się w najbardziej zagrożonym miejscu. To ostatnia pewna wiadomość na jego temat. Według niektórych kronikarzy przed ostatnią walką bazyleus zdjął wszystkie cesarskie insygnia i rzucił się do walki jako zwykły żołnierz. Zginął po chwili, walcząc ramię w ramię ze swoimi poddanymi. Jak pisał Barbaro: „Konstantyn rzucił się do walki z furią ze swym mieczem i upadał, i podnosił się, i gdy upadł ponownie, już nie żył".

Nie czekając na pokonanie wszystkich obrońców miasta, Turcy od razu przystąpili do plądrowania Konstantynopola. Każdy chciał zagarnąć dla siebie jak najwięcej legendarnych bogactw. Pazerność Turków uratowała życie wielu Bizantyńczykom, gdyż zdołali oni przedostać się na okręty i uciec z miasta.

„Jeśli można mówić o chwili, w której Bizancjum przestało istnieć, nadeszła ona wraz z ostatnim uderzeniem tureckiej siekiery o drzwi Hagia Sopfia" – pisał świadek tamtych wydarzeń Nicolo Barbaro. Skrytych w murach świątyni ludzi wywleczono na zewnątrz, a wszystko, co było możliwe, wyniesiono i zniszczono.

„Mniemam, że to nieszczęście pobiło wielkością i cierpieniem wszystkie pogromy, do których dotychczas doszło na świecie, i znaczeniem zbliża się do upadku Troi. Wydaje się, że zupełna zagłada Greków z ręki barbarzyńców była karą za Troję" – pisał z kolei bizantyński kronikarz Laonik Chalkokondyles.

Mehmed II, który po upadku Cesarstwa nad Bosforem otrzymał przydomek Fatih, czyli Zdobywca, wkroczył triumfalnie do miasta po południu 29 maja 1453 r. Widząc, że Konstantynopol przypomina już bardziej Pompeje niż Złote Miasto, wbrew danemu słowu zakazał dalszej grabieży. Wtedy przyniesiono mu głowę cesarza Konstantyna XI, którego ciało znaleziono przy murach. Sułtan polecił ustawić ją na Forum Augusta i przygotować do wystawienia na wszystkich dworach świata islamu jako symbol zwycięstwa nad odwiecznym wrogiem.

Wiadomość o upadku Konstantynopola wprawiła całą Europę w zdumienie. Chociaż papież Mikołaj V jeszcze w tym samym roku wzywał do krucjaty przeciwko niewiernym, to nikt nie ośmielił się stawić czoła Mehmedowi.

Konstantyn XI Paleolog, ostatni cesarz wielkiego Cesarstwa Bizantyńskiego, zginął razem ze swoim miastem i przeszedł do legendy. Jak podsumował historyk Donald M. Nicol w biografii „Konstantyn XI. Ostatni cesarz Bizancjum": „Po swej śmierci doczekał się czci większej niż za swych krótkich i nieszczęśliwych rządów".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 434f19b026

„Vasa", najsłynniejszy wśród galeonów

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Szwedzki XVII-wieczny okręt, eksponowany w specjalnie zaprojektowanym muzeum w Sztokholmie, jest jedną z najbardziej niezwykłych pamiątek militarnych na świecie

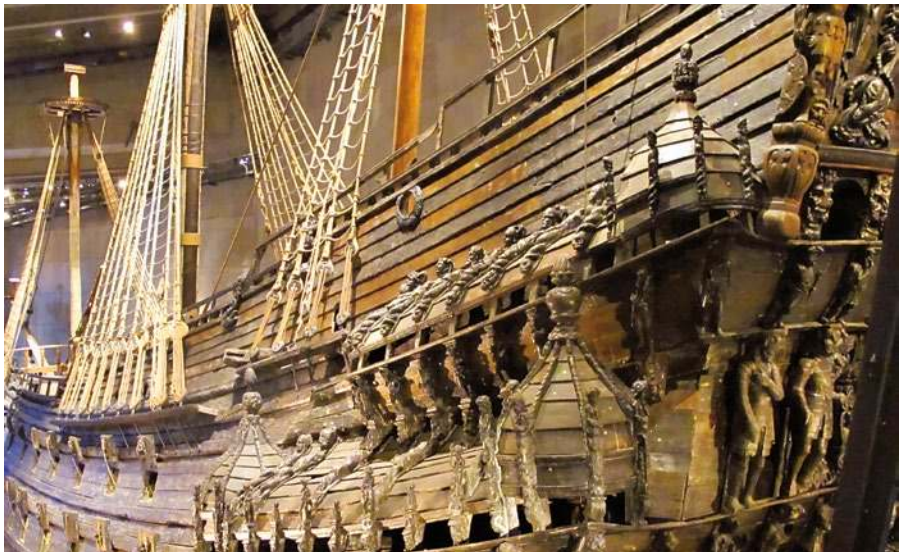

Historia okrętu sięga 1625 r., kiedy król Gustaw Adolf postanowił wzmocnić swą flotę nowym potężnym okrętem. Galeony tej klasy zaliczane były do tzw. Regalskeppet – okrętów królewskich. Projekt zlecono Holendrowi Henrykowi Hybertssonowi. Zasadniczym materiałem było drewno dębowe; do budowy okrętu ścięto ponoć 1 tys. tych cennych drzew. Poza imponującym uzbrojeniem ofensywnym złożonym z przeszło 60 dział rozmieszczonych na dwóch pokładach artyleryjskich (w tym 48 ciężkich dział 24-funtowych) kolos oszałamiał bogactwem snycerskiego zdobnictwa. Liczba rzeźb była wyjątkowa, a okręt przypominał pływający pałac – symbol potęgi państwa. „Vasa" (vasa, czyli snopek – herb szwedzkiej i polskiej dynastii) miał długość 69 m i szerokość 12 m, wyporność sięgała 1210 ton (pojemność 400 łasztów – największe ówczesne polskie okręty miały po 200 łasztów). W 1628 r. okręt został zwodowany i niemal do końca lata trwało jego wyposażanie. 10 sierpnia wypłynął ze sztokholmskiego portu w swój pierwszy rejs. Po przepłynięciu niewiele ponad kilometra olbrzym przewrócił się na lewą burtę i zatonął, pogrążając w odmętach kilkudziesięciu ludzi. Miał być jednym z największych atutów w wojnie z Rzecząpospolitą i batem na krnąbrny Gdańsk, jednak okazał się kosztowną pomyłką. Został niewłaściwie zaprojektowany i źle umieszczono środek ciężkości (za mała część podwodna względem nawodnej – galeon miał wyjątkowo wysoką sylwetkę). Także kamienny ładunek balastowy sięgający 120 ton był zbyt lekki. Mimo drobiazgowego procesu nikogo nie ukarano, zwłaszcza że główny projektant już nie żył.

Kilkadziesiąt lat później udało się wydobyć większość luf i o okręcie zapomniano. Został odnaleziony dopiero w latach 50. ubiegłego wieku i po żmudnych, trwających kilka lat pracach podwodnych podniesiono go z dna (głębokość przeszło 30 m) w 1961 r. Ponieważ w zimnym i mało zasolonym Bałtyku nie występuje żarłoczny małż zwany świdrakiem okrętowym (teredo navalis), okręt przetrwał w doskonałym stanie. Kadłub był w zasadzie nienaruszony, a dookoła zalegały tysiące elementów wyposażenia oraz dekoracje rzeźbiarskie, które po żmudnych zabiegach powróciły na swe miejsce. Przez wiele miesięcy wrak galeonu, umieszczony w specjalnie dla niego zaprojektowanym pawilonie, polewano wodą, by ostatecznie znaleźć właściwą substancję konserwującą – politlenek etylenu. Przez kolejne kilkanaście lat kadłub nasączano jego roztworem. Ten unikatowy okręt nieustannie poddawany jest specjalistycznym zabiegom, ponieważ procesu niszczenia nie udało się zupełnie zahamować. Okręt wraz z całym odnalezionym wyposażeniem (przetrwały m.in. zapasowe żagle) i rzeczami osobistymi załogi prezentuje się wspaniale. Czas zatrzymał się tutaj w XVII w. ©℗

eprasa.pl 434f19b026

Na tępe lub na ostre

U schyłku średniowiecza powstała zbroja turniejowa: cięższa i bardziej rozbudowana od polowej; względy bezpieczeństwa były ważniejsze od komfortu noszenia i swobody ruchów. Zasadniczo składała się z tych samych części, ale kształtowano ją odmiennie. Charakterystycznym elementem był hełm typu zamkniętego „żabi pysk" używany tylko do walk pozorowanych. Zbudowany z kilku blach i zaopatrzony w charakterystyczną szczelinę wzrokową zabezpieczał jeźdźca przed odłamkami kopii kruszonej w trakcie uderzenia. Hełm śrubowano do kirysu (napierśnik i naplecznik) i kompletowano z tzw. zbroją kolczą, przeznaczoną do gonitw na tępe kopie. Miała kirys składający się ze wzmocnionego niesymetrycznego napierśnika i zredukowanego naplecznika; do płyt mocowano hak i przeciwhak służące do klinowania ogona kopii. Pozostałymi elementami były: folga brzuszna (tzw. fartuch) oraz nitowane do niej stalowe taszki chroniące uda, a także naramienniki i naręczaki, z których lewy zaopatrzony był w solidną rękawicę – mitynkę. Ochronę pach zapewniały koliste tarczki przymocowane do naramienników. Zbroja gończa (na zdjęciu), używana w walce na ostre kopie, była lżejsza. Zapewniała większą swobodę ruchów. Zakładano do niej głęboki hełm typu łebka, a podbródek mocowano do napierśnika. Najistotniejszym elementem tej zbroi była duża tarcza – dopasowana do sylwetki walczącego, wzmacniająca lewą stronę kirysu. ©℗

Armata polowa wzór 1902

Opracowano ją na początku XX w. w petersburskich Zakładach Putiłowskich. Inspiracją była rewolucyjna francuska „siedemdziesiątka piątka" – pierwsze działo z praktycznym oporopowrotnikiem hydrauliczno-pneumatycznym. Zastosowany w rosyjskiej polówce, wydatnie zwiększył jej szybkostrzelność. Dzięki temu niewiele ustępowała pierwowzorowi. Armatę wprowadzono do uzbrojenia w 1903 r. pod oznaczeniem: trzycalowa (76,2 mm) armata polowa wzoru 1902. W wojnie lat 1919–1920 Wojsko Polskie zdobyło kilkaset armat „prawosławnych", jak je nazywano, większość trafiła do dywizjonach artylerii konnej. Pozostały na uzbrojeniu do 1939 r. (większość przekalibrowano do standardowej amunicji kal. 75 mm). ©℗

Niezwykły obraz

W zbiorach Muzeum Wojska Polskiego znajduje się ciekawy obraz olejny, będący cennym źródłem dziejów potopu lat 1655–1660. Namalował go w 1683 r. na zlecenie szwedzkiego dworu Jan Filip Lempke. Na pierwszym planie uwiecznił potyczkę kilku jeźdźców. Jeden z nich, ubrany w kapelusz z czarnym pióropuszem oraz efektowny ciemnoszary zdobiony kaftan, zamierza się do zadania ciosu szpadą; jego towarzysz, w zwykłym skórzanym kolecie i kapeluszu, oddaje strzał z pistoletu. Ich przeciwnikami są czterej wojownicy odziani w długie watowane kaftany, głębokie futrzane czapki i uzbrojeni w oszczepy oraz szable; u jednego z nich widać przypięte z tyłu skrzydło. Na ziemi leżą zabici z obu stron; z lewej strony dostrzegamy nadciągającą odsiecz – jeźdźców z dobytymi szpadami, ubranych w kapelusze oraz skórzane kolety i stalowe kirysy. Tłem są zmagania mas kawalerii. Widać strzelców z łukami refleksyjnymi rażących przeciwnika bezpośrednio z końskich grzbietów. Dalej jest miasto za rzeką. To Warszawa, a scena nawiązuje do bitwy stoczonej w dniach 28–30 lipca 1656 r. na przedpolach stolicy przez wojska polsko-litewskie z armią szwedzko-brandenburską. Postacią ubraną w kosztowny strój jest

Karol X Gustaw, król Szwecji i głównodowodzący wojskami sprzymierzonymi, a atakujący go jeźdźcy to sprzymierzeni z Rzecząpospolitą Tatarzy. ©℗

eprasa.pl 434f19b026

XX w. / Warzywna rewolucja

Nowalijki

FOT. ADOBE STOCK

Tymoteusz Pawłowski

W marcu pojawiają się świeże warzywa, zwane nowalijkami. To dość młody wynalazek mający nieco ponad sto lat. Zresztą większość współczesnych warzyw ma za sobą dość krótką historię

Dlaczego ogórek nie śpiewa? Najprawdopodobniej dlatego, że ma problemy z tożsamością. Ogórki były popularne w starożytności, uwielbiał je cesarz Tyberiusz, a w średniowieczu zagościły na polskich stołach. Z tym że były to „ogurki" – podobnie jak niemieckie „gurken" i czeskie „okurki" – i podawano je na ciepło, po uwarzeniu we wrzątku, były więc warzywami. Później ogórki stały się mniej popularne i zniknęły z europejskich stołów – bardzo je chwalono natomiast w Ameryce – a renesans przeżyły kilkaset lat później.

Jak się zdaje, ogórki średniowiecznie w niewielkim stopniu przypominały te współczesne. Zresztą jak wygląda współczesny ogórek? Czy to potężne warzywo wielkości przedramienia czy też przekąska wielkości małego palca? Najprawdopodobniej przez długi czas były bardzo niewielkie i dopiero ostatnio udało się stworzyć ich potężną, wężową odmianę.

Być może było też inaczej. Być może, gdy cesarz Tyberiusz jadł ogórka (po łacinie „cucumis"), to spożywał „cucumis melo", a nie „cucumis sativus". Ten pierwszy ogórek to melon, ten drugi ogórek to... ogórek. A może to nie był melon, tylko kantalupa lub dynia, bo one też są ogórkami? Dawne warzywa i owoce znamy przede wszystkim z nazw, czasem z opisów i bardzo rzadko z obrazów. I nie możemy być pewni, czy artysta tworzący obraz pt. „Martwa natura z ogórkiem" sportretował przeciętny owoc ze swojej spiżarni czy też może zwycięzcę konkursu na największe warzywo w królestwie…

Gastronomiczną i botaniczną pewność w sprawie ogórka – oraz innych warzyw i owoców – uzyskujemy dopiero w XVIII w., gdy rozwijała się racjonalna nauka. Jedni chcieli ją wykorzystać do celów praktycznych, inni byli teoretykami. Jako że o praktykach będzie napisane więcej, to w tym miejscu wypada wspomnieć tych drugich. Najbardziej znanym botanikiem jest chyba Karol Linneusz, który wymyślił systematykę i próbował opisać wszystkie znane rośliny i zwierzęta. Mniej znanym, ale równie zasłużonym jest Johann Wolfgang von Goethe, który zebrał 23 tys. preparatów biologicznych i pisał książki o morfologii roślin.

Gdy Goethe pisał „Próbę wyjaśnienia metamorfozy roślin" oraz „Cierpienia

eprasa.pl 434f19b026

młodego Wertera", ogrodnicy starali się doprowadzić do metamorfozy roślin w praktyce. To właśnie w XVIII w. pojawiły się warzywa i owoce, które znamy z naszych stołów, chociażby ogórki i truskawki. Eksperymentowano z różnymi odmianami, krzyżowano rośliny różnych kolorów i smaków, obserwowano, jak warunki naturalne wpływają na rośliny. Ot, chociażby taka rzodkiewka: gdy jej ziarno zostanie zasiane centymetr pod ziemią, otrzymamy piękną, okrągłą bulwę, ale gdy zasiejemy je głębiej, bulwa będzie mniej krągła i długa. Gdy rzodkiewkę zasiejemy wczesną wiosną, wówczas otrzymamy piękne warzywo, ale gdy uczynimy to w pełni lata, wyrośnie nam piękny rzodkiewkowy kwiat…

Niech żyje rewolucja!

Rewolucja agrarna – szczególnie w wersji kameralnej, czyli warzywnej – miała niejako dwa etapy. Pierwszy umożliwili botanicy i ogrodnicy, drugi – inżynierowie. Przed XVIII w. wybór warzyw był ubogi, ponieważ uprawiano tylko takie, które mogły przetrwać zimę. Nie mogły zmarznąć ani podczas przechowywania w piwnicy, ani podczas rośnięcia, kwitnienia czy zawiązywania owoców. Rozwiązaniem było wybudowanie dla roślin szklanych domów, czyli oranżerii, inspektów i szklarni. Powstawały w takiej właśnie kolejności: najpierw królowie budowali oranżerie, aby cieszyć się tropikalnymi owocami; później przedsiębiorcy inwestowali w inspekty, aby otrzymać cenne sadzonki; wreszcie można było zbudować szklarnie, gdzie warzywa i owoce spędzały całe swoje życie.

Szklarnie mogą wydawać się proste, ale to niesamowicie skomplikowane konstrukcje, wymagające współdziałania różnych specjalistów. Botaników i ogrodników stawiających wymagania, inżynierów metalurgów budujących rusztowania, specjalistów szklarzy potrafiących wyprodukować olbrzymie tafle taniego szkła, fizyków potrafiących wybudować odpowiednie kotły grzewcze i hydraulików łączących wszystko w spójną całość. Później okazało się, że potrzebni są również generałowie i chemicy.

Do czego byli potrzebni generałowie? Do wszczęcia wojen, które sprowadzały na Europę śmierć, nieszczęścia i biedę. W czasach pokoju jedzenia było w nadmiarze, a podstawą diety była wieprzowina. W czasach wojen wieprzowina stawała się dobrem rzadkim, ludzie głodowali i sięgali po żabie udka, ślimaki i warzywa. Szczególnie długi okres wojen nastąpił na przełomie XVIII i XIX w., gdy Napoleon Bonaparte niósł Europie postęp Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Po zakończeniu wojen napoleońskich warzywa utrzymały swoją popularność, w czym pomógł im książę Karol Lucjan Bonaparte, bratanek cesarza. Karol Lucjan nie był bynajmniej generałem, a ornitologiem i botanikiem, a także ogrodnikiem i przedsiębiorcą. To on zapoczątkował w latach 30. XIX w. budowanie szklarń, w których na masową skalę zaczęto uprawiać zioła, owoce i wreszcie warzywa.

Chemia?

Do pełni sukcesu wciąż jednak było daleko. Dziewiętnastowieczne szklarnie uniezależniały plony od warunków pogodowych, sprawiały, że uprawa była łatwiejsza, ale warzywa wciąż pojawiały się na stołach dopiero latem. Problemami były zbyt krótki dzień i zbyt mało słońca późną zimą i wczesną wiosną. Do pomocy potrzebni byli chemicy, którzy wymyśliliby skuteczne nawozy.

Reklama nawozów azotowych (saletra wapniowa) FOT. GALLICA.BNF.FR

Chemicy stanęli na wysokości zadania i opracowali znakomite nawozy azotowe. Najwydajniejszą – czyli najtańszą – metodę produkcji opracował tuż przed pierwszą wojną światową Fritz Haber, który otrzymał za nią Nagrodę Nobla. Dopiero połączenie botaniki, inżynierii i chemii sprawiło, że możemy cieszyć się nowalijkami.

Sałata, rzodkiewka, młoda marchewka, ogórek, szczypiorek, dymka są dostępne już w marcu, co nie tylko wprowadza różnorodność na nasze stoły, lecz także sprawia, że jesteśmy zdrowsi. Przede wszystkim jesteśmy bardziej zadowoleni, bo czujemy, że nadeszła prawdziwa wiosna. Zniknął przednówek, czyli smutny okres pomiędzy wyjedzeniem zapasów z poprzedniego roku (z reguły kończyły się one Wielkanocą) a pojawieniem się świeżego jedzenia (z reguły w okolicach Bożego Ciała).

Dostajemy również zastrzyk witamin, choć malkontenci narzekają, że szklarniowe nowalijki mają ich mniej niż warzywa „gruntowe". Tak, mają ich mniej, bo mają zbyt mało światła, ale przynajmniej mają. Malkontenci narzekają również, że nowalijki są szkodliwe, ponieważ zawierają azot.

Nie są to jednak malkontenci, tylko ignoranci. Nowalijki muszą być zasilane nawozami azotowymi. Nadmiar azotu odkładają w postaci nieszkodliwych azotanów, które w specyficznych warunkach – w wysokiej temperaturze i przy niskim dopływie tlenu – zamienia się w azotany, które przez wiele lat były uważane za szkodliwe. Szkodliwe najprawdopodobniej nie są (biolodzy nie są tego na 100 proc. pewni), a nawet jeśli, to wystarczy unikać przechowywania warzyw w ciepłym pomieszczeniu zawiniętych w szczelne torebki foliowe.

Dawanie wiary w pseudonaukowe plotki nie przystoi nowoczesnemu człowiekowi. Przystoi natomiast spożywanie świeżych i chrupiących nowalijek oraz wspomnienie wszystkich tych, którzy przyczynili się do ich powstania.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 434f19b026

Władysław Studnicki FOT.NAC

Dwudziestolecie międzywojenne / Polska opcja niemiecka

Psychoza hitleryzmu

Piotr Zychowicz

Władysław Studnicki opowiadał się za sojuszem z III Rzeszą. Ale jednocześnie potępiał narodowy socjalizm i jego zbrodnicze metody

Władysław Studnicki był czołowym zwolennikiem sojuszu Polski z Niemcami. Niechętni Studnickiemu publicyści oskarżają go o to, że jego koncepcja wypływała z sympatii do Hitlera i narodowego socjalizmu.

W rzeczywistości było dokładnie odwrotnie. Studnicki dążył do porozumienia z Niemcami nie dlatego, że rządził nimi Hitler, ale mimo tego, że rządził nimi Hitler. Jego koncepcje wypływały z przesłanek gospodarczych i geopolitycznych. Przekonania, że Polska i Niemcy mają wspólnego śmiertelnego wroga – Związek Sowiecki.

W 1936 r. Studnicki został zaproszony do III Rzeczy na propagandową wycieczkę. Uległ wówczas na krótko „czarowi" nowych Niemiec. Czar prysł jednak bardzo szybko, bo już w 1939 r., gdy narodowi socjaliści przybyli do Polski. I pokazali, na co ich stać. Studnicki od pierwszych dni wojny był świadkiem aktów terroru wobec Żydów i Polaków. Potem zaczęły dochodzić do niego informacje o rozstrzeliwaniach i wypędzeniach, torturach, grabieżach i gwałtach. O koszmarze obozów koncentracyjnych.

Niemiecką brutalność odczuł zresztą na własnej skórze. W latach 1939–1942 został kilkakrotnie aresztowany i pobity

eprasa.pl 434f19b026

przez gestapowców. Podczas długiego pobytu na Pawiaku był naocznym świadkiem wielu okrucieństw i zbrodni. Pisał liczne memoriały do Hitlera, Hansa Franka i innych brunatnych dygnitarzy, w których domagał się natychmiastowego zaprzestania terroru wobec Polaków.

W 1940 r. z jednym z takich memoriałów pojechał nawet do Berlina. Nie został jednak przyjęty przez wodza III Rzeszy. Ze Studnickim spotkał się Goebbels, który następnie przekazał jego sprawę do gestapo. Polski polityk został zatrzymany w berlińskim hotelu. Wtrącono go do aresztu, gdzie dostał zawału serca. Potem Niemcy internowali go w sanatorium.

Studnicki zadawał sobie wówczas podstawowe pytania: Dlaczego okupacja niemiecka podczas drugiej wojny światowej była tak zbrodnicza? Dlaczego tak bardzo różniła się od okupacji z czasu pierwszej wojny światowej? Odpowiedź była oczywista: to wina systemu. Niemcy w latach 1914–1918 były liberalną monarchią absolutną, a w latach 1939–1945 totalitarną narodowosocjalistyczną dyktaturą.

Studnicki doszedł do wniosku, że to właśnie ta ideologia odpowiadała za to, iż okupacja Polski była tak krwawa i nieludzka. Zdaniem polskiego germanofila terror w okupowanym kraju był kontynuacją metod stosowanych w Niemczech wobec przeciwników politycznych.

„Narodowy socjalizm po raz pierwszy przejawił na zewnątrz swe istnienie, zdobył rozgłos, gdy jego bojówka na wielkim zgromadzeniu w Monachium pobiła i pokrwawiła socjalistów – pisał w 1941 r. – Potem przyszły rozprawy z komunistami. Hitler w »Mein Kampf« zalecał nie ćwiczenia militarne, ale boksy, pięści, kastet, kij gumowy. Oto oręż, którym narodowy socjalizm w Niemczech zdobył władzę".

Wraz z wybuchem wojny, zwietrzywszy krew, narodowi socjaliści zradykalizowali się, a ich metody stały się jeszcze brutalniejsze. Członek SA, który u siebie, w Niemczech, wybijał szyby i bił ludzi po zębach kastetem, na „gościnnych występach" w Polsce wieszał, rozstrzeliwał i torturował.

„Przy pomocy pałek, rozbijania zebrań, terroru hitlerowcy doszli do władzy – pisał Studnicki we wspomnieniach. – Obozy koncentracyjne, w których katowano przeciwników politycznych, nie uwzględniając ich zasług, ich stanowiska społecznego, ich dorobku naukowego, zaważyły na postępowaniu władz niemieckich w okupowanych krajach".

Zmorą systemu narodowosocjalistycznego był fatalny dobór kadr. Kariery nie robili w nim ludzie o najwyższych kwalifikacjach, ale najbardziej zasłużeni dla ruchu. W efekcie indywidua, które w normalnym państwie byłyby hyclami i zamiataczami ulic, w III Rzeszy okupowały fotele w dyrektorskich gabinetach. Decydowały o życiu i śmierci setek tysięcy istnień ludzkich. System totalitarny wyzwalał w nich wszystko, co najgorsze. Premiował brutalność, zapewniając przy tym całkowitą bezkarność.

„Pierwiastki okrucieństwa tkwią w każdym narodzie – pisał Studnicki – i ważnym jest istnienie instytucji je hamujących. Weźmy na przykład dawne roczniki parlamentu angielskiego, znajdziemy w nich interpelacje i mowy potępiające okrucieństwo w Indiach i innych koloniach. Są to świadectwa nie tylko okrucieństwa, ale i humanitaryzmu, który stawiał tamę okrucieństwu. III Rzesza nie miała parlamentu jako organu kontroli. Parlament stał się tylko uroczystym zebraniem dla wysłuchania mów Führera. Bezwzględnymi środkami niweczono opozycję, gwałtowność tych środków rozrastała się podczas wojny. Narody przeżywają częstokroć okresy psychozy. Taką psychozą był hitleryzm".

Popularność Hitlera niebywale wzmocniły jego pierwsze triumfy na arenie międzynarodowej: remilitaryzacja Nadrenii, Anschluss Austrii, rozbiór Czechosłowacji, zwycięska wojna z Polską. Wielu Niemców dostało zawrotu głowy od tych sukcesów.

„Dokonały tego wszystkiego Niemcy III Rzeszy – pisał Studnicki. – Państwo totalne. Z zasadą: wszystko dla Niemców. To jest prawem, co służy interesom Niemiec. Każde terytorium, które im się przyda – ma być przez nich zabrane. W ich polityce nie jest uwzględniony pierwiastek organiczny, oni mechanicznie, drogą gwałtu, przeprowadzają, co uznają za konieczne. Chcą być Herrenvolkiem".

Taka polityka mogła przynosić sukcesy tylko krótkoterminowo. W długiej perspektywie musiała się skończyć tragicznie. Rzesze zwolenników Hitlera, którego Studnicki nazywał „bożyszczem półinteligencji", nie potrafiły jednak tego dostrzec.

Studnickiego w III Rzeszy raziły powszechne kłamstwa, fałszowanie przeszłości i teraźniejszości, niszczenie wolnej sztuki i literatury, a także nauki i publicystyki. Wszystko to miało być dostosowane do potrzeb wszechmocnej partii i państwa.

Studnicki podczas swojego pobytu w Niemczech zrozumiał, że ideologia narodowosocjalistyczna coraz bardziej przypomina ideologię komunistyczną. A III Rzesza – ze swoim kultem wodza, gestapo, obozami koncentracyjnymi i powszechnymi kłamstwami – coraz bardziej upodabnia się do Związku Sowieckiego. Bolszewizm i nazizm były rewersem i awersem jednej, czerwonej monety.

Oskarżenia, że Studnicki próbował zostać polskim Quislingiem, są nieprawdziwe i krzywdzące

„Niemcy i Rosja – pisał – po wojnie mogą się w znacznej mierze upodobnić w polityce ekonomicznej i społecznej. Ich ideologie mogą zbliżyć się do siebie. Niemcy mogą wchłonąć do siebie nieco komunizmu, Rosja sowiecka wchłonie nacjonalizm".

Przytoczone tu cytaty dowodzą, że rzucane po latach na Studnickiego oskarżenia, iż próbował zostać „polskim Quislingiem" z sympatii do narodowego socjalizmu, są krzywdzące i nieprawdziwe. Było odwrotnie. W czasie wojny był on zdecydowanym krytykiem i przeciwnikiem narodowego socjalizmu.

Jego analizy i obserwacje tego systemu stanowią istotny wkład do polskiego piśmiennictwa poświęconego fenomenowi brunatnej rewolucji. Do dzisiaj nie utraciły one na aktualności, a wiele z nich potwierdziły po latach badania naukowe.

Tak, Studnicki był germanofilem. Ale nie był nazifilem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 434f19b026

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

JESIENIĄ 1939 ROKU JÓZEF STALIN PRZYGOTOWUJĄC SIĘ DO INWAZJI NA FINLANDIĘ, ZGROMADZIŁ W POBLIŻU JEJ GRANICY ZNACZNE SIŁY SKŁADAJĄCE SIĘ Z 25 DYWIZJI PIECHOTY, PONAD TYSIĄCA CZOŁGÓW I OKOŁO 800 SAMOLOTÓW. DO UZASADNIENIA ATAKU SOWIECKIEJ PROPAGANDZIE BYŁ POTRZEBNY PRETEKST W POSTACI PRZYGOTOWANEJ PROWOKACJI. 26 LISTOPADA 1939 ROKU WYSTRZELONO POCISKI ARTYLERYJSKIE W KIERUNKU PRZYGRANICZNEJ WSI MAINILA, OSKARŻAJĄC O TO FINÓW, A CZTERY DNI PÓŹNIEJ ODDZIAŁY RADZIECKIE PRZEKROCZYŁY GRANICĘ, CZEGO NIE POPRZEDZIŁ OFICJALNY AKT WYPOWIEDZENIA WOJNY.

RADZIECCY DOWÓDCY NIE SPODZIEWALI SIĘ JEDNAK TAK ZAWZIĘTEGO I DOBRZE ZORGANIZOWANEGO OPORU ZE STRONY FIŃSKIEJ.

DUŻA ZASŁUGA W TYM NACZELNEGO DOWÓDCY ARMII FIŃSKIEJ CARLA GUSTAFA MANNERHEIMA. TO Z JEGO INICJATYWY POWSTAŁY UMOCNIENIA NAZWANE LINIĄ MANNERHEIMA. SKŁADAŁY SIĘ ONE Z ZASIEKÓW, SCHRONÓW DREWNIANYCH I BETONOWYCH, PÓL MINOWYCH ORAZ ZBUDOWANYCH Z KAMIENI TAK ZWANYCH „ZĘBÓW SMOKA", KTÓRE MIAŁY POWSTRZYMYWAĆ RADZIECKIE CZOŁGI.

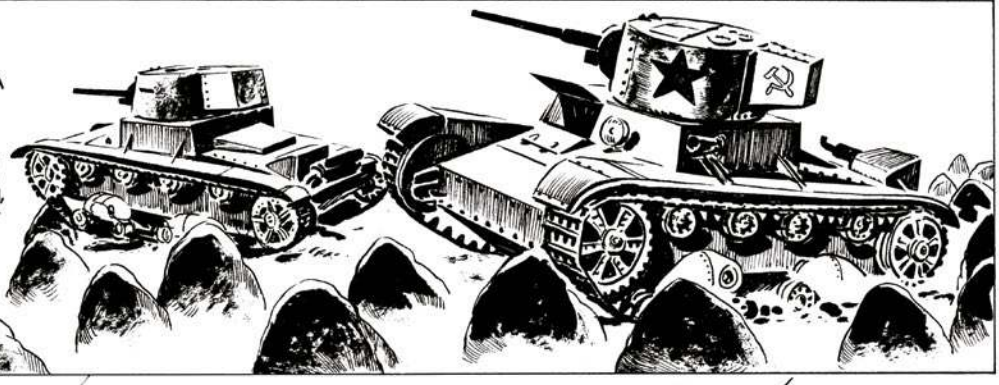

PRZEWAGĄ FINÓW BYŁA RÓWNIEŻ ZNAJOMOŚĆ TERENU ORAZ PRZYGOTOWANIE DO TRUDNYCH WARUNKÓW ZIMOWYCH. DZIĘKI TEMU ICH SNAJPERZY MOGLI SIAĆ PRAWDZIWE SPUSTOSZENIE W SZEREGACH WROGA. NAJSŁYNNIEJSZYM SPOŚRÓD NICH BYŁ SIMO HÄYHÄ ZNANY JAKO „BIAŁA ŚMIERĆ", KTÓRY Z KARABINU SNAJPERSKIEGO ZABIŁ **505** ŻOŁNIERZY RADZIECKICH, ZAŚ PRZY POMOCY PISTOLETÓW MASZYNOWYCH KOLEJNYCH **200**.

NOWA OFENSYWA RADZIECKA ROZPOCZĘŁA SIĘ 1 LUTEGO 1940 ROKU I DOPROWADZIŁA DO PRZEŁAMANIA OBRONY FIŃSKIEJ, OKUPIONEGO WIELKIMI STRATAMI. SZACUJE SIĘ, ŻE W CAŁEJ WOJNIE ZIMOWEJ ZGINĘŁO LUB ZAGINĘŁO PONAD 120 TYSIĘCY CZERWONOARMISTÓW, A PONAD 180 TYSIĘCY ZOSTAŁO RANNYCH. RADZIECKA ARMIA STRACIŁA RÓWNIEŻ 1,5 TYSIĄCA CZOŁGÓW I OKOŁO 800 SAMOLOTÓW.

PO PRZEŁAMANIU UMOCNIEŃ FINOWIE ZNALEŹLI SIĘ W TRUDNEJ SYTUACJI, Z CZEGO ZDAWAŁ SOBIE SPRAWĘ CARL GUSTAF MANNERHEIM.

W WYNIKU ZAWARTEGO TRAKTATU POKOJOWEGO FINLANDIA UTRACIŁA 35 TYS. KM KW. TERYTORIÓW, A BLISKO 450 TYSIĘCY MIESZKAŃCÓW MUSIAŁO OPUŚCIĆ SWOJE DOMY, NA CO MIELI ZALEDWIE DWA TYGODNIE. PO STRONIE FIŃSKIEJ ZGINĘŁO PRAWIE 23 TYSIĄCE ŻOŁNIERZY, A PONAD 43 TYSIĄCE ZOSTAŁO RANNYCH.

Wyrzykowski & Jasiński 2023

eprasa.pl 434f19b026

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ALFONS HECK: „DZIECKO HITLERA. MOJA MŁODOŚĆ WŚRÓD NAZISTÓW"

Dziecko Hitlera. Moja młodość wśród nazistów

Hitlerjugend – młodzi, ufni, wierni... Narodowy socjalizm miał być dla nich rajem. Okazało się, że zstępują do piekła.

Alfons Heck miał dziesięć lat, gdy wyruszył na norymberski Reichsparteitag – doroczny uroczysty wiec narodowych socjalistów przypominający ogromną mszę ku czci Führera. Jako członek Jungvolku, młodszej sekcji Hitlerjugend, wraz z tysiącami zafascynowanych młodych ludzi słuchał przemowy swego najwyższego przywódcy, boga nowego ładu świata, Adolfa Hitlera: "Wy, moja młodzieży" – krzyczał i wydawało mi się, że wbija oczy prosto we mnie – "jesteście dla narodu najcenniejszą gwarancją wspaniałej przyszłości". (...) Nie mieliśmy żadnych szans. Od tej chwili byłem duszą i ciałem oddany Adolfowi Hitlerowi.

Uderzająco szczera relacja chłopca, którego pochłonęły idee narodowego socjalizmu. Maszerując razem z nim w szeregach Hitlerjugend, poznajemy ukrytą stronę nazizmu, o której niewiele się pisze. Bardzo nieliczni, zapaleni niegdyś członkowie organizacji młodych nazistów, publicznie opowiadali o tamtych latach i swojej fascynacji hitleryzmem. Niniejsza książka pokazuje, jak wyglądało ich życie w tamtych czasach; kim byli, w co wierzyli i dlaczego dokonywali takich a nie innych wyborów.

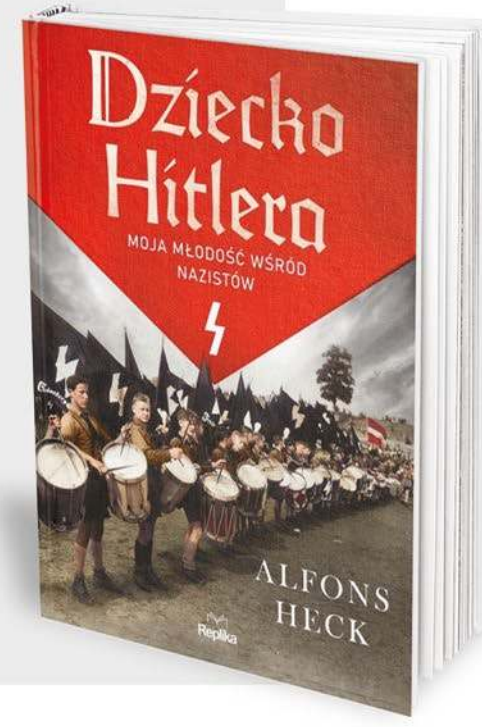

142 zł

oszczędność 46 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 434f19b026

2023 ROKIEM WOJCIECHA KORFANTEGO

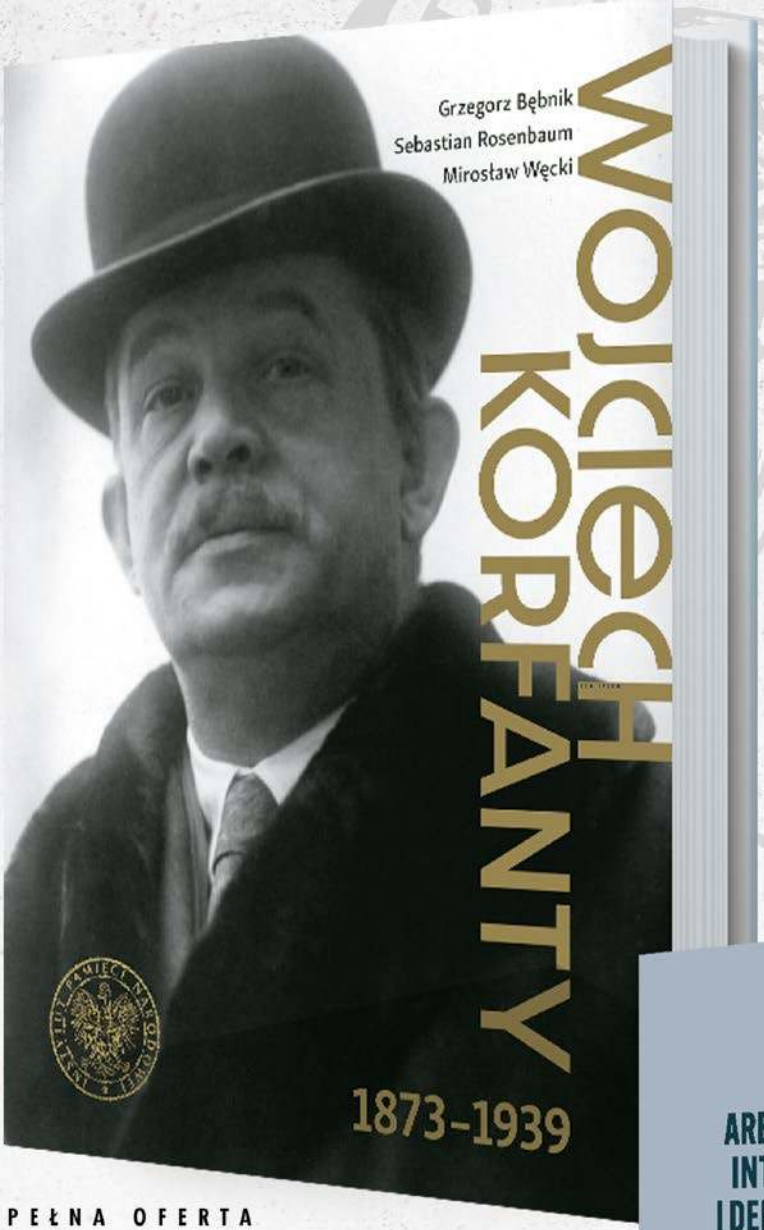

KUP ZESTAW za 89 zł

~~178 zł~~

NAJNIŻSZA CENA W CIĄGU 30 DNI TO 178 ZŁ

PEŁNA OFERTA

ksiegarniaipn.pl

OFERTA OBOWIĄZUJE OD 13 KWIETNIA 2023
W KSIĘGARNIACH STACJONARNYCH IPN
I W KSIĘGARNI INTERNETOWEJ IPN DO KOŃCA 2023 ROKU
LUB DO WYCZERPANIA ZAPASÓW

WYDAWNICTWO INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ IPN

eprasa.pl 434f19b026